

RES HUMANA

Humanizm
Racjonalizm
Kultura świecka

6/199
2025 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 6 (199) 2025 Rok wyd. XXXIV • Cena 18,00 zł (w tym 8% VAT)



Zdzisław SŁOWIK

Człowiek, który stworzył
„Res Humana”

s. 3 oraz 64–74

WOJNA W UKRAINIE

Cimoszewicz, Kuźniar, Pekar,
Figura, Małkiewicz, Marszewski,
Pachowski, Szymaniec,
Raczyński, Wróbel

– oraz Bryll, Jacaszek, Smoleń
dyskutują o końcu wojny i o tym,
czy wciągnie ona Polskę

O innych wojnach: w Strefie Gazy,
indyjsko-pakistańskiej

SPOŁECZEŃSTWO

Konstańczak o etyce
niezależnej, Gieorgica o polskim
Ciemnogrodzie

HISTORIA

Czemu Piłsudski przyjął tytuł
Naczelnika Państwa?
Przygody Holendra w Afryce

Forum myśli nieobojętnych
Opowiadania: Reich, Mielcarek
Prace wybrane Chaczyka, Fogtta,
Stępnia
Recenzje

PO PROSTU ANDRZEJ FOGTT!

Reprodukcje prac ze zbiorów Artysty



Bucza

Czytaj
na s. 52–56



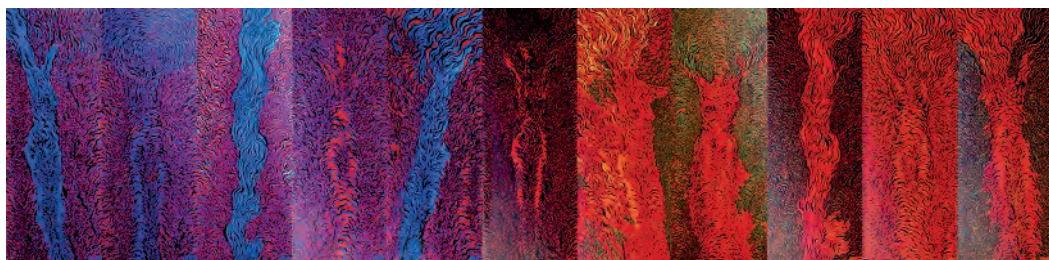
Cykl Źródło, 2009 r.



*Homotobolek
(z cyklu Homotroturus)*



Mural w Szczecinie



Żywiołem Opętanie, format 400 x 1650 cm



Robert Smoleń

Redaktor naczelny

Od redaktora

To pierwszy numer „Res Humana”, jaki przygotowaliśmy już po pożegnaniu Zdzisława Słowika – człowieka, który stworzył to pismo i na ponad trzy dekady splótł z nim swój los. Wspominamy Go i przypominamy kilka archiwalnych tekstów Jego autorstwa.

Minęły trzy miesiące prezydentury Karola Nawrockiego. Po wielkim impecie, z jakim wtargnął do poważnej polityki, na krótko nastał względny spokój: zapanowała zimna, nie gorąca wojna. Do nieodpowiedzialnie konfrontacyjnej i agresywnej postawy wobec demokratycznego rządu powrócił krótko przed symboliczną datą wyznaczającą pierwsze sto dni jego kadencji. Wypowiedziom kłócącym się z dorobkiem kultury i cywilizacji Zachodu, a bliskim ideologii Konfederacji i Ruchu Narodowego, towarzyszą realne działania podważające ład konstytucyjny. Żle to wróży stabilności państwa.

Na scenie partyjnej mocno trzyma się Koalicja Obywatelska. Sukces wyborczy Nawrockiego nie przekłada się natomiast na wzrost poparcia dla Prawa i Sprawiedliwości. W niektórych sondażach ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego uzyskuje notowania porównywalne do zsumowanych wyników Konfederacji Mentzena i Bosaka oraz Konfederacji Brauna. Nie wyciągamy wniosków na podstawie pojedynczych badań, ale obawa pozostaje. Wydaje się, że nastroje Polaków zaskakująco niebezpiecznie przesuwają się w stronę skrajnej prawicy. Inne formacje rządowe mają ewidentne kłopoty: jedna jest w całkowitej rozsypce, druga oscyluje w okolicach półtoraprocentowego poparcia, trzecia balansuje na progu wyborczym.

O krajowej polityce w tym numerze właściwie jednak nie piszemy. Zamiast tego mamy długą (20 stron!) dyskusję redakcyjną o tym, jak może skończyć się wojna w Ukrainie i czy może *wciągnąć* Polskę i Unię Europejską, dwa ważne eseje – profesorów Konstańczaka i Gieorgicy – o polskim społeczeństwie, wyszukaną przez Danutę Waniek ciekawostkę historyczną związaną z odzyskaniem niepodległości, fragment opowiadania Aldony Reich, wspomnienie o terrorze Idi Amina w stylu, który trochę kojarzy nam się z dobrą powieścią łotrzykowską (Joanna Paszkiewicz-Jägers). I inne zajmujące teksty.

Tym razem także dużo rysunków i grafiki. Są dla nas składnikiem równoważnym słowu pisanemu. Poprosiliśmy naszych rysowników o wybranie prac do tego numeru przez nich samych. Wewnątrz strony okładki – w kolorze – oddaliśmy Andrzejowi Fogttowi.

Zapraszam do oglądania i czytania!

RADA REDAKCYJNA

Dionizy TANALSKI
Danuta WANIEK
Jerzy J. WIATR –
przewodniczący Rady
Andrzej ŻOR

REDAKCJA

Mirosław
CHAŁUBIŃSKI
– z-ca redaktora
naczelnego
J. Paweł GIEORGICA
Renata MIENKOWSKA-
-NORKIENE
Jerzy PAPUGA
Zdzisław
A. RACZYŃSKI
Anna SIKORSKA-
-MICHALAK
Robert SMOLEŃ –
redaktor naczelný
Piotr STEFANIUK
Janusz TERMER

ADRES REDAKCJI

00-102 Warszawa,
ul. Marszałkowska 115
lok. 369A,
tel. 570 398 363,
e-mail: redakcja@
reshumana.pl
www.reshumana.pl

WYDAWCA

Rada Krajowa
Towarzystwa Kultury
Świeckiej im. Tadeusza
Kotarbińskiego.

Zdjęcia autorów:

Paweł Wójcik lub
archiwum Redakcji.
Zdjęcie na okładce
z archiwum Redakcji,
poprawione przy
pomocy AI.
Zdjęcie na stronie 74
– ze zbiorów Rodziny
Słowików.

Druk w Drukarni ACAD
w Józefowie.

Spis treści

WOJNA

Wojna w Ukrainie: jak się skończy? Czy wciągnie Polskę, Europę, Zachód?
Dyskusja redakcyjna/4

SPOŁECZEŃSTWO

Stefan KONSTAŃCZAK – Ponadczasowy projekt – geneza, aktualność
i przyszłość polskiej etyki niezależnej/24
J. Paweł GIEORGICA – Polski Ciemnogród/32

ŚWIAT

Jerzy J. WIATR – Izrael i Palestyna po wojnie w Gazie/41
Andrzej MAŁKIEWICZ – Operacja *Sindoor*. Wojna Indii z Pakistanem
2025/45

RYSUNEK

Marek CHACZYK – Rysunki wybrane/50

KULTURA

Karol CZEJAREK – Po prostu ANDRZEJ FOGTT!/52
Jerzy PAPUGA – Benefis Jacka Fedorowicza/57

RYSUNEK

Jan STĘPIEŃ – Rysunki wybrane/62

ZDZISŁAW SŁOWIK

Religia, wiara, ludzka codzienność/65
Wokół Radia Maryja/66
Powyborszy rząd PiS/71
Październik '56 i jego lekcje/72
W kręgu ludzkich spraw/73

ŚWIADECTWA

Danuta WANIEK – Urząd Naczelnika jako symbol przywództwa
państwowego i narodowego/75
Joanna PASZKIEWICZ-JÄGERS – Terror i milczenie świata.
Przypadki Holendra w Afryce/79

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Jerzy PAPUGA – Wiejska 4/6/8/85
Andrzej ŻOR – Tak myślę/87
Janusz TERMER – Marginesy/92
Adam KOMOROWSKI – Na odchodne/97

OPOWIADANIE

Aldona REICH – Wspólnota/99
Tatiana MIELCAREK – Prawda, która kłamie. Kłamstwo, które mówi
prawdę/108

RECENZJE

Andrzej ŻOR – To nie jest recenzja. Uwagi na marginesie książki
Pawła Machcewicza *Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci”*
Moczara/111
Mieczysław J. BONISŁAWSKI – Miasto jest kobietą, czyli o tym,
że w Polsce też można pisać opowiadania, które czynią świat bardziej
ludzkim (recenzja pewnej antologii)/112

Pożegnanie i pamięć



Jerzy J. WIATR

Zdzisław Słowik (1932–2025) był dla polskiego ruchu laickiego postacią o ogromnym znaczeniu i wielkich zasługach. Nad wyraz skromny, nigdy nie wysuwał swojej osoby na pierwsze miejsce, ale też nigdy nie usuwał się na bok, gdy trzeba było podejmować trudne zadania. Od wczesnej młodości był człowiekiem lewicy i tej obranej przed laty drogi nigdy nie porzucił. Wierność przekonaniom przy oczywistym braku wszelkiego fanatyzmu czyniły Jego rodzaj ideowego zaangażowania szczególnie cennym i godnym podkreślenia. Był z wykształcenia socjologiem, a z zawodu redaktorem. Redaktorem był nadzwyczajnym: starannym i kompetentnym, potrafiącym nadawać przygotowywanym tekstom nie tylko świetną formę, ale także klarowną myśl przewodnią. Moja z Nim znajomość zaczęła się przed kilkudziesięciu laty właśnie jako z redaktorem, którego cenną pomoc bardzo sobie ceniłem. Gdy na początku lat osiemdziesiątych stał się moim współpracownikiem w instytucie badawczym PZPR, zawiązała się między nami więź trwałej przyjaźni.

Po zmianie ustroju Zdzisław znalazł dla siebie pole społecznej aktywności. Nadał autentycznie społeczny charakter Towarzystwu Kultury Świeckiej, założył pismo „Res Humana” i był jego redaktorem naczelnym przez ponad trzydzieści lat, służył bezcenną pomocą kolejnym prezesom. Wspominam ten okres mojej z Nim współpracy z ogromną wdzięcznością i uznaniem dla Jego wkładu w to, jak ukształtował się polski ruch laicki – wolny od sekcjarstwa, a zarazem konsekwentny w dążeniu do tego, by szerzyć wartości kultury świeckiej i walczyć o to, by demokratyczne państwo pozostawało neutralne w sprawach wiary i światopoglądu.

Ludzie odchodzą, a pozostaje pamięć o tym, jaki użytek zrobili ze swego życia. Pamiętać będziemy Zdzisława Słowika z uczuciem szacunku i wdzięczności za wszystko, czym nas obdarzył.

Cześć Jego pamięci.

ZAPROSZENIE

do czytania i prenumeraty „Res Humana” w 2026 roku

Serdecznie zapraszamy wszystkich przyjaciół myśli niezależnej do czytania „Res Humana”!

Koszt prenumeraty rocznej (6 numerów) pozostaje niezmienny, tj. 90,00 zł plus opłaty pocztowe – w dwóch wariantach do Państwa wyboru: 33,60 zł lub listem poleconym 49,80 zł. Tę drugą wprowadzamy ze względu na powtarzające się przypadki zaginięcia przesyłek.

Zamówienie najprościej złożyć poprzez wpłatę należności na konto Redakcji nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146.

Liczymy, że dołączą Państwo do grona naszych stałych Czytelników.

Redakcja

WOJNA

Wojna w Ukrainie: jak się skończy? Czy wciągnie Polskę, Europę, Zachód?

Dyskusja redakcji „Res Humana”
i Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód

Józef Bryll, prezes Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód: Witam serdecznie wszystkich panelistów na drugiej debacie poświęconej perspektywom zakończenia wojny w Ukrainie. Nigdy nie spodziewałem się, że doczekam takiego czasu, że będziemy musieli dyskutować o wojnie toczącej się tuż za naszą granicą i na dodatek zastanawiać się, czy przypadkiem nie zostanie do niej wciągnięta Polska. Jestem przekonany, że sformułowane przez panów uwagi będą stanowić przydatne rekomendacje, które będziemy mogli przekazać naszym rządzącym.

Robert Smoleń, „Res Humana”: Ta poprzednia dyskusja, o której wspomniał pan prezes Bryll, odbyła się niemal dokładnie półtora roku temu, w końcu kwietnia 2024 roku, przed wyborami prezydenckimi w Stanach Zjednoczonych, przed *wpadką* Joe Bidena w trakcie debaty telewizyjnej, więc wynik tego głosowania był nieprzesądzony. Sięgnąłem po zapis tamtej rozmowy (został on opublikowany na łamach numeru 3/2024 „Res Humana” oraz na portalu reshumana.pl) i muszę przyznać, że wykazaliśmy w niej pewną zdolność do przewidywania. Rysowaliśmy scenariusze, co się stanie, jeśli prezydentem USA ponownie zostanie Donald Trump i w zasadzie to, co wtedy mówiliśmy o konsekwencjach takiego wyboru dla wojny w Ukrainie i w ogóle dla ładu światowego, potwierdziło się. Choć w tej drugiej sprawie nasza wyobraźnia aż tak daleko nie sięgała – nie do takiego stopnia chaosu, niepewności oraz chybotliwości przywódcy supermocarstwa. Za to pozytywnym zaskoczeniem jest to, co się stało z Unią Europejską w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy. W sytuacji, kiedy USA przestały finansować wsparcie dla Ukrainy, Unia zastąpiła w tej roli Stany Zjednoczone; a także wyruszyła – jak ja to oceniam – w drogę ku sojuszowi również obronnemu, zdolnemu do zagwarantowania bezpieczeństwa swoim członkom. *In minus* trzeba odnotować, że w tej chwili zamknięty jest temat członkostwa Ukrainy w NATO, jeśli wsłuchać się w to, co mówią Donald Trump i członkowie jego gabinetu; ale też nie nastąpił żaden postęp w negocjacjach w sprawie jej członkostwa w Unii Europejskiej – co jest efektem stanowiska węgierskiego. Znak

zapytania postawiłem przy dwóch rzeczach: po pierwsze mówiliśmy wtedy, że po wstrzymaniu działań zbrojnych, w przypadku rozejmu, konieczne będzie utrzymanie sankcji na Rosję, a zwłaszcza na dostęp rosyjskich firm do zachodniego kapitału i technologii. Nie wiemy, jakie będą decyzje w tej materii. Notabene przy okazji może warto odnotować, że sankcje odgrywają pewną rolę, ale sam fakt, że mamy w tej chwili ich dziewiętnasty pakiet i nawet Donald Trump w końcu, po długim czasie, też zdobył się na jakiś ruch, świadczy, że pewnie te pierwsze pakiety nie były wystarczająco skuteczne. Wiadomo jednak, że każdy, kto jest objęty sankcjami, stara się uciec przed ich następstwami. A jeśli jest się Rosją i ma się takich partnerów, jak Chiny, Indie i cała – już nie tylko *globalne południe*, ale jak mawia teraz Sergiej Ławrow – *globalną większość*, to oczywiście łatwiej jest te restrykcje omijać. Drugi znak zapytania stawiam przy wykorzystaniu zamrożonych aktywów rosyjskich. Wydawało się, że grupa G7 znalazła rozwiązanie, a tymczasem cały czas ten problem jest *omawiany*, a nie *rozwiązany*.

Dzisiaj patrzemy na wojnę w Ukrainie nie jako na konflikt europejski, lokalny, ale jako na część układanki globalnej. Mam na myśli rolę Chin i rodzący się sojusz rosyjsko-chiński. Drugą nową cechą, która ujawniła się od czasu naszej poprzedniej debaty, jest to, że Ukraina i Europa – Unia Europejska plus Wielka Brytania, a także Norwegia i Kanada – okazały się na tyle niezależne od Stanów Zjednoczonych, że wycofanie się Waszyngtonu ze wsparcia dla Ukrainy i jasnego opowiedzenia się w sprawie tego konfliktu nie paraliżowało Ukrainy i nie wymusiło jej poddania się. Ukraina wspólnie z Europą Zachodnią są w stanie uczestniczyć w próbach rozwiązania tego konfliktu albo zapewnić dalsze prowadzenie wojny obronnej, jeśli taki będzie wybór Ukrainy.

Mimo, że nie wiemy, jak i kiedy skończy się ta wojna, chciałbym Panów prosić o spostrzeżenia co do tego, jakie są w tej materii możliwości, jakie jest prawdopodobieństwo różnych scenariuszy i co z tego może wynikać dla Ukrainy, Polski, Europy i świata. I drugie pytanie, którego poprzednio nie stawialiśmy, bo w ogóle wydawało się wtedy nieadekwatne, a dzisiaj wydaje mi się bardzo na czasie: czy ta wojna może się *rozlać* dalej, na Europę, czy może nas wciągnąć w bezpośredni sposób? Czy jest możliwy jakiś realny, a może nieuchronny, nieunikniony, splot okoliczności, który spowodowałby konflikt na większą skalę? Niedawno odbywały się ćwiczenia „Zapad 2025”, w trakcie których Rosja i Białoruś testowały dwa manewry: atak na przemyśk suwalski oraz wykorzystanie potencjału nuklearnego zgromadzonego w Obwodzie Kalinigradzkiem do powstrzymania państw zachodnich od reakcji na taką agresję. Jak pamiętamy Xi Jinping zapowiedział, że do 2049 roku Tajwan zostanie przyłączony do Chin kontynentalnych, jeśli będzie trzeba – to także siłą; ale czy będzie czekać jeszcze ponad dwie dekady? Czy wydaje się więc panom prawdopodobny taki scenariusz, gdzie Chiny w porozumieniu z Rosją sięgają zbrojnie po Tajwan inicjując konflikt w Azji, a w tym czasie Rosja wdraża plan właśnie przeciwczony półtora miesiąca temu? Założymy, że atak nastąpiłby nie na Polskę, lecz po stronie litewskiej, i towarzyszyłby mu jasny komunikat do wszystkich stolic zachodnioeuropejskich, że w razie ich reakcji rakiety zostaną wystrelone. Wiem, że to brzmi jak streszczenie książki czy filmu *political fiction*, ale na początku 2022 roku osobiście do końca byłem przekonany, że wszystko co Putin robi

wokół Ukrainy jest blefem. Że wojna się ani Rosji, ani Putinowi nie opłaca i że po prostu to nie nastąpi. Tymczasem nastąpiło, z czego można wyciągnąć wnioski, że stosowanie naszych kategorii, co jest racjonalne, a co – irracjonalne, niekoniecznie musi mieć w tym przypadku uzasadnienie.

Prof. Valerii Pekar, prezes ukraińskiego NGO Decolonization, założyciel niezależnego instytutu Foresight – Institute of Political Economy; Kijowsko-Mohylańska Szkoła Biznesu; Szkoła Biznesu Ukraińskiego Uniwersytetu Katolickiego: Jesteśmy obecnie u schyłku dwunastego roku wojny (przypomnę, że agresja rozpoczęła się w 2014 roku aneksją Krymu), w tym czwartego roku wojny na pełną skalę. Istotą wojny jest to, że Rosja dąży do powrotu Ukrainy do imperium, aby przywrócić imperialną władzę i strefę wpływów, ponieważ bez Ukrainy imperium nie może odzyskać dawnego statusu i roszczeń do dziedzictwa historycznego. Strategicznym celem Rosji jest zatem likwidacja ukraińskiej państwowości i tożsamości. Ta wojna nie dotyczy terytoriów i zasobów, gdyż Rosja posiada własne rozległe terytoria, zaniedbane i słabo rozwinięte. Przedmiotem agresji jest również tożsamość Ukraińców, która jest niszczone poprzez niszczenie dóbr kultury i masowe porwania dzieci z przymusową zmianą ich tożsamości, co kwalifikuje się jako ludobójstwo.

Niepowodzenie rosyjskiej strategii szybkiej operacji ofensywnej w 2022 roku doprowadziło do przejścia agresora do wojny na wyniszczenie. Opierało się to na założeniu, że prędzej czy później zachodni sojusznicy opuszczą Ukrainę, a Kijów będzie zmuszony skapitulować z powodu braku zasobów. Jednak w ciągu ostatnich dwóch lat Rosji udało się zdobyć mniej niż jeden procent terytorium Ukrainy, ponosząc przy tym gigantyczne straty. Moskwa nie zdołała osiągnąć żadnego ze swoich celów strategicznych w ciągu prawie czterech lat wojny na pełną skalę: nie zdobyła ani jednego ośrodka regionalnego (poza Chersoniem, wyzwołonym przez Ukrainę w tym samym roku); nie zapewniła stabilnej logistyki dla anektowanego Krymu; nie zniszczyła ukraińskiego sektora energetycznego ani stabilności gospodarczej; nie zapewniła (a wręcz utraciła) dominacji w powietrzu i na morzu; nie podzieliła ukraińskiego społeczeństwa i nie zmusiła go do kapitulacji. W rzeczywistości Kreml jest dziś dalej od swoich celów strategicznych niż w marcu 2022 roku. Jednocześnie Ukraina skutecznie wyparła rosyjską flotę z Morza Czarnego i przeprowadza głębokie ataki na rosyjską infrastrukturę wojskową, logistykę, rafinerie ropy naftowej i zakłady eksportowe oraz produkcję wojskową, wykorzystując nowo opracowaną broń.

Ale Rosja nie może powstrzymać wojny, po pierwsze, ponieważ jej gospodarka została przestawiona na stan wojenny, a sektor cywilny ponosił ogromne straty. Aby powrócić do stanu sprzed wojny, potrzebne są ogromne inwestycje, których nigdzie nie ma. Po drugie, milion żołnierzy kontraktowych nie może wrócić do domu, ponieważ zniszczą całą Rosję, jak to miało miejsce w 1917 roku. Po trzecie, oznacza to osobistą porażkę Putina, co zagraża jego władzy i życiu. Dlatego Rosja będzie kontynuować wojnę tak długo, jak będzie mogła zyskać na czasie, udając negocjacje. Rosja rozpocznie negocjacje, gdy nie będzie już w stanie kontynuować wojny. Sankcje mogą przybliżyć ten moment, przede wszystkim

kim ograniczenie eksportu ropy naftowej przez Morze Bałtyckie starymi, uszkodzonymi tankowcami, które stanowią zagrożenie dla środowiska dla wszystkich krajów regionu. Muszę podkreślić, że nie jesteśmy teraz w trakcie negocjacji, lecz w fazie przednegocjacyjnej. I widzimy, że nie ma magicznego rozwiązania dyplomatycznego. Zaproponowane przez Stany Zjednoczone porozumienie pokojowe było wielokrotnie odrzucane przez Rosję, która podkreślała potrzebę „wyeliminowania pierwotnej przyczyny wojny”. W oczach Moskwy jest nią istnienie niepodległego państwa ukraińskiego. Widzimy również niechęć Stanów Zjednoczonych do poparcia prawa międzynarodowego, ale także bezprecedensową konsolidację Europy.

Należy zauważyć, że gwałtowne innowacje radykalnie zmieniły pole bitwy, sprawiając, że pojazdy opancerzone, broń o wysokiej precyzji, dominacja samolotów załogowych w powietrzu, duże okręty wojenne i nawet ogólne tajne przygotowywanie operacji stały się przestarzałymi koncepcjami strategicznymi. W ciągu trzech lat niemal całe doświadczenie wojskowe XX wieku stało się nieistotne. Tylko dwa kraje na świecie wiedzą, jak prowadzić taką wojnę.

Tab. Sześć scenariuszy zakończenia wojny w Ukrainie

		Suwerenność Ukrainy		
		Nieograniczona	Przymusowo ograniczona	Utracona
Polityka globalna	Zasada prawa	„Zwycięstwo i trwały pokój” Najbardziej pożądanym Mało prawdopodobny Długotrwały	„Zgniły układ” Najbardziej prawdopodobny Średnioterminowy	„Powtórka z lat 1917–1921” Najgorszy Mało prawdopodobny Długotrwały
	Zasada siły	„Pszczoly pokonują niedźwiedzia” Drugi pożądanym Średnio prawdopodobny Nietrwały	„Niestabilna równowaga” Średnio prawdopodobny Nietrwały	„Rozszerzająca się kraina terroru” Najgorszy Mało prawdopodobny Długotrwały

Źródło: <https://neweasterneurope.eu/2025/09/01/scenarios-for-the-end-of-the-war/>

Jeśli państwo są już zaznajomieni z analizą scenariuszy¹, wskażę tylko dwa najbardziej prawdopodobne. Scenariusz „zgniłego układu” opisuje zamrożenie wojny. „Zgniły układ” oznacza tutaj strategiczne porozumienie, które pozwala na utrzymanie formalnej państwowości Ukrainy, ale z ogra-

¹ Mówca odnosi się do swojego opracowania, wspólnie z Andrijem Dligachem, dostępnego pod adresem: <https://neweasterneurope.eu/2025/09/01/scenarios-for-the-end-of-the-war/>

niczeniami jej suwerenności z zewnątrz. „Układ” może przybrać kilka różnych wersji, z których każda będzie miała inne konsekwencje. „Ścisły zgniły układ” oznacza wymuszoną kapitulację, formalny traktat pokojowy wymuszony przez Stany Zjednoczone, gdy linia frontu zostanie uznana za nową granicę państwową, ukraińskie siły zbrojne zostaną ograniczone pod względem liczebności i uzbrojenia, a rosyjskie organizacje polityczne, kulturalne, religijne i medialne powrócą na Ukrainę. Jest to nie do przyjęcia dla Ukrainy, ale podważa również wiarygodność NATO w Europie Wschodniej, a Rosja nabierze śmiałości w kwestii przyszłej agresji w regionie. „Miękki zgniły układ” oznacza zamrożony konflikt, z faktyczną linią kontroli utrzymywaną bez formalnego uznania. Oczywiście jest, że prędzej czy później wojna zostanie wznowiona. Ukraina będzie jednak miała czas na dozbrojenie, odbudowę i wznowienie wewnętrznego procesu politycznego. Innym możliwym scenariuszem jest sytuacja, w której „pszczoły pokonują niedźwiedzia”, kiedy w świecie bez zasad Ukraina odniesie zwycięstwo dzięki trzem głównym czynnikom: potencjałowi innowacyjnemu Ukrainy, wsparciu koalicji chętnych i słabościom rosyjskiej gospodarki.

Jednocześnie należy pamiętać, że w przypadku braku możliwości osiągnięcia celów strategicznych na Ukrainie Rosja może zdecydować się na szybką, zwycięską wojnę na innym teatrze działań wojennych. Celem będzie szybkie uzyskanie przewagi, a następnie wynegocjowanie zniesienia sankcji, odmrożenia zamrożonych aktywów itd.

Z przykrością muszę stwierdzić, że moim zdaniem Polska jest bardziej prawdopodobnym celem niż kraje bałtyckie. Chociaż kraje bałtyckie wydają się łatwym celem ze względu na brak strategicznego potencjału obronnego, udany atak na Polskę wywołałby poważny kryzys w Niemczech, a ostatecznie w Unii Europejskiej, dając agresorowi znaczną większą przewagę niż zajęcie krajów bałtyckich.

Najprawdopodobniej nie powinniśmy oczekiwać rosyjskiego ataku w formie operacji lądowej, z udziałem potężnych czołgów i kolumn zmotoryzowanych. Zamiast tego wyobraźmy sobie atak na Polskę, który łączy w sobie:

- zmasowane ataki rakietowe i dronowe na obiekty energetyczne, infrastrukturalne i logistyczne (nawiasem mówiąc, drony można oznaczyć jako ukraińskie),
- cyberataki na obiekty rządowe i infrastrukturalne,
- załamanie nawigacji z powodu masowego użycia broni elektronicznej,
- sabotaż i grupy terrorystyczne wywołujące nagłe, ręcznie wywołane katastrofy ekologiczne,
- destabilizację społeczeństwa za pomocą sieci społecznościowych i wykorzystanie „piątej kolumny”,
- tłumy tysięcy uchodźców z Bliskiego Wschodu wypuszczone za granicę z Białorusią.

Nie twierdzę, że wszystko będzie dokładnie takie, jak opisano. Chcę jedynie podkreślić, że wojna może wyglądać zupełnie inaczej niż ta, do której przygotowuje się Europa. A taka wojna wymaga znacznie mniej-
szych zasobów, którymi Rosja dysponuje obecnie. Rosja nie będzie

czekać na gotowość Europy ani atakować tam, gdzie od dawna się jej spodziewano, jak w korytarzu suwalskim. Nie będzie też stosować strategii II wojny światowej. Ale kolumny zmotoryzowane są również możliwe tam, gdzie nie ma strefy śmierci, a obrona nie jest nasycona tanimi środkami rażenia z wyszkolonymi zespołami. Rosja gromadzi obecnie pozostałości pojazdów pancernych, nie używając ich na Ukrainie. Rosja modernizuje również pociski manewrujące, zwiększając ich zasięg do 2000 kilometrów. Na Ukrainie nie ma celów o takim zasięgu. W takiej sytuacji kluczowa jest nie ilość i jakość uzbrojenia, ale gotowość do szybkiej reakcji kierownictwa politycznego i wojskowego oraz gotowość społeczeństwa do podejmowania zrównoważonych, dojrzałych i odpowiedzialnych działań. Istotne są obecnie kwestie jedności i spójności społeczeństwa; kontrola nad krajową przestrzenią informacyjną; zdolność organizacji pozarządowych do wspierania rządów w chwilach nadzwyczajnych wyzwań; oraz gotowość przywódców politycznych do podejmowania decyzji w wojnie liminalnej przed osiągnięciem progu.

Zakup czołgów i pojazdów opancerzonych nie wystarczy, aby przeciwstawić się rosyjskiemu atakowi. Nie opuszczą one nawet hangarów. Doskonale wyszkoleni i odważni żołnierze nie będą mieli żadnych celów do zdobycia za pomocą tego sprzętu. Nie będzie więcej wojen takich jak w lutym 2022 roku.

Europa dysponuje wszystkimi niezbędnymi zasobami, aby się bronić. Problem polega na tym, że rządy i społeczeństwa nie dostrzegają, że wojna jest już tuż przed ich progiem. Nie rozumieją, że Rosji nie należy odstraszać ani powstrzymywać, lecz ją pokonywać. Coraz częstsze wypowiedzi przedstawicieli Rosji, powtarzające się naruszenia granicy Polski przez rakiety i drony, a także wypadki w obiektach infrastruktury krytycznej brzmią jak sygnał ostrzegawczy. Wojna będzie eskalować, aż Rosja zostanie pokonana.

Prof. Roman Kuźniar, Uniwersytet Warszawski: Prezydent Trump, gdy odwoływał swoje spotkanie z Putinem w Budapeszcie, rzucił uwagę, która mnie bardzo rozrzewniła – mianowicie, że „wojna to jest bardzo dziwna rzecz”. Pomyślałem sobie wtedy: „no, no, może coś zaczyna do niego docierać”. Nie podejrzewam go o erudycję, ale skojarzyło mi się to z clausewitzowską koncepcją *wojny jako dziwnej trójcy*. Chodzi o trzy punkty trójkąta: pierwotna gwałtowność żywiołu – nastrój narodu, społeczeństwa, emocje, nienawiść; po drugie – wojsko, jego wyszkolenie, wyposażenie, dowództwo, uzbrojenie itd.; i po trzecie – czynnik polityczny, który ma kalibrować użycie siły, sterować wojną. Teoria wojny, pisał Clausewitz, powinna się mieścić pomiędzy tymi trzema punktami, które ciągną w jedną, drugą, trzecią stronę, ale wszystko mieści się w obrębie tego trójkąta. Jeżeli uruchomimy te trzy czynniki, wprawimy je w ruch, nadamy im dynamikę – tak jak one działają w tej wojnie, oczywiście z ich właściwą treścią, którą potrafimy rozszyfrować (nasz kolega z Ukrainy też nawiązywał do treści tych poszczególnych czynników), ich ewolucję w czasie, zużywanie się, narastanie – to mniej więcej mamy wynik tej wojny: punkt, w którym jesteśmy po trzech latach i ośmiu miesiącach tej wielkiej, gorącej wojny, która rozpoczęła się w lutym 2022 roku. Jesteśmy dokładnie w miejscu, w którym byliśmy trzy lata temu, czyli późną jesienią 2022 roku, kiedy twierdziłem, że tak już zostanie, że niewiele już można zmienić i pozostaje tylko pytanie, w jaki sposób ten stan zostanie utrwalony. Dwa lata temu napisałem nawet artykuł o pięciopunktowym

planie dla Ukrainy, który ukazał się w „Rzeczpospolitej”. Pisałem tam o rozejmie, o jego ubezpieczeniu przez siły międzynarodowe, najlepiej na podstawie rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, o żelaznych gwarancjach bezpieczeństwa dla Ukrainy (ale nie poprzez członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim, bo to było nierealne i wtedy, i dzisiaj; istnieje cały szereg innych faktycznych możliwości zapewnienia Ukrainie bezpieczeństwa przez aktorów zewnętrznych). Pisałem także o rozwoju powiązań Ukrainy ze światem zachodnim i o trzymaniu Rosji krótko poprzez sankcje, izolację, ostracyzm. Wszystkie te elementy pozostają aktualne, natomiast brakuje jednego ogniwa, żeby ta wojna mogła zatrzymać się w miejscu, w którym aktualnie jesteśmy. Dwa, trzy lata temu zatrzymać jej nie chciała także – pamiętajmy – Ukraina, która liczyła, że odbije swoje zajęte terytoria. Bardzo martwiłem się tą nieszczęsną konrofensywą. Uważałem, że jest niepotrzebna, z góry skazana na porażkę i że przyniesie Ukrainie wiele strat. Tak się stało. Dzisiaj Ukraina jest gotowa do przerwania tej wojny według obecnej linii frontu, do zgody na rozejm i przystąpienia do rozmów, które miałyby zbudować jakąś architekturę, żeby ten stan utrwalić. Ale mamy jeden z elementów *dziwnej trójcy*, który się nie układa. Mianowicie Clausewitz (co przedziwne, bo to nadzwyczajny znawca wojny) zakładał, tak pisze w swoim dziele, *racjonalność polityki* w stosunku do pozostałych dwóch elementów. Nic bardziej błędnego! To polityka wprowadza do wojny irracjonalność, to politycy irracjonalnie domagają się różnych niemożliwych rzeczy. Widzieliśmy to choćby w nieodległej przeszłości w czasie amerykańskiej agresji na Irak: irracjonalność polityczna, którą racjonalnie musieli wykonać wojskowi. Skończyło się katastrofą. A więc mamy irracjonalność Rosji. Mamy obłęd Putina – tak jak mówił nasz kolega z Kijowa – i pierwotne przyczyny wojny, czyli wielkoruski ekspansjonizm i faszyzm. Dopóki tej przyczyny nie zlikwidujemy, to mamy małe szanse na zawieszenie broni, a tym bardziej na trwałą pokój. A przynajmniej jeśli ta przyczyna nie wygaśnie na jakiś czas; może powracać w przyszłości, ale Rosjanie musieliby teraz *wziąć na wstrzymanie*. Na razie to nie nastąpi – dopóki nie zaczną ich boleć, dopóki Putin i jego soldateska nie dojdą do wniosku, że kontynuacja tej wojny jednak przekracza możliwości Rosji, dopóty będą ją prowadzić, bo taka jest historyczna, ekspansjonistyczna, nazistowska obsesja polityki rosyjskiej, na czele której stoi Putin.

Zmienił się – na negatywny – kontekst tej wojny. Mamy Chiny, dla których, mam wrażenie, stała się ona wojną *per procura*, przy pomocy której Chiny prowadzą wojnę z Zachodem. Rosjanie wykonują brudną robotę w imieniu Chin. Bez Chin Rosja szybko by, mówiąc żargonem, wymiękła, długo by nie wytrzymała. Stany Zjednoczone odgrywają rolę co najmniej dwuznaczną. Nie mam wątpliwości, że serce Donalda Trumpa jest po stronie Rosji, natomiast różne inne względy uniemożliwiają mu otwarte zajęcie takiego stanowiska. Mamy teraz co prawda przechył w drugą stronę, ale przecież wprowadzone sankcje nie są specjalnie kosztowne dla samych Stanów Zjednoczonych. Trump raczej chce, żeby to inni przyciskali, a on jeszcze chce utrzymać drożność kanału dialogu z jego przyjacielem Wołodiłą. Tak długo jak słoń w środku salonu – nie kto inny, tylko Trump właśnie, z jego hektyczną postawą: raz tak, raz inaczej, nic się nie

da trwale ustalić – będzie nam przeszkadzał, nie ma wielkich perspektyw na zatrzymanie tej wojny i położenie jakiegoś dalszego planu. Szansa pojawi się wtedy, gdy Rosja zacznie pisać z bólu pod wpływem strat, jakie zacznie ponosić dzięki temu, że Zachód będzie efektywnie wspierać Ukrainę. Wtedy zdecyduje, że dalej tak się nie da. Izrael też dwa lata woził się po Strefie Gazy, aż doszedł do ściany. Tak samo Putin: dopóki nie dojdzie do ściany, nie zrozumie, że przy pomocy kontynuacji tej ofensywy Rosja będzie wyłącznie tracić, dopóty ta wojna będzie się toczyć.

Jednak nie wierzę w jej *rozlanie się*, jej *spill-over*, ponieważ aktorzy zewnętrzni nie są tym zainteresowani. Atak w jakiegokolwiek postaci na kraje takie, jak Polska czy państwa bałtyckie to oczywiście jest wojna światowa, bo to byłaby wojna z Sojuszem Atlantyckim. Wszystkie inne poniżej otwartej wojny sposoby nękania przez Rosję tych krajów będą miały miejsce, nie mam żadnych wątpliwości. Oczywiście w ogóle nie mówimy o wojnie pancernej; wiadomo, że to lipa. Dziwię się, że my nadal kupujemy te czołgi w Ameryce i w Korei, jakby miało dojść do starcia, jakbyśmy sami mieli zdobywać Moskwę: czołg jest bronią ofensywną. Zamówione czołgi, które jeszcze do nas nie dotarły, niedługo zaczną trafiać do muzeów. Nie wierzę w scenariusz ataku na przesmyk suwalski. Proszę państwa, był przesmyk koryncki łączący Peloponez z główną częścią kontynentalnej Grecji. Trzydzieści, no – 27, lat wojny peloponeskiej i nie odegrał żadnej roli! To, że niektórzy fiksują się na przesmyku, to jest dla mnie prawdziwa dziecinada. Że oni próbują nas nastraszyć, to bardzo proszę. Natomiast że my udajemy, że się boimy – albo boimy się naprawdę – tego doprawdy, muszę powiedzieć, nie rozumiem.

To, co jest pozytywne – to wzmoczenie obronne po stronie Unii Europejskiej. Mam nadzieję, że wytrzymamy.

Prof. Andrzej Małkiewicz, Uniwersytet Zielonogórski: Ta wojna jeszcze bardziej przyspieszyła zmiany w skali globalnej i narastanie problemów, które rozwijały się już wcześniej, a teraz stały się bardziej wyraziste. Jakikolwiek będzie jej rezultat – świat będzie inny. W samym przebiegu walk pojawiły się nowe zjawiska, przede wszystkim masowe użycie dronów, które stosowano od lat, ale jedynie pomocniczo, a teraz używane są jako istotny czynnik walki. W Polsce do niedawna nie doceniano tego narzędzia, ale to się zmienia, Wojsko Polskie uczy się ich stosowania, podjęto produkcję, a nawet eksport.

Zmienia się, oczywiście, sytuacja Ukrainy. Konieczność zaopatrzenia i wzmocnienia armii zmotywowała do prac nad unowocześnieniem i rozbudową własnego przemysłu zbrojeniowego. Jego produkty są doskonałe dzięki doświadczeniu zdobytemu w walce. Dotyczy to zwłaszcza typów najnowocześniejszych, w tym dronów i rakiet, a także użycia sztucznej inteligencji w projektowaniu i użyciu broni. Ta broń spełnia najwyższe wymagania, Ukraina używa jej przede wszystkim na froncie, ale myśli już o eksportowaniu, by tą drogą finansować inne potrzeby. Wyrasta na poważnego konkurenta firm zbrojeniowych innych państw, a nawet szerzej – przemysłu innych państw, w tym polskiego. Wcześniej traktowaliśmy Ukrainę jako kraj nieco od Polski ludniejszy, ale gospodarczo słabszy. Wojna może to zmienić.

² Zob. s. 49.

Zmienia się sytuacja Rosji. Była mocarstwem gospodarczym, choć ułomnym, bo eksportowała głównie surowce, jak państwa dawniej nazywane *trzecim światem*. Sprzedawała też broń. Teraz jej handel załamuje się, rynek broni być może przejmie Ukraina, a handlu ropą i gazem po wojnie raczej nie da się przywrócić w dawnym kształcie. Jednocześnie wyrastają nowe mocarstwa, niezależnie od wojny, choć zarabiają na niej, więc wojna je pośrednio wzmacnia. Nie tylko Chiny, ale też Indie, które stały się niedawno najludniejszym państwem świata, ich gospodarka szacowana jest, zależnie od techniki liczenia, jako czwarta lub piąta w świecie. Mocarstwa rywalizują też między sobą, niekiedy w paradoksalny sposób. W maju stoczono trzydniową wojnę między Indiami i Pakistanem. Armia Indii walczyła przy użyciu głównie broni rosyjskiej (i produkowanej w Indiach na rosyjskiej licencji) oraz w części – francuskiej, użyła też dronów produkowanych w Polsce. Pakistańska posługiwała się bronią chińską. Która armia i broń okazała się lepsza, nie wiadomo, obie strony ogłosiły zwycięstwo. Czy była to wojna zastępcza Chin z Rosją, zapowiadająca zmiękczenie ich sojuszu? Raczej nie. Prawdopodobnie był to przede wszystkim test jakości broni, bardziej miarodajny niż jakikolwiek sprawdzian na poligonie.

Zbigniew Wróbel, menedżer i przedsiębiorca, m.in. wspólnik w spółce Quality Writing zarządzającej portalem reshumana.pl, b. prezes PKN Orlen SA: Nie zgodziłbym się z tezą Valeria Pekara, że najbardziej zagrożona jest dzisiaj Polska. Wydaje mi się, że atak na nas prowadziłby do zbyt szybkiej eskalacji tej wojny – a Putin chce ją prowadzić długofalowo. On wbrew pozorom nie ma z tym kłopotu. Gospodarka rosyjska jest osłabiona, ale to rozklekotane auto ciągle jedzie; paliwa w baku ubywa, ale wystarczy jeszcze na długo. Nie ma bezrobocia. Ludzie, co prawda na słabym poziomie, ale żyją, nie są głodni, a gotowi są na gorsze. To powoduje, że społeczeństwo daje poparcie tej wojnie, bo tam duma narodowa znaczy więcej niż, jak to się mówi, miska ryżu. Po drugie, jeszcze nie znamy, nie rozumiemy efektów ostatniego szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy z udziałem m.in. Chin, Rosji, Indii, Korei Północnej. Nie ogłoszono żadnego zrozumiałego komunikatu na temat wojny w Ukrainie. To może oznaczać, że coś tam zostało uzgodnione bez Zachodu albo dla Zachodu. Co? Zobaczymy po podejściu państw do Trumpowskiej groźby sankcji za import rosyjskiej ropy. Na razie wszyscy powiedzieli, że będą respektować ten zakaz, ale jak wiemy sankcje nawet w Europie nie są do końca przestrzegane; nie mówię już o Orbánie, ale wiele krajów UE rosyjską ropę ciągle bierze. Jeśli to poskutkuje, to może po to było to spotkanie. Ale jeśli nie poskutkuje – to być może dokonano tam ustaleń: Tajwan przechodzi w ręce Chińczyków, Kaszmir odzyskują Indie i tak dalej.

Trzecią rzeczą, którą chcę powiedzieć, jest to, że my do końca nie wiemy (choćby rozmawiamy o tym, wielu ekspertów się wypowiada), jaka była przyczyna agresji na Ukrainę i to akurat teraz. W 2014 roku Putin nie poszedł zdecydowanie, aby zająć cały kraj. Miał złe rozpoznanie wywiadowcze. Pewnie chciał to zrobić etapowo, no to jej nie dostał, bo Ukraińcy dostali czas i się zintegrowali, niespodziewanie wzmacniając tożsamość i stawiając silny opór. Teraz mamy taką sytuację, w której

zachodnia Ukraina tworzy jakby odrębny byt i odrębne państwo, a część wschodnia pozostaje – i pewnie pozostanie – pod wpływem rosyjskim. Charków jednak, gdzie wprawdzie mówi się po rosyjsku, zdecydowanie ciąży do Ukrainy, „nie doceniając” plusów rosyjskich. Jak to Trump powiedział: nie jest mniej trwałe niż granice, a tu ludzie umierają; trzeba zatrzymać tę procedurę. I my wszyscy też to wiemy. Czy ten kompromis zostanie zawarty w ten sposób, że zachodnia Ukraina stworzy państwo? Dla nas, Polaków, wydaje się, że posiadanie buforu jest lepsze niż nieposiadanie. To dla nas *minimum minimorum*, ale oczywiście dla Ukrainy to za mało. Powinniśmy inwestować – co wszak robimy! – w tę Zachodnią Ukrainę, wzmacniając ją przynajmniej na tyle, żeby kompromis był możliwy i strawny.

Włodzimierz Cimoszewicz: Zacznę od ostatniej myśli profesora Peka-
ra. Pewnie nie zdziwicie się – mieszkam trzy kilometry od granicy z Białoru-
są, więc trochę mnie interesuje, czy sprawy mogą przybrać aż tak drastycz-
ny obrót. Rzeczywiście od czterech lat mamy tutaj nieprzyjemną sytuację
w związku z problemem granicznym, migrantami. Wiadomo, że to jest
sterowane świadomie, chociaż wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że
przez skorumpowanych ludzi władzy w Białorusi – niż że jest to jakiś ele-
ment wielkiego planu rosyjskiego. Podobnie jak Roman Kuźniar i Zbigniew
Wróbel nie jestem bardzo przestraszony perspektywą zbrojnej akcji prze-
ciwko Polsce, ponieważ nie bardzo znam odpowiedź na pytanie, po co Rosja
miałaby to robić. Tak jak znam odpowiedź na pytanie, po co straszy nas – nie
tylko zresztą Polaków i Bałtów, ale też Skandynawów i dalej – tak nie bardzo
wiem, po co miałaby iść dalej, robić następne kroki, co by chciała przez to
osiągnąć. Rosjanie mogą straszyć w celach prewencyjnych, ale atak byłby
ogromnym ryzykiem, a już przecież nie radzą sobie z sytuacją, którą sami
sprowokowali w Ukrainie.

Od kilkunastu lat jestem głęboko przekonany, że rosyjska polityka zagra-
niczna ma charakter samobójczy. Mówiłem to na międzynarodowych forach
wywołując zaskoczenie tak mocną oceną. Ten samobójczy charakter polega
na tym, że odcinając się od Zachodu, od źródła niezbędnych technologii
dla swojej gospodarki, Rosja na ochotnika staje się wasalem Chin i w co-
raz mniejszym stopniu ma pełną swobodę dokonywania własnych wyborów
w polityce zagranicznej. W coraz większym stopniu musi uwzględniać także
interesy chińskie, bo Chińczycy uzyskali i uzyskują coraz więcej mecha-
nizmów kontrolnych w stosunku do Rosji, jej polityki, gospodarki, sytuacji
finansowej itd.

Czy wojna się skończy – i kiedy – oczywiście nie wiemy. Mnie się wydaje,
że rzeczywiście sankcje nie wywołały jak do tej pory takich skutków, na jakie
mieliśmy nadzieję kilka lat temu. Należy je jednak kontynuować i wzmac-
niać. Wspomniano tu o problemie wywozu ropy rosyjskiej przez Bałtyk.
Miałem okazję mówić o tym dwa lata temu w Parlamencie Europejskim.
Jest dosyć proste rozwiązanie, żeby ten transport co najmniej ograniczyć,
jeśli nie zastopować: należałoby w ramach Rady Państw Morza Bałtyckiego,
skupiającej wszystkie państwa tego akwenu, włącznie z Rosją, większością
głosów przeformować stanowisko zakazujące przewozów po Bałtyku takich
substancji jak ropa naftowa niedostosowanymi statkami (niemającymi po-
dwójnych kadłubów) i upoważniające do nieprzepuszczania takich tankow-
ców przez cieśniny duńskie. Wiem, że byłoby to dyskusyjne z punktu wi-

dzenia prawa międzynarodowego, ale moim zdaniem dające się obronić. *Flota cieni* to w ogromnej większości stare, zbierane po świecie statki, niespełniające dzisiejszych warunków bezpieczeństwa ekologicznego. Wyobraźmy sobie katastrofę takiego tankowca z 50-100 tysiącami ton ropy w odległości 20 km od naszego wybrzeża; byłaby to tragedia o wymiarze historycznym. Wymiana statków tej floty byłaby dla Rosji trudna, droga, w krótkim czasie nieosiągalna, więc pewnie w ten sposób przykręcilibyśmy jeden z kurków, przez który ciągle płyną do Rosji pieniądze umożliwiające jej dalsze prowadzenie wojny.

Co do warunków ewentualnego porozumienia kończącego nie tyle wojnę, co działania wojenne, w moim przekonaniu należałoby poważnie założyć, że w interesie Ukrainy oraz świata zachodniego nie leży podpisanie paktu pokojowego. Owszem, porozumienie kończące działania wojskowe, prawdopodobnie zawierające rozmaite przepisy, postanowienia, które zmniejszają ryzyko powrotu do działań wojskowych – tak. Ale nie pakt pokojowy. Ten musiałby bowiem oznaczać ostateczne prawne rozstrzygnięcie kwestii granicy. Nie tylko Ukraina, także świat zachodni, demokratyczny, nie powinien prawnie uznawać skuteczności rosyjskiego zagrabienia cudzego terytorium przy pomocy siły. Nawiasem mówiąc, w moim przekonaniu – powiem coś bardzo kontrowersyjnego – w interesie Ukrainy tak naprawdę nie leży też niewyobrażalne, nieprawdopodobnie kosztowne z dzisiejszej perspektywy szybkie odzyskanie jej wschodniej części. Została tak zniszczona, że gdyby to raptem się wydarzyło (na przykład: Rosja się przewraca z jakiegoś powodu, jest zamach stanu, nowe władze postanawiają się wycofać i oddać wszystkie zagarnięte tereny), to przez kolejne kilkanaście czy kilkadziesiąt lat zasoby ukraińskie szłyby na odbudowę wschodnich regionów kraju, a nie na całą resztę. Mówiąc szczerze, niech odbudowywanie tego, co zniszczyli, będzie zmartwieniem Rosjan przez kolejne kilkanaście–kilkadziesiąt lat. Natomiast, powtarzam, nie można tego uznać z prawnego punktu widzenia. Nawet jeżeli będzie to trwało nie wiadomo ile. Okupacja Zachodniego Brzegu Jordanu jest nielegalna od 1967 roku – tak stanowiła Rada Bezpieczeństwa ONZ i do dzisiaj wiadomo, że Izrael jest tam okupantem. Ogromna większość państw na świecie nie jest skłonna uznać ewentualnego przyłączenia Zachodniego Brzegu czy jego części do państwa izraelskiego. O podobną sytuację należałoby walczyć w nadziei na to, że przyszłość będzie stwarzała różne okazje do jakiegoś innego porozumienia, do odzyskiwania całości lub części tych ziem. Najbardziej pozytywnym scenariuszem byłoby według mnie uzyskanie przez Ukrainę, po zakończeniu działań wojennych, silnego wsparcia ze strony świata zachodniego, także przy wykorzystaniu zamrożonych rosyjskich zasobów (o co też wielokrotnie apelowałem publicznie) oraz jej szybki rozwój. Dzięki skoncentrowaniu się na własnym rozwoju, na podnoszeniu standardów życia, jej dawni obywatele, którzy w czasie wojny zmienili obywatelstwo, nabiorą przekonania, że powrót zwierzchnictwa ukraińskiego na te ziemie będzie oznaczał dla nich wymierne korzyści. Dlatego też naszym wspólnym obowiązkiem jest ułatwianie procesu negocjacji akcesyjnych do Unii Europejskiej. Chociaż musimy też być wolni od naiwności: to będzie piekielnie trudne. Dobrze, niech Ukraina będzie kon-

kurentem dla naszego sektora zbrojeniowego. Ale nasi rolnicy nie wytrzymają tego, że stanie się konkurentem dla nich. W związku z tym będziemy mieli poważne problemy polityczne wewnątrz kraju. Niemniej, ten proces trzeba byłoby bardzo wspierać, jak najbardziej.

Wsparcie Unii Europejskiej powinno być zresztą wielowątkowe i kreatywne. Profesor Pekar wspomniał o problemie miliona rosyjskich weteranów szukających swojego miejsca w powojennej rzeczywistości, o ryzyku wzrostu przestępczości i destabilizacji. Ale Ukraina może mierzyć się z podobnymi zagrożeniami. Już teraz państwa UE mogłyby pomyśleć o programie zaproszenia ukraińskich weteranów do bezpłatnego studiowania na europejskich uczelniach – podobnie jak uczynił to rząd USA w odniesieniu do żołnierzy wracających z II wojny światowej. Nawet sto tysięcy takich stypendiów byłoby niczym w porównaniu z kosztami wojny i odbudowy oraz korzyścią w postaci stabilnego sąsiada i partnera, a w przyszłości – członka.

Gdy chodzi o NATO, to perspektywa członkostwa jest w tej chwili całkowicie nieprawdopodobna. Wystarczy, że Amerykanie będą konsekwentnie na *nie*. Nie wiemy, co będzie za trzy lata, kiedy pojawi się jakiś następca Donalda Trumpa. Jeżeli będzie to jego obecny wiceprezydent, to polityka Stanów Zjednoczonych pod tym względem się nie zmieni. A jest jeszcze kilku członków Sojuszu, którzy – przynajmniej patrząc z dzisiejszej perspektywy – na przyjęcie Ukrainy się nie zgodzą.

Wojna oczywiście kiedyś się skończy. Należy robić wszystko, co się da, żeby Rosję wyczerpywać, żeby ją zniechęcać. Nie potrafię tylko sobie odpowiedzieć na tragiczne wręcz pytanie: ile może wytrzymać Ukraina? Jak długo będzie w stanie walczyć jej armia? Od dawna słyszymy o problemach związanych z rekrutacją żołnierzy. To zrozumiałe. Są ludzie, którzy niemal cztery lata walczą na froncie, wielu zginęło, kto ma ich zastąpić? Polityka i polityczne wybory w Kijowie są niezwykle dramatyczne i bardzo trudne. Jeżeli Ukraina przy pomocy świata demokratycznego, przy pomocy Europy, wytrzyma jeszcze jakiś czas (aż boję się to powiedzieć, ale myślę tutaj o latach – o kilku latach), to wtedy prawdopodobnie będzie się zniechęcało Rosję do kontynuowania tego przedsięwzięcia.

I ostatnia teza: podobnie jak profesor Pekar i wielu z nas myślę, że głównym motywem Putina (bo to w gruncie rzeczy była jego decyzja) jest chęć odbudowy imperium w jakimś stopniu i w jakimś kształcie. To logicznie pasuje do jego zachowania przez wiele lat: przyzwolenie na powrót pewnego idealizowania Stalina, słynne powiedzenie o największym nieszczęściu XX wieku, jakim był według niego rozpad Związku Radzieckiego. Ale myślę, że jest jeszcze jeden motyw, który niestety wzmacnia jego determinację. Otóż on po prostu ma świadomość, że Rosja nie dysponowała i nie dysponuje żadnym innym atutem poza bronią i armią, której znaczenie i efektywność przeceniał oczywiście, w nowym układaniu porządku światowego. I ma świadomość, że będzie to nie tylko jego prestiżowa osobista porażka, ale też że jeżeli nie osiągnie w większym stopniu swoich celów w Ukrainie, to w tej walce o nowy porządek światowy będzie tak zwanym *looserem*, przegrany. Okaze się słabeuszem, który nie potrafił skutecznie w nowej rzeczywistości walczyć o pozycję Rosji.

Piotr Szymaniec, profesor Akademii Nauk Stosowanych Angielsa Silesiusa w Wałbrzychu: Przypominam sobie rysunek z „The Economist” z lutego ubiegłego roku przedstawiający Donalda Trumpa, który dzieli się tortem w kształcie globu z chińskim przywódcą Xi Jinpingiem. Już wówczas oczekiwano, że dojdzie do jakiegoś porozumienia między USA i ChRL o podziale świata i powstaniu nowego układu dwubiegunowego. Wspominam o tym, aby zaakcentować czynnik, który pomijałśmy w naszej dyskusji, a który związany jest z globalnym kontekstem ekonomicznym i z interesami Chin. W interesie ekonomicznym Chin jest utworzenie Nowego Jedwabnego Szlaku, czyli możliwość szerokiego eksportowania towarów do Europy, co nie leży w interesie USA. Trump postrzega politykę zagraniczną jako grę biznesową. Chciałby zawrzeć *deal* z Putinem, a że do takiego porozumienia nie doszło, to dlatego, że Rosja jest zainteresowana długoterminowym uregulowaniem politycznym, podczas gdy *deal* biznesowy ze swojej natury jest jednorazowy, krótkoterminowy.

Jeśli pokój w Ukrainie miałby wzmocnić Chiny, bo udrożniałby Nowy Jedwabny Szlak, to USA niekoniecznie są zainteresowane takim uregulowaniem, które przyczyniłoby się do umocnienia Chin. Generalnie – globalny kontekst ekonomiczny musimy mieć na uwadze, gdy analizujemy stosunek do wojny ze strony Chin, Indii czy innych wschodzących potęg gospodarczych, które mają zupełnie inną niż my perspektywę wydarzeń wokół Ukrainy.

Pozwolę sobie inaczej niż pan prezes Wróbel postrzegać etniczną czy tożsamościową sytuację w Ukrainie, która wydaje mi się znacznie bardziej skomplikowana. Postawy mieszkających na wschodzie kraju rosyjskojęzycznych obywateli Ukrainy wobec agresji Rosji były bardzo zróżnicowane. Skłaniałbym się raczej do myśli, że w ogniu wojny być może stworzy się nowy naród Ukrainy, o którego przekonaniach i zapartywaniach trudno jednak dzisiaj wyrokować. W każdym razie koncept podziału Ukrainy, utworzenia na zachodzie Ukrainy buforowego państwa wydaje się mi groźny i sprzeczny z interesami Polski – chociażby dlatego, że przesuwana znacznie na zachód, a więc ku naszym granicom, strefę rosyjskiego oddziaływania.

Polityka zagraniczna współczesnej Rosji przypomina rosyjski imperializm z XIX wieku. Zwłaszcza jeśli spojrzymy na nią, przykładowo, przez pryzmat ówczesnego konfliktu rosyjsko-tureckiego. Rosja wygrywa lokalne animozje na obszarach, z którymi graniczy, wkracza w powstające rozdarcia, natomiast gdy napotyka opór – czeka na powstanie korzystniejszych dla siebie okoliczności. Być może te historyczne analogie mogą być dobrym kluczem do pojmowania zachowania Rosji, w szczególności, że Putin lubi odwoływać się do historii.

Celem Rosji jest odbudowa imperium. Lecz jej ambicje są umiarkowane przez globalny kontekst gospodarczy, przez co chcę powiedzieć, że z chwilą, gdy wojna w Ukrainie stanie się niekorzystna dla państw pośrednio lub bezpośrednio wspierających Rosję, w tym Chin, będą one skłaniać Rosję do zaprzestania walk. Scenariusz „miękkiego zgniłego układu”, o którym mówił prof. Pekar, wydaje mi się w takiej sytuacji prawdopodobny.

Marek Figura, profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Wydział Historii, Zakład Studiów Wschodnich: Myślę, że wyrażę podziw i szacunek nas wszystkich, podkreślając długotrwałość, poświęcenie i skuteczność oporu Ukrainy. Nikt nie przewidywał, że Ukraina będzie zdolna stawiać tak twardy, zacięty opór. Oczywiście taka wojna łączy się z dużymi stratami, w tym, co szczególnie bolesne, stratami ludzkimi.

Podobnie jak profesor Pekar uważam, że najbardziej prawdopodobną formułą zakończenia działań zbrojnych jest jakiś niesatysfakcjonujący żadnej ze stron rozejm, coś w rodzaju zbrojnego pokoju, o którym dzisiaj trudno powiedzieć, kiedy i na jak długo byłby zawarty. Kluczowe jest to, co podkreślał pan premier Cimoszewicz, aby nie uznawać faktów dokonanych. Zawarcie trwałego pokoju sankcjonującego prawnie dezintegrację terytorialną Ukrainy byłoby destrukcyjne dla całego porządku międzynarodowego.

Siłą demokracji jest zaangażowanie podmiotowej opinii publicznej. Ale jednocześnie jest to także słabość demokracji, którą Rosja stara się wykorzystać. Ukraińcy mają prawo być zmęczeni wojną. Jeśli rozmawia się szczerze z Ukraińcami, to rozumie się, że mają oni dość tej wojny. Bo jeśli ktoś mieszka w regionie bliskim strefy działań wojennych, na przykład w Charkowie, wystawiony jest na niestające zagrożenie bombardowaniami, dronami, to poddawany jest wielkim stresom, które działają destrukcyjnie na psychikę nie tylko żołnierzy, ale także ludności cywilnej. Nie należy się zatem dziwić chęci opuszczenia przez ludzi regionów narażonych na działania zbrojne.

Wojna wywołała dużą falę emigracji z Ukrainy. Mieliśmy niesłychane spontaniczne zaangażowanie ludności, nie tylko w Polsce, na rzecz uchodźców z Ukrainy. W Polsce to emocjonalne wzmożenie nazwałbym nawet jakby powtórką z Solidarności, tak powszechny i zaangażowany był udział naszych współobywateli w przyjmowaniu ukraińskich uchodźców. Zawsze mam jednak obawy przed takimi masowymi wybuchami emocji, bo emocje mają tę właściwość, że są krótkotrwałe. I dzisiaj zmęczenie wojną obserwujemy w społeczeństwach państw, które tak gościnnie witały Ukraińców. Zdarzają się przejawy niechęci zwłaszcza, że wśród uchodźców są nie tylko kobiety i dzieci, ale też młodzi mężczyźni, którzy z jakichś powodów nie chcieli walczyć. O ile elity europejskie w większości kontynuują poparcie i zaangażowanie na rzecz Ukrainy, to w nastawieniu społeczeństw następują zmiany. Tę sytuację wykorzystuje Rosja, która potrafi wygrywać różnice poglądów i napięcia powstające w następstwie masowej migracji uchodźców. Gdy do Polski przybywa kilka milionów ludzi, z których milion osiedla się u nas, dołączając do już przebywających migrantów zarobkowych z Ukrainy, zmienia to skład demograficzny społeczeństwa, wywołując określone problemy. Przykładowo, w samej aglomeracji poznańskiej w pewnym momencie przebywało około stu tysięcy Ukraińców, co stanowiło kilkanaście procent liczby mieszkańców. Początkowa spontaniczna serdeczna gościnność nie mogła trwać wiecznie i po kilku miesiącach zaczęły przejawiać się mniej przyjemne aspekty przyjęcia tak licznej grupy uchodźców.

Chwaliliśmy się, że nie mieliśmy, jak Niemcy, obozów i całej infrastruktury dla uchodźców, że tak wiele dokonano przy pomocy lokalnych działań społecznych i odruchu serca. W tej spontaniczności była siła, ale też pewna

słabość. Gdyż w pewnym momencie niezbędne staje się zaangażowanie państwa, aby podjąć działania systemowe i łągodzić niektóre niekorzystne zjawiska, zwłaszcza jeśli uchodźcy mieliby pozostać u nas na dłużej. Chodzi przecież również o zbliżenie Polaków i Ukraińców, o lepsze zintegrowanie uchodźców z całym społeczeństwem, ponieważ grupy migrantów mają naturalną skłonność do zamykania się w swoim środowisku. Wreszcie uciekinierzy z Ukrainy mieli tak inne doświadczenia, doświadczenia traumatyczne, że trudno im było ustanowić normalne relacje z naszym społeczeństwem. Zwłaszcza że w grę wchodzi inne zjawiska – przykładowo, konkurencja na rynku pracy czy problemy na tle bytowym.

Chciałbym też zwrócić uwagę na kwestię percepcji zagrożenia wojną przez społeczeństwo polskie. Nie chodzi o straszenie ludzi, lecz o to, że zaczęliśmy realne zagrożenie ze wschodu lekceważyć, że uodporniliśmy się na hasła o zagrożeniu. Nie wiem, czy pan premier Cimoszewicz, mieszkając 3 kilometry od granicy z Białorusią, ma podobne odczucia co do postaw społecznych. Mam wrażenie, że społeczeństwa państw bałtyckich traktują rosyjskie zagrożenie poważniej i bardziej obawiają się Rosji. Gdy do Wilna przybyła brygada pancerna Bundeswehry, podczas powitania przez prezydenta Litwy kanclerz Merz złożył deklarację o obronie Litwy. Litwini zamierzają cytować z przemówienia Merza umieścić na ratuszu w Wilnie obok już zainstalowanej tablicy z cytatem z przemówienia prezydenta Busha, który oświadczył, że USA będą traktowały atak na Litwę jak atak przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Zagrożenie ze strony Rosji będzie najpewniej poniżej progu wojny. Niemniej, przynajmniej, takie wrogie nam działania już trwają – te wszystkie akty sabotażu, podpalenia, próby zamachów bombowych. I jeszcze jedna forma ataków – dezinformacja i oddziaływanie psychologiczne przy użyciu mediów społecznościowych, które to akcje są bardzo skuteczne w szczególności gdy są ukierunkowane na młodsze pokolenie. Temu należy się przeciwstawić z całą mocą, ponieważ dezinformacja, dezintegracja społeczeństwa zagrażają i naszemu bezpieczeństwu, i porządkowi demokratycznemu w naszych krajach.

Jarosław Pachowski, przedsiębiorca, m.in. wspólnik w spółce Quality Writing zarządzającej portalem reshumana.pl: Kluczowym pytaniem w ocenie możliwych scenariuszy zakończenia wojny jest to, które premier Cimoszewicz postawił w zakończeniu swojej wypowiedzi: jak długo Ukraina będzie w stanie wytrzymać jakiegokolwiek scenariusze?

Mamy deficyt twardych, sprawdzonych danych o sytuacji militarnej. Czy żyjemy już w świecie, który przywykł do tej wojny? Przetawiał funkcjonowanie wielu państw na kolejne lata jej trwania? Czy jednak możliwy jest jakiś pozytywny *game-changer*? Wobec codziennej tragedii tysięcy niewinnych ludzi liczyć się powinny jedynie te scenariusze, które realnie okażą się wobec Rosji skuteczne.

Większość uczestników dyskusji skłania się do przekonania, że Putin ustąpi tylko wówczas, gdy go mocno zaboli. Ale Rosja wykazuje dużą odporność na *zadawany jej ból*. Świadczy to także o naszej słabości. Jednocześnie swoją niemoc wykazała dotychczasowa architektura zbiorowego

bezpieczeństwa. Bo przecież Ukraina miała wszystkie możliwe gwarancje bezpieczeństwa, w tym od Rosji. Tymczasem duża część świata agresji Putina wręcz pomaga, duża część mu nie przeszkadza. Grupa państw, „koalicja chętnych”, podejmuje jakieś działania, wciąż niewystarczające, bo nieskuteczne. Problem z flotą cieni jest tego zawstydzającym przykładem. Innym znakiem niemocy jest wciąż nierozwiązana kwestia rosyjskich aktywów. Rozumiem Belgię, która nie chce brać na siebie wyłącznej odpowiedzialności prawnej, ale mamy w Europie wystarczającą armię prawników, żeby znaleźć skuteczne i bezpieczne rozwiązanie.

Co mogłoby jeszcze mocniej zaboлеć Putina? Zdając sobie sprawę z delikatności problemu postawiłbym pytanie o to, na ile można boleśniej przenieść tę wojnę na terytorium samej Rosji. Mówię o sytuacji, w której koszty – ale także dramaty – wojny ponosiłaby także rosyjska ludność cywilna. Dzisiaj społeczeństwo rosyjskie popiera Putina, podziela deklarowane przez niego cele wojny, identyfikuje się z jego imperialnymi zapędami i pozostając pod wyłącznym wpływem kremlofskiej propagandy samo z siebie tego nastawienia nie zmienia. Szczególnie, że do różnych braków czy niedogodności rynkowych jest ono przyzwyczajone od zawsze. Dopiero dramaty własne, nawet ograniczone, ale burzące mit bezpiecznego mocarstwa, mogą to nastawienie zmienić. Wywołać sprzeciw wobec władz. Trzeba do tego tematu podchodzić z dużą ostrożnością, starannie przemyśleć formy działań, ale nie rozpatrywać go wcale to robić duży prezent Putinowi.

Prawdopodobieństwo bezpośredniego ataku wojennego na Polskę ze strony Rosji uważam za ograniczone. Rosja będzie podejmowała działania wobec nas agresywne, ale poniżej progu wojny i z celem wywołania strachu i stanu społecznego zagrożenia. Dlatego będą się mnożyć różne prowokacje, a nawet realne akty sabotażu. Przy zachowaniu ostrożności, aby nie wywołać bezpośredniej reakcji zbrojnej NATO czy państw europejskich. Chociaż musimy jednocześnie zdawać sobie sprawę z tego, że ludność Europy (a szczególnie młode pokolenia wychowywane w atmosferze bogacenia się i absolutnie bezpiecznego pokoju) nie jest naturalnie skłonna do szykowania się do wojny. Pojęcie patriotyzmu także mocno ewoluuje w czasie. Na przykład we Francji, gdzie w tej chwili jestem, przeciętni obywatele są dużo mniej zdeterminowani do przeciwstawiania się Rosji niż prezydent Macron i elity polityczne kraju. Nie mówię o państwowych zobowiązaniach sojuszniczych, które są trwałe. Ale w swoim ogóle Francuzi nadal nie mają ani motywacji, ani ochoty „umierać za Gdańsk”. I nie byłoby rozsądne testować w praktyce tę gotowość.

Natomiast to, co możemy i powinniśmy robić, to identyfikować słabości naszych dotychczasowych działań, wręcz eliminować te nieskuteczne, a przyspieszać i wzmacniać te, które mogą przynieść realny efekt. Rozwijając ich zakres. Flota cieni i aktywa to naprawdę gorące tematy, a jednocześnie wstydlive przykłady braku skuteczności. Do szybkiej zmiany.

Dr Mariusz Marszewski, czasopismo „Kavkaz. Przeszłość – Terażniejszość – Przyszłość”: W moim przekonaniu element irracjonalności w rosyjskiej polityce jest mocno przeceniony. Pamiętajmy o żądaniach Rosji, przedstawionych w 2021 roku przed inwazją na Ukrainę, które dotyczą tego, aby NATO faktycznie wycofało się z obszarów, które Moskwa uważa za

rosyjską strefę wpływów. Przy czym, zauważmy, obszar postulowanych rosyjskich wpływów obejmuje nie tylko dawne RWPG, ale *de facto* strefę rosyjskich wpływów z okresu caratu, ponieważ obejmuje, przykładowo, Czarnogórę, która nie była w bloku państw komunistycznych, ponieważ była częścią Jugosławii, oraz te wszystkie kraje, które w naszej myśli geopolitycznej tak ładnie nazwaliśmy Międzymorzem. Rosja nigdy nie zrezygnowała z tych żądań. Zatem, wydaje mi się, dopóki cel ten nie zostanie osiągnięty, wojna na Ukrainie nie ma prawa się skończyć, gdyż to stanowi dla Rosji główne zadanie.

Drugim zagadnieniem, związanym z wojną Rosji z Ukrainą i konfrontacją Rosji z Zachodem, jest kwestia Globalnego Południa, które mocno wspiera od pewnego momentu (bo na początku wojny nie było to oczywiste) stronę rosyjską. Po stronie Rosji *de facto* opowiedziały się zarówno kraje biedne, z bardzo niskim PKB, jak też potęgi takie, jak Chiny, Indie czy Brazylia, generalnie kraje grupy BRICS. Globalne Południe, nazywane kiedyś brzydtko Trzecim Światem, obejmuje sporą część ludności globu i bardzo dużą część potencjału planety – od wspomnianych przed chwilą mocarstw do mniejszych, będących realnie satelitami tych większych aktorów sceny światowej. Bez poparcia szeroko rozumianego Globalnego Południa dla Rosji nie mielibyśmy tej sytuacji, jaką mamy. Uważam, że poparcie Globalnego Południa ma dużo ważniejsze znaczenie niż brak konsekwencji Zachodu.

Pytanie, jakie nasuwa się w związku z powyższym, brzmi: Co można zaoferować krajom Globalnego Południa, żeby przestały one popierać Rosję? Wydaje mi się, że odpowiedź w rodzaju, że w grę wchodzi wartości moralne jest wręcz nieestosowna. Bo, jak świetnie przedstawił to profesor Kuźniar, w kontekście tego, jak w dowolnym kraju Globalnego Południa postrzegana jest wojna na Bliskim Wschodzie, głoszone przez Zachód wartości moralne uległy bankructwu.

W naszej debacie padły słowa o tym, jak bardzo wojna z Ukrainą jest nieopłacalna dla społeczeństwa rosyjskiego. Otóż z tego, co udało się mi prześledzić, jakkolwiek przyczynkarskie by to nie były obserwacje, jest akurat odwrotnie. Na rosyjskiej prowincji wojna jest źródłem dochodu, a nie źródłem biedy, ponieważ wypłaty za poległych, żołd, wypłaty za sam zaciąg do armii stanowią ogromny zastrzyk gotówki, który polepszył sytuację ludzi w biednych, oddalonych regionach Rosji. Co więcej, te dopływy gotówki stały się głównym elementem motywującym mniejszości narodowe, których odsetek przedstawicieli w niektórych pododdziałach przekracza 50 procent. Jest to też ten dodatkowy zysk dla władzy centralnej, że osoby – by użyć języka Lwa Gumilowa – pasjonarne, czyli takie, które wykazują się jakąś dynamiką, które mogłyby przewodzić ruchom separatystycznym, odśrodkowym, decentralizacyjnym, te osoby giną na wojnie lub otrzymują takie uposażenia, że wojna staje się dla nich opłacalna. Wydaje się mi, że to są elementy, które niestety umykają uwadze naszych mediów czy ekspertów.

Opuszczenie tego elementu w naszych dyskusjach i ekspertyzach jest dla mnie niezrozumiałe, gdyż prowadzi do błędnych konkluzji, na przykład do pojawienia się prognoz, że Rosja rozpadnie się. Czy do nadawania nadmiernego znaczenia jakimś organizacjom opozycyjnym, które

w dużej mierze mają charakter kanapowy. Jak powiedział mi jeden z działaczy takiej organizacji: To, oczywiście, fajnie, że siedzimy sobie, działamy, piszemy... U was też był kiedyś rząd londyński na emigracji i jakież on miał znaczenie i wpływ na to, co realnie działo się w PRL?

Oczywiście, ujmuje sarkazm, z jakim ów działacz rosyjskiej grupy opozycyjnej autoironicznie podsumował swoją działalność, ale wniosek z tej opowieści jest taki, że powinniśmy jednak odróżniać pewną iluzję propagandową, w której żyjemy, od realnych celów geopolitycznych, które są beznamiętnie werbalizowane przez stronę rosyjską, a których Rosja nigdy się nie wyrzekła.

Ukraina, oczywiście, jest bardzo ważna, a to, co się dzieje w Ukrainie, jest straszne. Wojna w Ukrainie często interpretowana jest w Rosji, ale także na Ukrainie, jako wojna bratobójcza, gdyż walczą przeciwko sobie dwa bratnie narody. Naturalnie, podejrzewam, że za tym stołem mało kto będzie traktował poważnie taką retorykę, jakkolwiek muszą powiedzieć, że w rozmowach z Ukraińcami, którzy uciekli do Polski nierzadko słyszę, że jest to wojna bratobójcza, że jest to wojna niepotrzebna. Wydaje mi się, że mocno funkcjonujemy w paradygmatach romantycznych, polskocentrycznych i że jesteśmy tam osadzeni, podczas gdy najważniejszą kwestią jest, jak będzie wyglądać nowy światowy porządek, jak będzie wyglądać w nim miejsce Polski po wojnie. Oczywiście, nie wiadomo, kiedy wojna się skończy, bo to nie jest wojna Rosji z Ukrainą, lecz wojna z Europą o wycofanie się NATO z obszaru między Rosją a Niemcami, od Półwyspu Bałkańskiego do Skandynawii. I w rozmowie o wojnie w Ukrainie trzeba zawsze mieć ten element na uwadze.

Zdzisław Raczyński, „Res Humana”: Sądzę, że każda dyskusja prowadzona w naszym kraju na temat agresji Rosji na Ukrainę będzie obciążona pewnym problemem kognitywnym. Chodzi zarówno o to, że nasza wiedza jest dalece niepewna, gdyż przekazy informacyjne w czasie wojny są elementem konfrontacji, jak i o nasze – państwa i społeczeństwa – zaangażowanie po jednej ze stron konfliktu. Jesteśmy stroną tego konfliktu. Nie jesteśmy naturalnie zaangażowani bezpośrednio, lecz logistycznie, finansowo, politycznie, moralnie i emocjonalnie jednoznacznie wspieramy Ukrainę. Tym samym nasze postrzeganie przyczyn konfliktu, jego przebiegu, sposobu rozwiązania i skutków wojny jest w sposób oczywisty jednostronne. A to utrudnia zrozumienie motywów postępowania Rosji, jak też przyczyn zachowania dużej liczby państw, określonych przed chwilą pojęciem Globalnego Południa.

Wojna rosyjsko-ukraińska jest wojną postkolonialną, w której metropolia, Rosja, usiłuje odzyskać kontrolę nad utraconą częścią imperium. Rosyjskie kierownictwo polityczne widzi w odbudowie imperium, czyli uznaniu przez Zachód Rosji jako jednego ze światowych centrów wpływów, sposób na rozwiązanie czy odsunięcie w czasie problemów wewnętrznych Federacji, a także zwiększenie bezpieczeństwa państwa poprzez rozbudowanie głębi strategicznej. Idzie zatem nie tylko i nie tyle nawet o ekspansję terytorialną, ile o przebudowę dotychczasowego ładu międzynarodowego, który – przyznajmy – i tak uległ już degradacji. Agresywna polityka Rosji wynika więc z jej niepewności, obaw, wreszcie – z uświadamianej własnej słabości w innych dziedzinach niż militarna. Podzielać myśl pana premiera Cimo-

szewicza, że Rosja sięgnęła po militarny instrument, gdyż nie posiada innych, które byłyby konkurencyjne.

Analiza podstawowych danych – udział w globalnym PKB, handlu, innowacjach, miejsce w rankingu rozwoju społecznego (HDI) – pokazuje, że od końca lat 70. ubiegłego wieku, z wielką cezurą rozpadu ZSRR w 1991 roku, trwa nieustanny proces osłabienia Rosji i utraty przez nią pozycji w świecie. Czas słabnięcia Rosji zbiegł się z tektonicznymi zmianami globalnymi. Nie miejsce, by o nich mówić, lecz – w największym skrócie – mam na myśli degradację jeśli nie rozpad, dotychczasowego systemów bezpieczeństwa i finansowego oraz procesy, które nazywam umownie nowym etapem dekolonizacji. Państwa tzw. Globalnego Południa, żywotnie zainteresowane korzystną dla siebie zmianą dotychczas obowiązujących reguł, dyktowanych przez Globalny Zachód czy Globalną Północ, postrzegają wojnę rosyjsko-ukraińską jako wojnę *proxy* między Rosją a Zachodem. Dlatego też, najogólniej, nie popierają nas.

Rosja szuka swego miejsca w tym zmieniającym się świecie i sposobu powstrzymania swojego ugasania. Zdecydowała się na, w moim najgłębszym przekonaniu – zgubną, drogę próby militarnego wymuszenia na Zachodzie korzystnych dla siebie ustępstw. Jak wielu innych obserwatorów historii i polityki Rosji, zadaję sobie pytanie, czy elity tego mocarstwa jądrowego są w stanie wymyślić swoje państwo inaczej niż jako imperium. Bo Rosja nie postępuje irracjonalnie. Postępuje zgodnie z logiką myślenia imperialnego, co w konkretnej sytuacji politycznej i przy potencjale Rosji oznacza, że postępuje paralogicznie. Mamy do czynienia z racjonalnością perwersyjną.

Nasz wspólny dramat polega na tym, że to błędne, urojeniowe myślenie czyni chorym całe otoczenie, militaryzując nasze myślenie. Nie rozumiem opowieści o wygraniu wojny, o pokonaniu wroga. Rzecz przecież w tym, że tej wojny nikt nie wygra. Nie śmiem spekulować, jak i kiedy zakończy się wojna. Najprawdopodobniej zakończy się ona najdalej w ciągu dwóch-trzech lat długotrwałym rozejmem na linii umownego frontu. Co będzie oznaczało utratę przez Ukrainę faktycznego władztwa nad częścią swojego terytorium. Niemniej, w interesie nas wszystkich, samej Ukrainy, Polski, Europy, ale też Rosjan, leży jak najszybsze zakończenie walk zbrojnych. Oznacza to, że nasze obecne działania powinny mieć na celu ograniczenie szkód. Już poniesionych i tych, które mogą nastąpić i będą nieodwracalne.

Powiedziałem przed chwilą, że ta wojna nie będzie miała zwycięzców na naszym kontynencie. Ale ośmielę się powiedzieć już dzisiaj, kto tę wojnę przegrał. Przegrała Ukraina, przegrała Rosja, przegrała Europa. Ukraina utraciła część terytorium, poniosła gigantyczne straty demograficzne, bo mam na myśli także emigrację i zmniejszenie ludności kraju z 52 do 29 milionów, oraz materialne. Przegrała Rosja – gdyż straciła wielu młodych mężczyzn, prestiż międzynarodowy, nimb wielkiej potęgi militarnej, swoje szanse rozwojowe drogą modernizacji zbliżającej do demokracji zachodnich. I nie wydaje się, aby zbliżyła się do głównego celu tej wojny, czyli do narzucenia Zachodowi swojej projekcji przyszłego ładu. Najlepsze, co teraz może czekać Rosję, to

rozwijanie się pod opieką i w cieniu wielkich Chin, które – przypuszczam – odzyskają Tajwan w najbliższych dwudziestu latach, ale bez użycia siły. Przegrała Europa, bo ponownie, jak w wojnach jugosłowiańskich, okazała się niezdolna do zarządzania pokojem. Wojna w Ukrainie podzieliła Europę i osłabiła ją w wyniku przeznaczania gigantycznych kwot na zbrojenia i pomoc Ukrainie. Bez satysfakcji przyjmując decyzje o wspólnym wysiłku zbrojeniowym Europy, jako że nie wierzę, że akurat uwspólnotowienie polityki zbrojeniowej przyczyni się do zjednoczenia Europy. Obawiam się, że szansa na federalizację Europy została już utracona. UE powstała jako projekt polityczny, który miał zapobiegać konfliktom. Nie jako projekt militarny; nie to było jej wielkim atutem, nie to zjednało jej podziw i uznanie świata. Unia przegrała pokój w Europie, bo nie potrafiła zapobiec wojnie. To, że wygrywają na wojnie wielkie koncerny zbrojeniowe i energetyczne, a ich zyski wzrosły niepomiernie w ostatnich czterech latach, nie jest także powodem do satysfakcji.

Jeśli uda się nam przerwać tę wojnę, czeka nas, jako Unię, wielki wysiłek na rzecz odbudowy Ukrainy i zintegrowania jej z naszą wspólnotą. Z przyczyn, które moi szanowni przedmówcy precyzyjnie wskazali, Ukraina najprawdopodobniej nie stanie się członkiem ani UE, ani NATO. Ale formuła integracji istnieje, wyrażona już wcześniej, bodajże przez Javiera Solanę: „członkostwo bez członkostwa” czyli wszystko to, co jest przewidziane statusem członka obu organizacji, chociaż bez formalnego członkostwa. Oczywiście, jako Polska powinniśmy dbać o to, aby temat członkostwa Ukrainy i w NATO, i w UE cały czas pozostawał na agendzie obu wspólnot.

Zdzisław Jacaszek, wiceprezes Stowarzyszenia Współpracy Polska-Wschód: Dziękuję, że panowie odpowiedzieli na nasze zaproszenie i przeprowadzili dyskusję według anonsu, który do panów skierowaliśmy. Nie przedłużając, chciałem powiedzieć o interesie naszego Stowarzyszenia, jego członków, ludzi którzy się skupili wokół idei dobrego sąsiedztwa. Profesor Figura spojrział na to z punktu widzenia sąsiadów nie tylko za granicą, ale też tych, którzy do nas przybyli i zapewne u nas pozostaną. Chciałbym zaproponować, żebyśmy na przyszłym spotkaniu pochylili się nad tym problemem.

Valerii Pekar: Mam jeszcze dwie uwagi. Po pierwsze, nie uważam działań Rosji i Putina za irracjonalne. Są to działania stuprocentowo racjonalne, ale to jest *racjonalność imperialna*. Po drugie, aby sformułować europejską strategię wobec Rosji, powinniśmy przejść z zachowania pasywnego, reaktywnego do aktywnego, rozważyć scenariusze przyszłości Rosji i zrozumieć, jakie wyzwania w poszczególnych scenariuszach wynikają dla Europy i dla Polski. A następnie wybierzmy aktywne działania sprzyjające scenariuszowi optymalnemu dla Polski.

Józef Bryll: Dziękuję wszystkim panom, tu obecnym i tym, którzy są z nami w sieci, za bardzo interesującą dyskusję. Sądzę, że powinniśmy rozważyć opublikowanie zapisu naszej rozmowy w formie osobnego wydawnictwa, tak aby spostrzeżenia i wnioski nie umknęły naszej pamięci oraz uwadze tych wszystkich, którzy są zainteresowani pogłębionym, nieszablonywym spojrzeniem na sytuację w i wokół Ukrainy. ■

SPOŁECZEŃSTWO

Ponadczasowy projekt – geneza, aktualność i przyszłość polskiej etyki niezależnej



Stefan
KONSTAŃCZAK

1

Nauki humanistyczne mają problem z interpretowaniem aktywności człowieka zarazem jako wolnej jednostki i jako integralnego elementu społeczeństwa (istoty społecznej). W etyce wyraża się to w dwóch odrębnych ujęciach człowieka jako autonomicznej jednostki oraz jako istoty społecznie zdeterminowanej. W efekcie w etyce istnieje etyka indywidualistyczna oraz etyka społeczna, co samo w sobie jest absurdalne, bo każda z nich stanowi niezależne od siebie standardy i regulacje etyczne. W postaci skrajnej może to powodować, że ktoś może być uznawany za wartościowego społecznie i zarazem, jako jednostka, może być zdemoralizowanym. Ten dylemat został przeniesiony także do struktury etyki, bo mamy psychologię moralności zajmującą się kondycją moralną jednostek oraz socjologię moralności, która stara się sprowadzić kondycję miliardów jednostek do wspólnego mianownika. Systemy etyczne mają zatem duże problemy z ujęciem w karby teorii tego dualizmu ludzkiej egzystencji.

Nie znaczy to jednak, że filozofowie nie próbowali tego zrobić. Udało im się to ze zmiennym powodzeniem. Ogólnie rzecz biorąc, taką możliwość dostrzegali w naturalnym ludzkim dążeniu do szczęścia, którego przecież nie da się osiągnąć będąc wyobcowanym ze społeczeństwa. Szczęście jest bowiem zawsze uczuciem współdzielonym z innymi, bo nawet jeśli odczuwamy je tylko sami, to osiągamy ten stan ze względu na kogoś lub dzięki komuś. Oczywiście z powodu innych możemy stać się także głęboko nieszczęśliwymi. Wychodząc z takiego założenia, żyjący w XVII wieku filozof Benedykt Spinoza uważał nawet społeczeństwo za źródło zagrożeń dla moralnej kondycji człowieka, bo jego zdaniem kontekst społeczny wzbudza w człowieku naturalną chęć rywalizacji, porównywania, wzbudza namiętności, potrzebę władzy itp. Zarazem jednak zakładał on, że dzięki posiadaniu rozumowi człowiek wyzwoli się spod tego wpływu, doskonaląc swój rozum, a więc poświęcając się poznaniu, w domyśle filozofii. Jego etyka była zatem skrajnie indywidualistyczna, gdyż szczęście i radość człowiek osiąga, tak jak u starożytnych stoików, tylko dzięki

poznawaniu istoty bytu. Z tej racji społeczeństwo przeszkadza w realizacji naturalnej potrzeby bycia szczęśliwym. Sprowadza się to ostatecznie do stanowiska, że do szczęścia człowiekowi nikt nie jest potrzebny, bo inny może tylko w tym przeszkadzać. Nic zatem dziwnego, że takie teorie etyczne, choć ubrane w kunsztowne struktury słowne, mogące nawet zachwycać głębią przemyśleń, nie zyskały popularności poza światem samej filozofii.

Przeciw wagą dla tych teorii stały się koncepcje, które mieszczą się w nurcie utylitarystycznym, bo szczęście jest tym bardziej wartościowe, im więcej ludzi może je doznawać. Hasło „jak najwięcej szczęścia dla jak największej liczby ludzi” posiada jednak także ograniczenia konceptualne, gdyż teoretycznie dopuszcza możliwość złożenia ofiary z niewinnych ludzi tylko po to, aby pozostali mogli być dalej szczęśliwi. Problem *kozła ofiarnego* nie jest jedynym paradoksem, który wynika z dosłownego interpretowania utylitarystycznej koncepcji szczęścia. Nie przypadkiem to właśnie w utylitarystycznym sformułowano dylemat wagonika, który wręcz zachęca do składania w ofierze mniejszości dla dobra większości. Potęgę takiego rozumowania znamy choćby z niedawnej pandemii. Nie zmienia to jednak faktu, że tego typu problemy stanowią pochodną przeciwstawiania interesu jednostki interesowi społecznemu, stąd główne zadanie etyki sprowadza się do tego, aby takiego przeciwstawienia w ogóle nie było.

Rodzi to pytanie o to, czy jest to w ogóle możliwe. Pozostawienie jednostki samej sobie jest bowiem społecznie nieakceptowalne, podobnie jak całkowite jej podporządkowanie interesom społeczeństwa. W filozofii dzięki Emmanuelowi Mounier te dwie skrajności znane są jako alienacja Narcyza oraz alienacja Herkulesa i obie uznaje się za stojące w sprzeczności z dyspozycjami natury ludzkiej. Nie zmienia to faktu, że człowiek w każdej sytuacji jest zarazem istotą społeczną, jak i niepowtarzalnym indywiduum. Burzliwe wydarzenia ostatnich wieków, które dotknęły większość światowych społeczeństw, uświadomiły etykom, że palącą staje się potrzeba sformułowania etyki integralnej ujmującej człowieka całościowo, a najbardziej obiecującą próbą jej zbudowania okazała się koncepcja zwana etyką niezależną. W tym dziele niepośledni wkład wnieśli także przedstawiciele polskiej filozofii.

2

Nasuwa się stąd niekiedy pytanie, po co w ogóle etyka jest potrzebna ludzkości. Z jednej strony jej regulacje nakładają określone obowiązki na jednostki, a więc ograniczają ich wolność, a z drugiej nakazują jej maksymalnie korzystać ze swej wolności, co zwolennicy etyki zależnej odbierają jako przymus. Jest to jednak tylko pozorny paradoks, bo etyka, zresztą jak wszystkie inne wytwory człowieka, ma za zadanie chronić ludzkość. Polski filozof Karol Frenkel jako pierwszy zauważył i podkreślił fundamentalne znaczenie tego zadania etyki. Osiemdziesiąt lat później tę samą tezę powtórzył Hans Jonas w swej *Zasadzie odpowiedzialności*, nadając jej formę imperatywu kategorycznego: „Ludzkość musi przetrwać”. Znaczną część środowisk naukowych rozbija taką zasadę na dwa kierunki działania: na instynkt samozachowawczy oraz instynkt zachowania gatunku. Tymczasem nie ma żadnych podstaw do tego, aby je rozdzielać od siebie, bo trwanie jednostek jest konieczne dla zachowania gatunku. Innymi słowy to sama natura czyni nas moralnymi, bo dalsze istnienie człowieka na Ziemi jest jakby wpisane

w logikę funkcjonowania biosfery. Bez naszego gatunku byłaby ona zupełnie inna, co znaczy, że nagłe zniknięcie naszego gatunku spowodowałoby destrukcję całego ziemskiego ekosystemu. Ludzkość jest więc gatunkiem kluczowym dla dalszego trwania życia na Ziemi.

Świadomość takiego stanu rzeczy była już udziałem przedstawicieli szkockiej filozofii zdrowego rozsądku. To już Francis Hutcheson (1694–1746) stwierdził, że moralność nie wynika z tego, jakie rzeczy są, a więc także nie z racji rozumu, ale należy do sfery poczuć (afektywnej). Ludzie w jego przekonaniu odróżniają to, co moralne od tego, co niemoralne, tak samo jak odróżniają rzeczy słodkie od gorzkich czy ciepłe od zimnych. Poprzez Davida Hume’a pogląd Hutchesona trafił także do Polski. A stało się to za sprawą Tadeusza Kotarbińskiego, który nawiązał do tego poglądu w swym fundamentalnym dziele „Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk” (1929), a stąd pogląd ten stał się fundamentem jego koncepcji etyki niezależnej. Rzecz jednak w tym, że etyka niezależna istniała już przed Kotarbińskim, bo jej początków należy doszukiwać się jeszcze w pozytywizmie, który wystąpił z radykalną krytyką całej tradycji, w tym także tradycji naukowej, którą obarczał winą za cywilizacyjne zacofanie Polski.

Pozytywiści największego przeciwnika mieli wśród kleru wszystkich wyznań, który reklamował siebie wówczas jako ostoję tradycji. W tej walce z pozytywistycznym powiewem nowoczesności wykorzystywano wówczas cały arsenał pomówień, za pomocą których starano się stygmatyzować wszystkich pozytywistów włącznie z zarzucaniem im, że walcząc z tradycją sprzeniewierzają się sprawie niepodległościowej. A przecież jedynym grzechem pozytywistów było dążenie do zmiany zacofanych cywilizacyjnie ziem polskich w nowoczesne państwo. Ofiarami tej stygmatyzacji stały się pierwsze polskie próby sformułowania etyki niezależnej autorstwa Aleksandra Świętochowskiego i Juliana Ochorowicza. W taki właśnie sposób od samego zarania etyka niezależna w Polsce stała się czymś podejrzanym, co wymagało nie lada odwagi od tych, którzy nie bali się głosić jej założeń. Pozytywistom polska etyka niezależna zawdzięcza przede wszystkim uświadomienie tego, że środowisko społeczne, w którym jednostka egzystuje, determinuje jej moralność (Świętochowski), a zatem jeśli chcemy, aby ludzie byli moralni, jesteśmy zobowiązani do stałej obecności w obiegu społecznym regulacji moralnych, które w tym środowisku powstały (Ochorowicz). Nie mogą one mieć źródła zewnętrznego, co znaczy nie tylko odrzucenie wszelkich koncepcji zakładających ich transcendentny charakter, ale także wszelkich prób przeniesienia już istniejących w sąsiednich kulturach, w tym zwłaszcza z państw zaborców.

Niemniej jednak dojrzała postać etyki niezależnej zrodziła się dopiero w obrębie szkoły lwowsko-warszawskiej. To Kazimierz Twardowski podjął studia nad koncepcją Hutchesona, którą poznał pośrednio poprzez studia nad etyką Hume’a oraz prowadząc równoległe dwa przewody doktorskie: Tadeusza Kotarbińskiego oraz Karola Frenkla. Pierwszy doktorant omawiał etykę Milla i Spencera, a drugi porównywał ze sobą dwa wielkie systemy etyczne – Hume’a i Schopenhauera. Przy tej okazji powstała znana praca Twardowskiego *Etyka wobec teorii ewolucji*. Twar-

dowski nie wypromował już więcej doktorów z etyki, a jego studia nad tym problemem zostały niebawem zarzucone.

Po nagłej śmierci Frenkla i przejściu Twardowskiego na emeryturę zająć z etyki przejął po nim Kazimierz Ajdukiewicz, któremu zawdzięczamy wskazanie sposobu transmisji międzypokoleniowej regulacji etycznych. Otóż wedle niego dzieje się tak za pomocą praktyki językowej. Język jest medium, którym posługują się wszyscy i to właśnie poprzez niego przekazywane są owe „poczucia moralne”, o których pisał Hutcheson. Wynika to z samej istoty języka, bo istnieje zbiór słów oznaczających przedmioty podlegające ocenom moralnym i każdy go przejmuje w całości przez sam fakt życia w społeczeństwie. Ajdukiewicz nazwał to uzusem, a więc pewnym zwyczajem językowym, ale ów zwyczaj stanowi o trwałości i ciągłości istnienia danej kultury, bo jest przekazywany z pokolenia na pokolenie. Przedmioty podlegające ocenie moralnej nie zmieniają się historycznie. Mogą zmieniać się oceny, ale nie same przedmioty. To właśnie w szkole lwowsko-warszawskiej doszło do połączenia pozytywistycznego przekonania o społecznych źródłach moralności z naukowymi świadectwami o istnieniu także biologicznych jej determinant.

Wskazywanie na Frenkla czy Kotarbińskiego jako wyłącznych twórców polskiej koncepcji etyki niezależnej jest zatem nietrafne, bo nie powstałaby ona bez badań pozytywistów Świętochowskiego, Ochorowicza, a także Adama Mahrburga oraz kontynuatorów kierunku ich myślenia ze szkoły lwowsko-warszawskiej. Tadeusz Kotarbiński personalnie łączył warszawskich pozytywistów ze szkołą Twardowskiego, bo przecież był uczniem pozytywisty Adama Mahrburga, a później także samego Twardowskiego. Choć nie specjalizował się w etyce, to jednak uogólnił tylko wyniki ich badań w ramach jednej koncepcji. Co istotne, moment publikacji jego koncepcji nie został wybrany przypadkowo, ale dokładnie w momencie, w którym zmęczone wojną i reżimem stalinowskim polskie społeczeństwo było gotowe na jej przyjęcie. Kotarbiński, wychodząc naprzeciw tym oczekiwaniom, posiadał zatem dobre rozeznanie w nastrojach i oczekiwaniach społeczeństwa i dlatego jego koncepcja natychmiast spotkała się z tak wielkim zainteresowaniem. Została wyrażona prostym językiem, bo nie miała wskazywać ludziom tego, co jest moralne, a co niemoralne, ale tylko utwierdzać ich w słuszności już obranej drogi postępowania. Kotarbiński postulował zrozumiałym dla wszystkich językiem „nie bądź gałganem”, a więc kimś, kto zasługuje na potępienie, a każdy posługujący się polskim językiem był w stanie ten postulat zrealizować w swoim życiu.

3

Nie wszyscy zdają sobie sprawę ze źródeł, z których wypływa ich wewnętrzne przekonanie o tym, że w takiej a takiej sytuacji należy postąpić tak, a nie inaczej. Na dodatek jednocześnie uważamy, że każdy inny, kto znalazłby się w identycznej sytuacji, postąpiłby tak samo jak my sami. Ale każdy, kto zaczyna się nad tym zastanawiać, musi dostrzec, że w zasadzie istnieją tylko dwa możliwe wyjaśnienia. Pierwsze z nich zakłada, że wszyscy ludzie mają wrodzony instynkt moralny pozwalający im nieomylnie odróżniać dobro od zła, a drugie, że zostali obdarzeni taką zdolnością przez jakiś czynnik zewnętrzny. To pierwsze rozwiązanie nie może być uznane za zada-

wałające, gdyż ludzie znacznie różnią się w swym postępowaniu, przyjmowanych postawach, jak też wygłaszanych ocenach. Nie znaczy to jednak, że należy je z góry odrzucać, gdyż wiele faktów świadczy o tym, że jednak przynajmniej niektóre nasze przekonania mają naturalne źródła. Typowym przykładem tego jest spontaniczne pomaganie słabszym oraz znajdującym się w sytuacjach zagrożenia życia. Niemniej jednak zdecydowanie więcej faktów świadczy o przejmowaniu drogowskazów życiowych od innych. Nie można w tym przypadku mówić o mechanicznym przekazywaniu, kopiowaniu cudzych wartości i norm, bo sensowniej jest mówić o przejmowaniu uwzględniającym ograniczenia własnych dyspozycji fizycznych i psychicznych.

Nie można zatem oczekiwać, że osoby z dysfunkcjami będą pod względem moralnym identyczne z osobnikami w pełni zdrowymi, co oznacza, że pełnosprawne jednostki czują się w obowiązku wspomagać takie osoby, aby istniejące różnice maksymalnie niwelować. Ale to, jak to będą starały się zrobić, zależy już wyłącznie od nich samych. To wszystko czyni nas wszystkich uczestnikami wspólnoty moralnej składającej się z jednostek wolnych i wrażliwych na wszelkie niezawinione nierówności pomiędzy ludźmi. Karol Frenkel twierdził, że wspólnota moralna powstaje w wyniku tego, że podstawą moralności jest wspólny dla wszystkich ideał moralny, który samoczynnie staje się integralną częścią osobowości jednostki. Sama nazwa wskazuje, że jest to coś, co dopiero ma zostać urzeczywistnione, a nawet domaga się urzeczywistnienia. Nie oznacza on w żadnym przypadku, że składa się z elementów osiągalnych tu i teraz, bo nawet jeśli uczynimy coś zgodnego z nim, to co najwyżej go wzbogacimy o jakiś element. Nawet chwilowe niepowodzenia nie osłabiają naturalnego podążania w kierunku takiego ideału. Rodzi się zatem pytanie, czym muszą charakteryzować się takie działania, aby zostały uznane za właściwe, a więc słuszne. Wedle Frenkla decydują o tym dwa elementy: włożony wysiłek (wkład własnej pracy) oraz bezinteresowność motywów. To właśnie one pozwalają nam oceniać dowolne postanowienie jako moralne bądź nie. Każdy człowiek więc jest w stanie bez potrzeby przechodzenia długotrwałej edukacji moralnej ocenić dowolne postanowienie człowieka jako moralne. Co istotne, samo działanie może zakończyć się niepowodzeniem, ale motyw jego podjęcia automatycznie powoduje, że uznaje się je za moralne.

Charakterystycznym rysem przedstawionego rozumowania jest to, że aby wyjaśnić dlaczego ludzie starają się być moralni, nie potrzeba uciekać się do doszukiwania się ingerencji zewnętrznej – a tym bardziej czynników nadprzyrodzonych. Co więcej, każdy, kto taki czynnik wprowadza do interpretowania zjawisk moralnych, powoduje, że nie da się tego wyjaśnić na gruncie nauki. Niezależność etyki oznacza zatem zarazem, że musi ona mieć charakter naukowy. Rodzi to problem związany z tym, czy może istnieć etyka nienaukowa. Rzecz jest w tym, że nie może, bo albo etyka jest nauką, albo nie, a jeśli nauką jest, to wszystko co głosi podlegać musi weryfikacji naukowej, a jej twierdzenia muszą mieć odzwierciedlenie w faktach.

Każda nowa koncepcja etyki od wieków budziła też nadzieję, że oto wreszcie wynaleziono lekarstwo na wszelkie ułomności duszy ludzkiej.

Zapewne zarówno ich autorom, jak i odbiorcom udzielało się przekonanie, że oto uczestniczą w wielkim zadaniu podnoszenia na wyższy poziom kondycji moralnej całej ludzkości. Dla pozytywistów było czymś oczywistym, że aby cokolwiek poprawić, trzeba to wprawdzie dogłębnie poznać, stąd podejmowali próby poznania źródeł moralności. Pisali oczywiście na ten temat uczone traktaty przeznaczone dla zawodowych filozofów, ale za najważniejsze zadanie uznawali doskonalenie moralne społeczeństwa. Ochorowicz ukuł dla tego zadania specjalną nazwę „etoplastia”, która poprzez eksponowanie negatywnych zjawisk moralnych rozpowszechnionych w społeczeństwie miała zarazem wskazywać proste drogi ich uniknięcia lub wyzwolenia się z ich okowów. Zadanie to nie miało przekraczać możliwości przeciętnego człowieka, a więc ludzie własnymi siłami mieli się wyzwolić z nałogów i złych nawyków. Niepotrzebna do tego jest znajomość uczonych traktatów etycznych ani znajomość systemów etycznych. W konsekwencji etycy niezależni często głosili swoje koncepcje tak, jakby tradycja etyczna w ogóle nie istniała, a tylko ich stanowisko było godne rozpropagowania. Prawdą jest zatem, że to nie pozytywści walczyli z religią, ale zwolennicy etyki religijnej zwalczali ich poglądy na wszelkie sposoby. Niemniej jednak zdołali ukształtować przekonanie, że celem pozytywistów jest walka z religią, skrzętnie unikając nazywania ich rzecznikami postępu społecznego, bo wówczas sami zostaliby uznani za rzeczników zacofania i ciemnoty, wrogów postępu, którymi przecież byli w istocie.

4

Koncepcja etyki niezależnej sformułowana przez Kotarbińskiego była już tematem tak wielu publikacji, że autor czuje się zwolniony z obowiązku jej bliższego omawiania. Jej urok polegał przede wszystkim na tym, że stanowiła odpowiedź na zapotrzebowanie płynące ze strony społeczeństwa. Wystąpienie Kotarbińskiego z koncepcją etyki niezależnej dotyczyło bowiem wielce zaniedbanej płaszczyzny życia społecznego, co dostrzegali nawet najzagorzalsi przeciwnicy. Z jednej strony pochwalali jego starania, a z drugiej zachowywali głęboką rezerwę wobec tej propozycji, co związane było z obawami o zbyt szerokie jej rozpowszechnienie się w społeczeństwie. Ta rezerwa dotyczyła zarówno osób związanych z obozem władzy, jak i z religią, gdyż oba te ośrodki dokładały wielu starań, aby samemu zmonopolizować całą działalność w tej sferze.

Trudno wytłumaczalnym pozostaje fakt, że etyka niezależna była w Polsce popularna tylko do momentu upadku realnego socjalizmu. Warto więc zastanawiać się, czy jego propozycja przestała być atrakcyjna dla współczesnych. Wbrew zarzutom wielu krytyków etyka ta miała solidne podstawy w filozofii, a jej założenia tym tylko różniły się od koncepcji konkurencyjnych, że ich akceptacja nie przekraczała możliwości poznawczych przeciętnego człowieka. W świetle przeprowadzonych rozważań wypada przyznać rację współczesnym interpretatorom dokonań autora *Spraw sumienia* stojącym na stanowisku, że „system etyczny Kotarbińskiego jest uważany w Polsce za jeden z najoryginalniejszych systemów XX wieku”. Aby docenić wartość tej propozycji, trzeba ją jednak przeanalizować w kontekście zarówno historycznym, jak i kulturowym. W polskich warunkach zachowuje ona swoją aktualność, jest w pewnym sensie ponadczasowa. Etyka niezależna to nie jest moralizatorstwo, bo jej zadaniem jest przywracanie zachwianej

równowagi pomiędzy gatunkową a społeczną naturą człowieka. W momencie, gdy Kotarbiński wystąpił ze swoim projektem, polskie społeczeństwo było pod względem moralnym zdezorientowane, na co złożyły się najpierw mroczne lata okupacji hitlerowskiej, a następnie zaraz po wojnie – totalitarne stalinowskie porządki. Powiew wolności na fali popaździernikowych przemian przywrócił jednak społeczeństwu nadzieję, że można żyć normalnie, a więc szczęśliwie, nie obawiając się każdego dnia o swój los i los najbliższych. Etyka niezależna tą nadzieję urzeczywistniała. Stąd wzięła się jej ogromna popularność, bo jej przesłanie powodowało, że każdy mógł samodzielnie uczestniczyć w dziele naprawy świata. Tu już nie działały wyłącznie bezosobowe siły władające światem, ale każdy mógł to czynić zgodnie z własnymi chęciami i możliwościami. Kotarbiński przecież nie widział przeszkód w tym, aby każdy, kto dostrzegał potrzebę podnoszenia kondycji moralnej Polaków, mógł stać się opiekunem społecznym i naprawiać świat tak, jak mu serce i rozum podpowiadały. Taki człowiek nie potrzebuje zewnętrznych doradców, bo w nim społeczna i jednostkowa natura stanowiły jedność. Mógł oczywiście popełniać błędy, ale zasadniczy kierunek wyznaczał mu ideał etyczny, którego istnienia był świadomy.

W tym też kierunku podążają inni interpretatorzy koncepcji Kotarbińskiego, wychodząc z oceny istniejącej sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej. Niemniej jednak pojawia się pytanie, dlaczego system etyczny odwołujący się do tak prostych zasad nie utrwalił się w społeczeństwie. Być może odpowiedzią na takie pytanie byłoby odwołanie się do prawidłowości rozwoju społeczeństwa, które przecież – jak to już dostrzegali pozytywiści – jest dynamiczne i ciągle doskonali swoje struktury. Postęp w rozwoju społecznym jest faktem, czemu jednak nie towarzyszy adekwatny progres w poziomie moralnym. Etyk może bowiem na podstawie oceny stanu istniejącego formułować potencjalnie skuteczne reguły sprzyjające korygowaniu już istniejących nieprawidłowości; może też jednak – śledząc kształtowanie się postaw moralnych w przeszłości – próbować doszukiwać się ponadczasowych prawidłowości w ich kształtowaniu się. Jedno i drugie rozwiązanie wymaga prowadzenia obserwacji stanu istniejącego oraz wyciągania wniosków dotyczących pożądaných korekt. Przyjęcie pierwszego stanowiska jednak skazuje etyka na los naukowca wiecznie utyskującego na upadek obyczajów i upadek moralności, bo to, co odkryje i zaproponuje, ma już tylko wartość historyczną. Przyjęcie drugiego stanowiska wymaga dokonywania porównań po to, aby uchwycić przyczyny nieskuteczności działań podejmowanych w przeszłości na rzecz poprawy kondycji moralnej społeczeństwa. Jest to zatem ciągła próba doskonalenia już istniejących mechanizmów, co wydaje się zadaniem rozsądniejszym, zwłaszcza gdy się nie ma pewności co do rzeczywistych motywacji jednostek.

Można zaryzykować stwierdzenie, że dopóki zwolennicy etyki niezależnej stali na drugim stanowisku, to osiągalni sukcesy, zyskiwali coraz to nowych zwolenników. Niestety, okazywało się, że spontaniczne działania prędzej czy później instytucjonalizowały się, a w efekcie zaczynało przeważać stanowisko pierwsze. Nie można bowiem nie zauważyć, że wszelkie kongresy, zjazdy, zebrania itp. mają głównie charakter re-

trospektywny, nie tyle formułują nowe idee, co rozliczają z wykonywanych zadań. Przestają przyciągać ludzi, których żywiołem jest działanie wśród ludzi, udzielanie pomocy w razie potrzeby, a nie dlatego, że komuś coś się należy. Dopóki Tadeusz Kotarbiński żył, współdziałał ze społecznością nauczycielską i ludźmi dobrej woli, to etyka niezależna ciągle zyskiwała na popularności. Na początku lat siedemdziesiątych Kotarbiński wycofał się z działalności założonego przez siebie Towarzystwa Kultury Moralnej, które w tych środowiskach zyskało dużą popularność. Nie było to jednak spowodowane zniechęceniem do tego typu działalności, ale świadomością tego, że najważniejsze zadanie, jakie przed sobą postawił, zostało już wykonane. Nie znaczyło to oczywiście, że wszelkie patologie moralne w Polsce nagle zanikły, ale że pod jego wpływem ukształtowało się całe pokolenie ludzi zdolnych kontynuować jego dzieło.

Trzeba także podkreślić, że sama idea niezależności etyki już po śmierci Kotarbińskiego została niejako strywializowana, gdyż w literaturze głównie jest mowa o jej separacji od religii. Tymczasem taka rozłączność nie miała polegać przecież na wyrugowaniu religii z życia, tylko na tym, aby ludzie zaczęli samodzielnie decydować o najważniejszych sprawach w swoim życiu. Wszystko, co dla człowieka ważne, ma bowiem związek z etyką. Kierowanie się rozwiązaniami gotowymi jest nie tyle przejawem wygodnictwa intelektualnego, co rezygnacją z wykorzystywania dyspozycji, w jakie ludzi wyposażyla natura. Oznacza to przede wszystkim bierny stosunek do rzeczywistości i właśnie dlatego Kotarbiński postulował niezależność etyki, ale nie tej w postaci gotowej już, zawartej w podręcznikach, tylko tej, którą kierowali się ludzie, którym nie było obojętne, jaka jest kondycja moralna społeczeństwa polskiego.

5

Popularność etyki niezależnej w Polsce wynikała bowiem i z tego faktu, że dobrze wpisuje się ona w nurt filozofii czynu, który ma wyjątkowo silną reprezentację w polskiej filozofii. Niezależność etyki nie polega więc na tym, że formułuje się tylko jakieś mniej lub bardziej uzasadnione reguły postępowania moralnego, ale na tym, że niezależnie od okoliczności przeciwdziała się złu, które pojawia się w naszym otoczeniu. Kotarbiński nie tworzył więc swej koncepcji na ziemi niczyjej, bo znakomicie się wpasował w tradycję intelektualną, która w naszym kraju taką niezależność zawsze premiowała.

Nawet jeśli Tadeusz Kotarbiński nie ma dziś naśladowców, którzy by chcieli podążać jego śladem i doskonalić jego dzieło, to przecież ta tradycja nie zanikła. Dążenie do niezależności etyki jest ciągle dostrzegane w naszym życiu intelektualnym i nawet jeśli przybiera nieco jednostronną postać, to przecież zawsze może stanowić zaczyn dla nowej, społecznie nośnej idei, o czym przekonywać zdają się informacje typu: „Obradował XIII Zjazd Krajowy Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego. Jego uczestnicy w przyjętych dokumentach wyrazili stanowczy sprzeciw wobec niekonstytucyjnego demontażu Polski jako demokratycznego państwa prawa oraz z najwyższym niepokojem wskazali na postępujący proces klerykalizacji państwa i życia publicznego”. Ten fakt wyraźnie wskazuje na to, że w Polsce ciągle nie brakuje ludzi zatroskanych kondycją moralną społeczeństwa i gotowych poświęcić czas oraz własne siły i środki, aby istniejący stan rzeczy poprawiać.

Możemy dziś się zastanawiać, co etyka niezależna zmieniła w powojennej Polsce. Być może odpowiedź będzie trudna do zaakceptowania, gdyż jedną z możliwości jest, że spełniła ona już swoje zadanie, że była swymi treściami dostosowana do miejsca i czasu, w których powstała. Nie wydaje się jednak, aby było możliwe wyczerpanie się etyki niezależnej, gdyż zadanie, które realizuje, zawsze jest do wypełnienia. Nawet w chwilach największego kryzysu moralnego zapewne wystarczy wrócić do wskazań głoszonych przez Kotarbińskiego, dostosowanych do bieżącej sytuacji. Niemniej jednak żyjemy w trudnych czasach, gdyż znów, jak siedemdziesiąt lat wcześniej, ludzie tracą orientację w otaczającej rzeczywistości. Odbieramy zewsząd sprzeczne komunikaty, które tę dezorientację pogłębiają. Być może nadszedł właśnie czas, aby zacząć przywracać ludziom utraconą równowagę pomiędzy jednostkową a społeczną naturą człowieka, bo wyraźnie widać, że tradycja odgrywa w naszym życiu coraz mniejszą rolę. Sekularyzacja życia publicznego ma swe źródło w pogłębiającej się świadomości tego, że moralność nie jest raz na zawsze ustanowiona i każdy może żyć wedle wskazań, które nikogo nie krzywdzą i które sam akceptuje. Otwiera to pole dla rozpropagowania współczesnej postaci etyki niezależnej, która będzie zarazem kontynuacją koncepcji Kotarbińskiego, jak i uwzględniać będzie nowe realia społeczne. ■

Literatura:

XIII Zjazd Krajowy TKŚ, „Przegląd” 2018, nr 27.

Brożek A., Jadacki J., *Minimalizm etyczny Tadeusza Kotarbińskiego*, „Etyka” 2006, t. 39.

Frenkel K., *O pojęciu moralności*, Lwów 1927.

Konstańczak S., *Etyka niezależna w Polsce*, Zielona Góra 2019.

Kotarbiński T., *Sprawy sumienia*, Warszawa 1956.

Ochorowicz J., *Metoda w etyce*, „Przegląd Filozoficzny” 1906, nr 1.

Świętochowski A., *O powstawaniu praw moralnych*, Warszawa 1876.

Autor, prof. dr hab. Stefan Konstańczak, pracuje w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

Polski Ciemnogród



J. Paweł GIEORGICA

Pojęcie „ciemnogród” po raz pierwszy pojawiło się w satyrycznej powieści Stanisława Kostki Potockiego *Podróż do Ciemnogrodu* (1820) jako kpiąca krytyka głupoty polskiej prowincji, jej zacofania, bigoterii oraz oporu wobec rozpowszechniania się europejskich idei oświeceniowych. Idei, których wielkim propagatorem był jej autor. Pierwotnie było to pojęcie o charakterze literackiej metafory, ale z czasem stało się żywym symbolem potocznej głupoty, społecznego konserwatyzmu, antyintelektualizmu i ideologicznego zamknięcia.

Przez kolejne lata pojęcie to ewoluowało, nabierając coraz bardziej złożonych odcieni, od metafory odrzucenia postępu po swoisty kod definiujący polską debatę publiczną. Kolejne pokolenia korzystały z tego terminu nie tylko jako narzędzia krytyki społecznej, ale też jako zwierciadła własnych lęków przed utratą tradycyjnych wartości i marginalizacją.

Obecne spory światopoglądowe, choć inne w formie, nie odbiegają wiele od dawnych walk o dominację narracji i sensu codzienności. Z perspektywy analizy socjologicznej ciemnogród nie jest już jedynie historycznym reliktem, dynamicznym polem, na którym dochodzi do zderzania się aspiracji modernizacyjnych z zakorzenionym w kulturze przekonaniem o wyższości własnej drogi rozwoju opartej na progresywnych wartościach lub na własnym dorobku kultury narodowej.

Stereotypy i autowizerunki, utrwalane przez popkulturę i media, wzmacniają polaryzację, a publiczne debaty coraz częściej przybierają charakter wojny o wartości, w której granica między tradycyjnym konserwatyzmem a nowoczesnością staje się płynna i nieoczywista.

Początkowo pojęcie ciemnogrodu weszło do obiegu jako negatywne określenie miejsc, środowisk i poglądów będących domeną zabobonu i wsteczności. Z biegiem lat, wchodząc do języka potocznego, zyskało nowe znaczenia – nie tylko jako literacka metafora zacofania, ale także praktyczne narzędzie analityczne, pozwalające diagnozować mechanizmy społecznej inercji i oporu wobec zmian czy następstwa huraganowego przyspieszenia cywilizacyjnego w XXI wieku. Współczesne debaty publiczne nieustannie odwołują się do tego pojęcia, nie tylko w pejoratywnym znaczeniu jako synonimu głupoty – czyniąc z niego swoisty wskaźnik poziomu otwartości lub zamknięcia ludzi i społeczeństwa odrzucającego nowe idee i rozwiązania.

Przypisywanie ciemnogrodzkiego charakteru określonym środowiskom czy instytucjom często służy nie tylko krytyce samych wartości czy wyrażanych poglądów. Także wskazaniu źródeł wsteczności, dominujących lęków, stereotypów i mechanizmów wykluczenia, które warunkują załamywanie się dynamiki dialogu publicznego oraz systemu demokracji. W ten sposób ciemnogród stał się nie tylko etykietą historyczną, pejoratywnym epitetem, ale także kluczem interpretacyjnym dla zrozumienia dynamiki procesów społecznych zachodzących we współczesnej Polsce. Co najmniej od czasu kształtowania się nowoczesnego państwa, krystalizowania zbiorowej tożsamości społeczeństwa, procesów konstrukcji współczesnego wizerunku narodowego, aż po obecnie obserwowaną dramatyczną polaryzację postaw i opinii wyrażanych w mediach i polityce.

Współczesna Polska, mimo wieków formalnej modernizacji zarówno pod zaborami, jak i w dwudziestoleciu międzywojennym, wciąż wykazuje wiele cech społeczeństwa rodem z *Ciemnogrodu* – nie tylko w negatywnym sensie mentalnym, ale jako struktura społeczna, która tworzy mechanizm samoreprodukowania się głupoty w kolejnych pokoleniach. Dzieje się tak z co najmniej dwóch zasadniczych powodów:

- wiekowego – przywiązanie do kulturowych tradycji, w szczególności wartości etycznych, nakazów i zakazów dominującej ideologii religijnej interpretowanych przez Kościół rzymskokatolicki,

– skutków prowadzonej przez państwo i jego agendy polityki przyspieszonej modernizacji kraju – nie zrównoważonego rozwoju prowadzącego do rozwarstwienia, pogłębienia dystansu i narastania konfliktów.

W dalszej części tego eseju przeprowadzona zostanie analiza tych dwóch różnych modeli reprodukcji *Ciemnogrodu* w Polsce, ich struktury, opis działania jej mechanizmów w tych dwóch typologiach aktualnych uczestników, z wykorzystaniem narzędzi analizy socjopolitycznej.

Ciemnogród jako system ideologiczny i zbiór postaw społecznych

W pierwotnym (projekcyjnym) modelu Stanisława Kostki Potockiego pojęcie ciemnogrodu było tylko miejscem, które było zamieszkałe przez kohorty ludności wiejskiej o specyficznych cechach: ludzi zacofanych, religijnych, fanatycznie niechętnych oświeceniu i rozumowi. Była to krytyczna odpowiedź na dominujące wówczas w Polsce rozbiorowej postawy społeczne różnych zbiorowości terytorialnych, mocno zakorzenione w sarmackiej tradycji i klerykalnym światopoglądzie, niechętnych rodzącemu się liberalizmowi.

Z biegiem lat pojęcie *ciemnogród* zaczęło rozrastać się w swoim znaczeniu, aż stało się wyrazistym i skrajnie pejoratywnym symbolem ideologicznym – zestawem poglądów i wartości religijnych oraz wyrażanych postaw o charakterze konserwatywnym, które odwołując się do narodowych tradycji kulturowych i patriotyzmu jednocześnie aktywnie przeciwstawiało się postępowi cywilizacyjnemu: modernizacji, pluralizmowi i racjonalności. Ciemnogród stał się zatem quasi-ideologią, reprodukcją odtworzenia w kulturowej pamięci składnika sposobu myślenia o życiu i świecie określonych zbiorowości.

Społeczną funkcją, jak każdej ideologii, stała się artykulacja zbiorowych interesów oraz wartości dotyczących oglądu oraz wizji rzeczywistości, celów aktywności i dopuszczalnych sposobów ich osiągania, a także motywacji ich zasadności, względów uznawanych za wyższe niż jednostkowy interes. Zapotrzebowanie na ideologię ciemnogrodu wynikało u swoich źródeł z właściwego ludziom poszukiwania własnych odpowiedzi na pytania o sens i sposób istnienia w szerokim otoczeniu społecznym zdominowanym w Polsce przez Kościół rzymskokatolicki.

Ideologia ciemnogrodu w Polsce stała się zbiorem uporządkowanych poglądów stanowiących o tożsamości oraz postrzeganiu stereotypowego wizerunku Polaka na wewnątrz i zewnątrz (w rodzaju: „Polak-katolik”). Przede wszystkim poglądów religijnych, politycznych i prawnych, ale także przyrodniczych, artystycznych, filozoficznych – służących ludziom o tożsamych poglądach do objaśniania otaczającego ich świata. Z czasem ideologia ta stała się propagowana przez różnego rodzaju instytucje władzy: rząd, administrację, organizacje polityczne, partie, oraz różnorakie organizacje społeczne: kościoły różnych religii, instytucje edukacji, media, struktury samorządowe. Stała się nie tylko kluczowym elementem tożsamości jednostki, ale całej struktury władzy, sposobem promocji określonego światopoglądu.

Tab. 1. Średnie IQ w Polsce na tle wybranych krajów świata według World Population Review na rok 2025

Kraj	Średnie IQ	Pozycja w rankingu
Chiny, Tajwan, Hongkong, Makau	107	światowa czołówka
Kraje skandynawskie (Szwecja, Norwegia, Finlandia, Dania)	98,5–100	wysoka
Niemcy, Holandia, UK, Francja	99,6–101	wysoka
Rosja	103	bardzo wysoka
Białoruś	101	wysoka
Polska	99,3	43. miejsce

Źródło: Średnie IQ według krajów 2025

Tab. 2. Zestawienie kluczowych stereotypów Polaków vs. dane empiryczne

Stereotyp	Opis	Dane i fakty	Ocena prawdziwości
Polacy są pracowici, ale skłonni do narzekania	Często powtarzany w kontekście emigracji zarobkowej	Polska ma jeden z najwyższych wskaźników liczby przepracowanych godzin w UE, ale też równie wysoki poziom niezadowolenia z pracy i życia	Stereotyp częściowo prawdziwy
Polacy są nietolerancyjni. Wysoki poziom niechęci wobec <i>innych i obcych</i> , potwierdzony w różnych analizach	Dotyczy postaw wobec mniejszości, LGBT+, migrantów – szczególnie na terenie b. Galicji	Wyniki badania CBOS pokazują, że 66 proc. Polaków wierzy w przeznaczenie, a 56 proc. w piekło – co wskazuje na silne zakorzenienie religijne	Stereotyp często potwierdzany
Polacy są bardzo religijni	„Polak-katolik” jako tożsamość ogólnonarodowa	Polska ma 71,1 proc. populacji katolickiej, która wg badań CBOS: wierzy w piekło, 31 proc. w życie po śmierci, a 15 proc. nie wierzy w nic	Prawdziwy, choć zróżnicowany
Polacy wierzą w zabobony	Wiara w cuda jest ważną częścią światopoglądu	Przesady i cuda jako część światopoglądu	Zabobony są zinstytucjonalizowane i funkcjonują jako część ideologii
Polacy oceniani zagranicą są (relatywnie) głupi	Krzywdzący stereotyp z serii <i>Polish jokes</i>	Iloraz inteligencji poniżej średniej w badaniach porównawczych państw grupy OECD	Fałszywy i obraźliwy w swoim uogólnieniu, ale też częściowo prawdziwy w wybranych międzynarodowych badaniach porównawczych
Polacy dużo piją	Alkohol stanowi ważny element kultury	11 l legalnego + 4 l nielegalnego alkoholu rocznie na osobę. Polska stale w czołówce spożycia alkoholu w krajach OECD	Statystycznie prawdziwy

Tab. 3. Czytelnictwo w Polsce (2024–2025)

Wskaźnik	Polska	Komentarz
Osoby, które przeczytały ≥1 książkę w roku	41%	Poprawa, ale nadal niski poziom
Osoby czytające ≥7 książek rocznie	7%	Marginalna statystycznie grupa
Czytelnictwo w dużych miastach	51%	Głównie osoby wykształcone
Czytelnictwo na wsi	36%	Znacznie niższe niż w miastach
Kobiety vs. mężczyźni	47% vs. 35%	Kobiety czytają znacznie więcej

Źródło: Stan czytelnictwa książek w Polsce 2024 r.,
<https://www.bn.org.pl/download/document/1754397117.pdf>

Wniosek: Polska nadal znajduje się stale w dolnej części rankingu OECD pod względem czytelnictwa książek i prasy. To jeden z kluczowych wskaźników kultury intelektualnej.

Tab. 4. Polska: Wyniki PISA z matematyki

Polska	Wyniki matematyki w PISA
Najnowsza wartość	488,960
Rok	2022
Miara	Punkty indeksowe
Dostępność danych	2003–2022
Średnia	501.007
Min.–Maksimum	488,960–517,501

Źródło: PISA/OECD

Najnowsza wartość z 2022 roku to 488,96 punktów indeksowych, co oznacza spadek z 515,648 punktów indeksowych w 2018 roku. Dla porównania, średnia światowa wynosi 439,569 punktów indeksowych, na podstawie danych z 78 krajów. Historycznie średnia dla Polski od 2003 do 2022 roku wynosi 501,007 punktów indeksowych. Minimalna wartość 488,96 punktów indeksowych została osiągnięta w 2022 roku (rządy PiS), natomiast maksymalna 517,501 punktów indeksowych została odnotowana w 2012 roku (rządy PO).

Tab. 5. Radzenie sobie w sytuacjach kryzysowych – PISA 2022

Kompetencje rozwiązywania problemów	Polska	OECD średnia
Rozumowanie w sytuacjach kryzysowych	poniżej średniej	500
Umiejętność adaptacji	niska	–
Zdolność do samodzielnego działania	słaba	–

Wniosek: Polacy mają trudności z praktycznym zastosowaniem wiedzy w sytuacjach wymagających szybkiej reakcji i logicznego myślenia.

Tab. 6. Wiara w spiski i pseudonaukę (2024–2025)

Teoria spiskowa	Odsetek Polaków wierzących	Źródło
„Polacy to obywatele II kategorii, Ukraińcy są uprzywilejowani”	47,4%	Demagog
„Pandemia i wojna to przykrywka”	41,1%	Demagog
„Nagrania z wojny są inscenizowane”	20%	Demagog
„Ukraińcy to nachodźcy”	22,7%	Demagog
„Tajne laboratoria biologiczne w Ukrainie”	30% (wierzy)	Demagog
Wiara w płaską Ziemię	brak oficjalnych danych, szacunkowo 3–5%	brak źródła

Źródło: https://demagog.org.pl/analizy_i_raporty/kto-wierzy-w-teorie-spiskowe-nikt-nie-jest-wolny-od-ryzyka/

Wniosek: Polska ma wysoki poziom podatności na dezinformację, szczególnie wśród osób o niższym wykształceniu i ograniczonym dostępie do rzetelnych źródeł.

Tab. 7. Szczepienia i zaufanie do nauki (2025)

Wskaźnik	Polska	Komentarz
Skuteczność szczepień COVID-19 (65+)	45–46%	Dobre wyniki
Zaufanie do szczepień	spadające	Brak pełnych danych
Udział w programie „Moje Zdrowie”	12% kobiet	Niski poziom uczestnictwa

Źródło: <https://szczepienia.pzh.gov.pl/wstepne-dane-na-temat-skutecnosci-szczepienia-przeciw-covid-19-prowadzonego-w-okresie-wrzesien-2024-styczen-2025/>

Wniosek: Pomimo dostępności programów zdrowotnych, zaufanie do medycyny i nauki jest ograniczone, co koreluje z podatnością na spiski.

Tab. 8. Porównanie dysproporcji wydatków Polski na obronność i edukację (2025)

Obszar	Kwota	Proc. PKB	Źródło
Obrona	186,6 mld zł	4,7	Gov.pl, Deloitte
Edukacja	ok. 90 mld zł (szacunek)	~2,2	OECD

Wniosek: Polska wydaje ponad dwa razy więcej na obronność niż na edukację. Kraje przodujące w rankingach (np. Finlandia, Korea Południowa) inwestują odwrotnie – więcej na edukację niż na wojsko.

Tab. 9. Wydatki na edukację w krajach OECD (2025)

Kraj	PKB na edukację	PKB na obronność
Finlandia	5,9%	1,5%
Korea Południowa	5,1%	2,8%
Niemcy	4,8%	1,6%
Polska	~2,2%	4,7%

Wniosek: Polska jest odwrócona względem realizowanego w świecie modelu rozwojowego – zamiast inwestować w kapitał intelektualny, inwestuje w sprzęt wojskowy.

Wnioski

Stereotypy o religijności i alkoholu mają najbardziej solidne podstawy w danych, ale nie powinny być uogólniane.

Stereotyp „głupi Polak” jest oczywiście krzywdzący, bo ignoruje indywidualne różnice, edukację, kreatywność, kompetencje społeczne i in., ale 43. pozycja w rankingu stawia Polskę poza grupą najbardziej cywilizowanych krajów zrzeszonych w OECD. Polska, mimo że awansowała do grupy 20 najbogatszych krajów świata, ma ciągle spory dystans do odrobienia, szczególnie wobec krajów, które inwestują intensywnie w edukację, nowe technologie i rozwój poznawczy.

Stereotypy o głupocie czy nietolerancji są bardziej złożone – wynikają z systemowych mechanizmów społecznych, ideologii i kultury, a nie tylko z cech jednostki.

Zabobony i konserwatyzm są nadal obecne i często funkcjonują jako część systemu wartości, nie jako irracjonalne przekonania. Przeciętny Polak w większości dalej wierzy w cuda związane z działalnością Kościoła oraz w zestaw tradycyjnych wierzeń religijnych, które zostały empirycznie pozytywnie zweryfikowane na podstawie danych socjologicznych w badaniach opinii publicznej oraz obserwacji kulturowych. Struktura społeczna w Polsce nadal reprodukuje postawy oparte na religijności i zabobonach. Pozostały one znaczącą częścią ideologii ciemnogrodu, która służy ludziom do objaśniania świata i uzasadniania swoich postaw. Są traktowane jako elementy stereotypu polskiej tożsamości społecznej, choć nie wszystkie mają swoje twarde potwierdzenie w wynikach badań. Zabobony nie tylko przetrwały jako element świadomości społecznej, ale zostały zinstytucjonalizowane i zideologizowane. Nauczanie religii w szkołach publicznych (katecheza) obejmuje dogmaty takie jak: dzieworództwo Maryi, zmartwychwstanie Jezusa, istnienie nieba, piekła, aniołów i diabłów itd. Uczestnictwo w rytuałach (msze, procesje, modlitwy) wzmacnia przekonania religijne i ich obecność w świadomości społecznej i życiu publicznym.

Polacy funkcjonują jako część systemu wartości, który kształtuje nieracjonalne postawy wobec świata, modernizacji i innych ludzi. Hipoteza o ich trwałości znajduje swoje silne potwierdzenie w analizach socjopolitycznych.

W debacie publicznej jest ciągle wiele zabobonów, które funkcjonują jako narzędzie wykluczenia i polaryzacji. Są one wzmacniane przez kulturowe obyczaje, stereotypy przekazywane przez media. Przejawiają się one obecnie w postawach konserwatywnych, które przeciwstawiają się pluralizmowi, racjonalności, niechęci do podejmowania ryzyka.

* * *

W najnowszej historii Polski XX–XXI wieku pojęcie ciemnogrodu powróciło do obiegu politycznego za sprawą sporów między władzą publiczną i Kościołem oraz inteligencją w osobie choćby wybitnego intelektualisty Stefana Kisielewskiego, znanego z częstego komentowania głupoty władz z ironicznym humorem. W swoim katalogu głupoty szczególnie wyróżnił on pojęcie „dureń”, czyli: głupiec, człowiek ogra-

niczony, niepoważny, bezmyślny, za którego uznał zarówno prezydenta (Lecha Kaczyńskiego), jak i wielu ówczesnych celebrytów. „Gdyby dureń zrozumiał, że jest durniem, automatycznie przestałby być durniem”. Z tego wniosek, że durnie rekrutują się jedynie spośród ludzi pewnych, że nie są durniami. Z czasem jego ironiczny humor nabrał znaczenia politycznego, m.in. z powodu określenia władz także jako „dyktatury ciemniaków” oraz opublikowania artykułu *Moje typy*, zawierającego listę nazwisk opublikowanych (ze względu na cenzurę) bez słowa komentarza. Lista ta powszechnie była znana jako „lista kanalii” – wykaz osób przejawiających szczególną aktywność w propagandzie PRL.

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku pojęcie ciemnogrodu powróciło. Zostało ono przypomniane i spopularyzowane przez Wojciecha Cejrowskiego, autora programu telewizyjnego *WC Kwadrans*. Przyznawał się on w pełni do swojego pochodzenia z *Ciemnogrodu*, rozumianego jako siedziba ludzi reprezentujących postawy prawicowe i chrześcijańsko-narodowe. Zarzucano mu także lansowanie poglądów rasistowskich i antysemickich. Jego program nie epatował jednak chrześcijańską nienawiścią do postkomunistów i liberałów. W 1996 i 1997 roku były nawet organizowane zjazdy Ciemnogrodzian w wybranych wsiach polskich. Na zjazdach tych można było rzucać jajkami w wizerunki prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, Józefa Oleksego i innych nie lubianych polityków lewicy.

Zważywszy na liczbę ludności, mimo widocznych zmian cywilizacyjnych i obyczajowych Polska jest jednym z największych (w stosunku do liczby ludności) krajem katolickim na świecie. Wyniki badań CBOS (2023) wskazują, że „niezachwianą wiarę w Boga” deklaruje ciągle niespełna trzy piąte dorosłych, tj. 55–60 procent. Około 1/3 respondentów wierzy wprawdzie, że śmierć nie jest końcem, ale nie wie, co po niej nastąpi. Tylko 15 proc. badanych zupełnie nie wierzy w nowe życie po śmierci. W piekło wierzy natomiast obecnie dalej ponad połowa badanych Polaków, a swoją wiarę w przeznaczenie deklaruje 66 proc. respondentów.

Wg wyników z badań Eurobarometru (2022), Polska ciągle należy (obok Hiszpanii) do najbardziej religijnych krajów w UE – ponad 70 proc. respondentów deklaruje swoją wiarę w Boga, a około 50 – w życie po śmierci. Ponad 60 proc. Polaków deklaruje wiarę w cuda, a około 40 – w istnienie aniołów i diabłów. W późniejszych badaniach CBOS (2023 r.) około 87 procent Polaków deklarowało się jako wierzący, z czego ponad połowa jako „głęboko wierzący”.

W ostatnich latach duże zainteresowanie w Polsce i za granicą wywołało tworzenie tzw. stref wolnych od LGBT, ogłaszane przez samorządowe władze administracji terytorialnej. Od 2019 roku w wielu województwach, powiatach i gminach pojawiły się inicjatywy mające na celu walczenie z „ideologią gender”. Radni podejmowali w tym celu „uchwały anty-LGBT”, w formie Karty Praw Rodzin, zainicjowanej przez gminę Kraśnik. W uzasadnieniu gmina ta podała, że celem ustawy było „uniemożliwienie wchodzenia drogą samorządową ideologii gender, uderzającej w godność człowieka i dobro rodzin”.

Strefy wolne od LGBT miały zasadniczo charakter raczej deklaracyjny. Według ich zwolenników miały one na celu sprzeciwiać się „promocji i afirmacji” tak zwanej ideologii LGBT. Ich postulaty zostały jednak uznane za dyskryminujące i wprost homofobiczne. Sądy administracyjne uznały więc takie

uchwały za ingerujące w godność i życie prywatne osób określających się jako osoby o orientacji LGBT. Na tworzenie takich *stref wolnych od LGBT* w Polsce ostro zareagował też Parlament Europejski, który w swojej rezolucji stwierdził, że ich tworzenie, nawet jeśli nie polega na wprowadzaniu fizycznych barier, „stanowi środek skrajnie dyskryminujący, który ogranicza przysługującą obywatelom UE swobodę przemieszczania się”. To z kolei groziło wstrzymaniem rozwojowych funduszy unijnych, z których samorządy chętnie korzystały. W efekcie w 2025 roku z prawie 100 *stref wolnych od LGBT* pozostały tylko ostatnie dwie (Dębica i powiat dębicki oraz powiat łańcucki). Ostatecznie wszystkie wycofały Kartę Praw Rodzin pod koniec marca br.

Jeśli dziś spojrzymy na szeroko pojęty wymiar głupoty ludzi w Polsce w kontekście porównawczym, to na tle innych krajów nasz kraj nie wypadaje najlepiej. Wśród sklasyfikowanych 126 krajów na świecie ze względu na poziom IQ plasujemy się obecnie na odległej 40. pozycji. Podobnie jak w większości innych rankingów, Polska nie mieści się tu w pierwszej lidze krajów wysoko rozwiniętych intelektualnie. W tym przypadku rozmiary głupoty w Polsce oszacowane zostały na poziomie kryterium poniżej 100,00+. Oznacza to, że w stosunku do przyjętego wsędnia w świecie minimalnie średniego ilorazu inteligencji = 100 IQ, polska średnia (99,35) jest znacznie niższa nie tylko od najbardziej dynamicznie rozwijających się krajów świata usytuowanych obecnie w Azji Wschodniej. Problem główny jest w tym, że wyprzedzają nas nie tylko takie kraje jak: 1/ Chiny (107,19), 2/ Korea Płd. (106,43) czy 3/ Japonia (106,4), ale także większość naszych sąsiadów, poczynając od Rosji i Białorusi (bez Litwy i Ukrainy) oraz duża większość krajów UE (poza Maltą, Chorwacją, Łotwą, Cyprzem, Bułgarią, Rumunią).

Głupota, jako pewien wskaźnik stanu choroby społecznej, może być wynikiem oddziaływania różnych czynników, wśród których najczęściej wymieniane są takie, jak: braki wiedzy, doświadczenia, umiejętności krytycznego myślenia, a także dominującego wpływu oddziaływania emocji czy uprzedzeń.

Wnioski:

- Tożsamość zbiorowa: *ciemnogrodzianin* to dziś już nie tylko osoba, ale rola społeczna i ideologiczna pozycja (np. jak w przypadku Wojciecha Cejrowskiego, który z dumą przyjął tę etykietę).

- Polaryzacja dyskursu: *ciemnogród* vs. *jasnogród* (*postępgród*) – to nie tylko ludzie, ale systemy wartości, które się zwalczają.

- Empiryczne dowody: religijność i wiara w Polsce, religijna edukacja i rytuały.

Argumenty za tym, że *ciemnogród* to ludzie:

- Użycie językowe: w debacie publicznej *ciemnogrodzianin* to określenie osoby, nie idei;

- Typologia postaw: można wyróżnić konkretne typy mieszkańców *Ciemnogrodu* (użyteczny idiota, otumaniony obywatel, aparatczyk itd.);

- Zachowania społeczne: to konkretni ludzie, którzy podejmują decyzje, głosują, powielają narracje – ideologia nie istnieje bez nośników. ■

Izrael i Palestyna po wojnie w Gazie



Jerzy J. WIATR

Niemal dokładnie dwa lata trwała wojna w strefie Gazy wydana Izraelowi przez terrorystyczną organizację palestyńską Hamas, która 7 października 2023 roku przeprowadziła zmasowany atak na sąsiadujące z Gazą osiedla żydowskie. Sprawcy tego ataku zamordowali tysiąc dwustu ludzi (w tym dzieci), gwałcili kobiety i uprowadzili ponad dwustu zakładników. Odpowiedź izraelska była druzgocząca. Masowe bombardowania pociągnęły za sobą śmierć ponad 67 tysięcy Palestyńczyków, w tym kilkunastu tysięcy dzieci, i zniszczenie bombardowanej enklawy. Choć Izrael ma bezsporne prawo do obrony, rośnie w świecie przekonanie, że przekroczył on wszelkie dopuszczalne granice. Padają zarzuty – także na forum ONZ – o uprawianie przez Izrael ludobójstwa. Masowe demonstracje antyizraelskie ogarnęły Europę i Stany Zjednoczone. Kilka państw, w tym Wielka Brytania i Francja, demonstracyjnie uznały państwowość palestyńską, co oznacza, że grupa państw odmawiających tego uznania skurczyła się do mniej niż jednej czwartej wszystkich państw świata. W tej mniejszości są Stany Zjednoczone, ale i tam rośnie – zwłaszcza w młodym pokoleniu – sprzeciw wobec polityki Izraela. Niejednokrotnie sprzeciw ten przeradza się w otwarty antysemityzm, ale byłoby niebezpiecznym uproszczeniem, gdyby każdy głos krytyki polityki Izraela traktować jako przejaw antysemityzmu.

Zamrożenie konfliktu w Gazie stało się możliwe, a nawet nieuchronne w wyniku dyplomatycznej inicjatywy prezydenta Donalda Trumpa. Niezależnie od tego, jak krytycznie oceniam inne aspekty jego polityki, szanuję i doceniam jego stanowisko w sprawie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Dotychczasowa polityka Stanów Zjednoczonych, bezkrytyczna wobec Izraela, stanowiła zachętę dla izraelskiej prawicy, która niemal otwarcie dąży do trwałej aneksji całej Palestyny. Gdyby nie amerykańskie poparcie, polityka taka nie mogłaby przynosić efektów. Zbyt wcześnie jest jednak, by uznać, że dokonała się zasadnicza zmiana stosunku USA do konfliktu bliskowschodniego.

Konflikt ten ma charakter nie tylko polityczny, lecz także psychologiczny. Wybitny psycholog izraelski Daniel Bar-Tal nazwał ten konflikt „nierozwiązywalnym”, przez co miał na myśli to, że głęboko zakorzeniona po obu stronach wizja tego konfliktu uniemożliwia znalezienie trwałego rozwiązania (*Intractable Conflicts: Socio-Psychological Foundations And Dynamics*, Nowy Jork 2013). W tym kontekście jest niemal pewne, że zakończenie krwawej fazy konfliktu w Gazie nie oznacza trwałego pokoju, a tym bardziej

– rozwiązania problemu relacji między Izraelem i jego palestyńskimi sąsiadami. Czy trwałe rozwiązanie jest w ogóle możliwe? A jeśli nie jest – jaka będzie przyszłość Izraela i Palestyny w warunkach „nierozwiązywalnego konfliktu”?

Konflikt żydowsko-palestyński trwa już ponad sto lat, a jego narodziny są wcześniejsze niż powstanie żydowskiego państwa na części terytorium historycznej Palestyny. Gdy na przełomie wieków XIX i XX rodził się nowoczesny ruch syjonistyczny, Palestyna stanowiła prowincję imperium otomańskiego – wieloetnicznego państwa, którego spoiwem był islam, a nie tureckie poczucie narodowe, dopiero rodzące się w wyniku modernizującego ruchu młodotureckiego. Zasłużony badacz syjonizmu (a mój wieloletni przyjaciel) Shlomo Avineri (1933–2023) w znakomitej pracy *The Making of Modern Zionism* (Nowy Jork 1981) zanalizował proces rodzenia się nowoczesnego syjonizmu – od wczesnych koncepcji żydowskiej emancypacji narodowej (Nachman Krochmal, Heinrich Graetz, Moses Hess) do dojrzałego programu zbudowania żydowskiego państwa w Palestynie, którego twórcą był Theodor Herzl (1860–1904), autor programowej książki *Der Judenstaat* (1896) i organizator pierwszego kongresu syjonistycznego w Bazylei w 1897 roku. Narodziny syjonizmu oznaczały, że tak zwana kwestia żydowska przestaje być kwestią religijną (jak w znacznie starszym konflikcie między judaizmem i chrześcijaństwem), a staje się kwestią narodową – przynajmniej dla tej części społeczności żydowskiej, która obiera drogę budowania własnego, narodowego państwa żydowskiego w Palestynie.

Program takiego państwa zakładał rozwiązanie trzech problemów. Pierwszym było stworzenie ruchu migracyjnego, w wyniku którego część diaspory żydowskiej zdecydowałaby się na migrację do Palestyny. Drugim było uzyskanie dla tak powstającej żydowskiej wspólnoty narodowej jakiejś formy międzynarodowego uznania. Trzecim wreszcie wyzwaniem było ułożenie sobie stosunków z arabską ludnością zamieszkującą Palestynę.

Pierwsze z tych zadań realizowane było stopniowo, ale do drugiej wojny światowej nie przynosiło imponujących sukcesów (osadnictwo żydowskie w Palestynie przed 1939 rokiem nie osiągnęło dwustu tysięcy osób). Dopiero hitlerowska polityka eksterminacji Żydów przyspieszyła ten proces; w 1948 roku w Palestynie mieszkało już 935 tysięcy Żydów. Kolejne fale żydowskiej migracji doprowadziły do powstania ponad siedmiomilionowego narodu izraelskiego. Drugi problem częściowo rozwiązany został przez deklarację brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Artura Belfoura z listopada 1917 roku o stworzeniu w Palestynie „żydowskiej siedziby narodowej”, a definitywnie przez uchwałę Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 29 listopada 1947 roku o podziale Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie. Trzeci problem nie znalazł rozwiązania po dzień dzisiejszy.

Palestyńczycy i wspierające ich państwa arabskie popełnili historyczny błąd, odmawiając uznania decyzji ONZ o podziale Palestyny, choć decyzja ta sprawiedliwie oddawała Izraelowi niewiele ponad połowę Palestyny (14 257 kilometrów kwadratowych, przy 11 664 kilometrach przeznaczonych dla państwa arabskiego, co mniej więcej odpowiadało

ówczesnej liczebności obu wspólnot: odpowiednio 935 000 Żydów i 814 000 Arabów). Konsekwencją była pierwsza wojna izraelsko-arabska (1948–49) przerwana zawieszeniem broni po tym, jak wojska izraelskie nie tylko odparły atak koalicji państw arabskich, lecz także powiększyły zajmowane przez Izrael terytorium. Dało to początek wymuszonej migracji znacznej części Palestyńczyków i stworzyło po stronie arabskiej poczucie krzywdy („nakba”). Kolejne wojny (1956, 1967, 1973, 2006 i ostatnia 2023–2025) nie przyniosły trwałego rozwiązania konfliktu, a raczej pogłębiły go przez zaistnienie w 1967 stan trwałej okupacji arabskiej części Palestyny przez Izrael. O ile sama wojna 1967 roku może być usprawiedliwiona oczywistym zagrożeniem, jakie dla Izraela stworzyła decyzja prezydenta Nassera o blokadzie cieśniny tirańskiej, o tyle trwała okupacja Zachodniego Brzegu połączona z żydowskim osadnictwem na terenach okupowanych stanowi pogwałcenie prawa międzynarodowego i jest tak oceniana przez autorytety prawnicze całego niemal świata.

Dotychczasowe próby zakończenia konfliktu rozбивały się o nieprzejednane stanowisko – najpierw strony palestyńskiej negującej prawo Izraela do istnienia jako państwa, a ostatnio prawicowego rządu Izraela stanowczo odrzucającego koncepcję wycofania się z terenów okupowanych i stworzenia tam państwa palestyńskiego. Trwa impas, którego końca nie widać.

Impas ten ma swoje konsekwencje. Brak perspektywy sprawiedliwego pokoju podsyca nastroje radykalne po stronie arabskiej i powoduje, że Izrael musi się liczyć z odradzaniem się antyizraelskiego fanatyzmu w kolejnych pokoleniach Palestyńczyków. Reakcją świata na wieści o brutalnym odwecie izraelskim za ataki terrorystów palestyńskich jest widoczny gołym okiem wzrost antysemityzmu w wielu państwach świata, w tym – co powinno dla polityków izraelskich być dzwonkiem alarmowym – także w USA. W samym Izraelu dokonuje się stopniowo proces przewidziany (już w 1941 roku) przez amerykańskiego socjologa polityki Harolda Lasswella (1902–1978), który sformułował tak zwaną „hipotezę państwa garnizonowego”. Zakłada ona, że państwo przez długi czas wystawione na zewnętrzne zagrożenie nieuchronnie ewoluuje w kierunku autorytarnym. W Izraelu proces ten dokonuje się nie przez odrzucenie konstytucyjnych ram demokracji, lecz w drodze przyjmowania przez demokratycznie powoływane rządy polityki represji wobec podporządkowanej temu państwu ludności palestyńskiej. Izraelski politolog Asher Arian (1938–2010) w pracy o zagrożonym bezpieczeństwie Izraela (*Security Threatened: Surveying Israeli Opinion on Peace and War*, Cambridge 1995) w pogłębiony sposób przedstawił sprzeczność między ideałem państwa żydowskiego jako państwa demokratycznego a realiami ekspansji na tereny okupowane. Trzydzieści lat, jakie mijają od tej publikacji, dobitnie pokazały, jak dalece miał on rację.

Jak w tej sytuacji rysuje się perspektywa konfliktu izraelsko-palestyńskiego?

Bardzo realny wydaje mi się scenariusz długoterminowego trwania obu stron na zajętych pozycjach bez jakichkolwiek zasadniczych zmian, ale przy rosnących kosztach politycznych – zwłaszcza dla Izraela. Koszt ten to przede wszystkim rosnąca w świecie izolacja żydowskiego państwa, a nawet wzrost postaw jawnie (lub skrycie) antysemitycznych. Czy młode pokolenie Izraelczyków będzie bez końca akceptowało ten stan rzeczy?

Możliwość wyjścia z obecnego impasu wymaga akceptacji rozwiązania dwupaństwowego. Za niebezpieczną iluzję uważam pogląd, że alternatywą dla tego rozwiązania mogłoby być powstanie wspólnego państwa żydowsko-palestyńskiego, w którym obie wspólnoty miałyby równe prawa. Zetknąłem się z tym pomysłem niedawno, gdy na Uniwersytecie Warszawskim odbyła się dyskusja nad numerem półrocznika „Studia Socjologiczno-Polityczne” z artykułami o konflikcie bliskowschodnim. W tej dyskusji (opublikowanej w numerze 2/2024) dwoje młodych uczonych z UW z zapałem dowodziło nierealności koncepcji dwupaństwowej i postulowało stworzenie wspólnego państwa. Uważam to za szkodliwą iluzję. Najnowsza historia pokazuje, że w sytuacji ostrego podziału narodowościowego wspólne państwo okazuje się iluzją. W 1974 roku ostatecznie załamała się próba rozwiązania problemu cypryjskiego na drodze zbudowania wspólnego państwa grecko-tureckiego (1960 r.), co zakładało porozumienie londyńskie kończące brytyjskie panowanie nad wyspą. W wyniku wywołanej przez nacjonalistów greckich wojny domowej i będącej na to reakcją interwencji wojskowej Turcji nastąpiło zamrożenie konfliktu na podstawie faktycznego (choć nieoficjalnego) uznania podziału wyspy na dwa państwa, z których tylko Republika Cypru (grecka) cieszy się uznaniem międzynarodowym. Jednak tak zwana Turecka Republika Północnego Cypru, uznawana tylko przez Turcję, funkcjonuje jako odrębne państwo. To rozwiązanie – z pewnością dalekie od ideału – dało obu częściom wyspy trwający już pół wieku pokój.

Rozwiązanie dwupaństwowe to wariant bardzo trudny, choć – jak sądzę – jedyny dający realną możliwość wyjścia z obecnego impasu. Wymaga on spełnienia kilku warunków: zgody Izraela, uniemożliwienia skutecznych działań arabskich organizacji terrorystycznych, zbudowania palestyńskiej wspólnoty narodowej opartej nie na nienawiści do Izraela, lecz na pozytywnych wartościach. Pierwszy z tych warunków może zostać spełniony tylko w wyniku bardzo silnej presji zewnętrznej na Izrael i przy stworzeniu realnych gwarancji bezpieczeństwa dla tego państwa. To zaś wymaga przede wszystkim radykalnej zmiany polityki USA. Czy okaże się to możliwe?

Powstanie państwa palestyńskiego wymagałoby stworzenia międzynarodowego mechanizmu ograniczającego możliwość przekształcenia tego państwa w bazę wypadową dla antyizraelskich terrorystów. To oznaczać musiałoby ustanowienie jakiejś formy międzynarodowego patronatu, w tym rozmieszczenie tam wojsk ONZ. Jest to wielkie wyzwanie dla społeczności międzynarodowej. Czy stanie ona na wysokości tego zadania? Nie wiem.

Wiem jednak, że bez radykalnej zmiany stosunku świata do konfliktu bliskowschodniego nie będzie trwałego rozwiązania, a dramat na kształt tego, który przez dwa lata obserwowaliśmy w Gazie, będzie się powtarzał. Jest to konflikt bez zwycięzców, a jego koszty spadać będą na kolejne pokolenia. Pojednanie izraelsko-palestyńskie, choć trudne, nie jest niemożliwe. Wymaga jednak odwagi i mądrości przywódców po obu stronach tego konfliktu, a także odważnej i sprawiedliwej polityki innych państw. ■

Operacja *Sindoor*. Wojna Indii z Pakistanem 2025



Andrzej
MAŁKIEWICZ

Informacje o wojnie Indii z Pakistanem w maju 2025 r. ledwo przemknęły przez polskie media, przyćmione innymi wydarzeniami. Istnieje kilku powodów, dla których najnowsza odsłona konfliktu indyjsko-pakistańskiego zasługuje na uwagę. Jest też w niej maleńki wątek polski.

Tym razem starcie obu armii było krótkie, nie pociągnęło za sobą wiele ofiar. Według informacji indyjskich zginęło 6 indyjskich żołnierzy i 21 cywilów. Według Pakistanu zginęło 40 pakistańskich cywilów i 11 wojskowych. Tych liczb nie sposób zweryfikować. Wojna przebiegała nietypowo – wojska lądowe nie przekroczyły granicy, prowadzono tylko wzajemny ostrzał artyleryjski, walki lotnicze i bombardowania. Masowo użyto dronów.

Dwieście lat temu Carl von Clausewitz ostrzegął: „Wiele wiadomości otrzymywanych na wojnie jest sprzecznych, jeszcze więcej jest fałszywych, a najwięcej – niepewnych”¹. Dziś skala przekłamań jest nieporównanie większa niż w jego czasach, a łatwy dostęp do informacji, zwłaszcza za pośrednictwem internetu, bywa zwodniczy. Jednakże spróbujemy odtworzyć prawdopodobny przebieg zdarzeń.

Przesłanki konfliktu są głęboko osadzone w przeszłości. Kolejne wojny Indii z Pakistanem trwały od chwili uzyskania przez oba państwa niepodległości w 1947 r., a nawet dłużej, bo walki między społeczeństwami zaczęły się jeszcze przed powstaniem obu państw.

Brytyjczycy arbitralnie wyznaczyli dzielącą je granicę, linia ta przetrwała do dziś, z niewielkimi tylko zmianami, oba państwa ją kwestionują. Największy jest problem w Kaszmirze, prowincji obejmującej Himalaje i ich przedpole. Mieszkańcy w większości są muzułmanami, zatem Pakistan uważa, że cały powinien do niego należeć, natomiast w wyniku wcześniejszych walk w przybliżeniu dwie trzecie jest pod władzą Indii, jedna trzecia – Pakistanu. Niewielkie fragmenty opanowały też Chiny, po starciach z armią indyjską, a przy cichej zgodzie Pakistanu.

Obok walk regularnych armii wielokrotnie dochodziło w przeszłości do ataków grup terrorystów muzułmańskich w Indiach. Władze tego państwa nieodmiennie oskarżały Pakistan o ich inspirowanie, czemu ten konsekwentnie zaprzeczał.

Indie od początku niepodległości współpracowały ze Związkiem Radzieckim, a potem z Rosją, ostatnio udzielały jej znaczącego wsparcia ekonomicznego w wojnie przeciw Ukrainie. Duża część indyjskiego uzbrojenia pochodzi z Rosji lub jest produkowana w Indiach na rosyjskiej licencji. Ku-

¹ Carl von Clausewitz, *O wojnie*, tł. Augustyn Cichowicz, Leon Koc, Kraków 2006, s. 64.

pują też broń w innych krajach, najwięcej we Francji i w Izraelu, także w Niemczech, a nawet – w skromnych ilościach – w Polsce.

Pakistan związał się ze Stanami Zjednoczonymi, wspierał je w wojnach w Iraku i Afganistanie, a od kilkunastu lat współpracuje też z Chinami. Są one dziś jego głównym dostawcą broni.

W obliczu poważnych sporów amerykańsko-chińskich stawia to Pakistan w dość dziwnej sytuacji, niemniej oba państwa zabiegają o pozyskanie go, zwłaszcza Chiny wiele tu inwestują. Dla Stanów Zjednoczonych jest ważny, bo jest poważnie skonfliktowany z Iranem i Afganistanem, co sprzyja sojuszowi amerykańsko-pakistańskiemu.

Potencjał obu państw jest zdecydowanie nierówny – Indie są najludniejszym krajem na Ziemi, społeczeństwo Pakistanu jest dziesięciokrotnie mniej liczne, podobnie dochód narodowy, natomiast armia Indii liczyła w okresie konfliktu 1 455,5 tys. żołnierzy, zaś Pakistanu – 654 tys. żołnierzy. Przytoczone porównania należy traktować ostrożnie. Gdy w 2022 r. Rosja zaatakowała Ukrainę, wydawało się, że w licznych wymiarach ma wielokrotną przewagę – przebieg działań zbrojnych wykazał, że takie zestawienia są zawodne.

Istotne jest, że oba państwa dysponują bronią jądrową i rakietami międzykontynentalnymi do jej przenoszenia, choć nigdy jeszcze broni tej nie użyły. Uczestniczą w eksploracji Kosmosu. Indyjskie pojazdy dotarły już na Księżyc i orbitę Marsa.

Odmienne są systemy polityczne. W Indiach istnieje demokracja, choć z licznymi ułomnościami. W Pakistanie, poza krótkimi okresami względnej demokracji, panowała dyktatura wojskowa. Piotr Kłodkowski użył metafory zaczerpniętej od Woltera piszącego o Prusach: „Inne państwa posiadają armie, a pakistańska armia posiada państwo”². I co najważniejsze – różni je religia, w Indiach dominuje hinduizm, Pakistan opiera się na fundamencie sunnickiego islamu.

Pretekstem do najnowszej wojny była akcja w Kaszmirze przeprowadzona przez muzułmańskich terrorystów z organizacji Front Oporu, walczącej o wolność Kaszmiru od Indii, nie określając jednoznacznie, czy chce jego niepodległości, czy wcielenia do Pakistanu. 22 kwietnia 2025 r. zabili 26 i ranili 17 turystów w kurorcie Pahalgam w indyjskiej części Kaszmiru. Ofiary śmiertelne to mężczyźni z Indii i jeden z Nepalu. Według indyjskich organów bezpieczeństwa jest to ruch inspirowany przez rząd Pakistanu. Władze Pakistanu zaprzeczają, twierdząc że atak na Pahalgam był indyjską „operacją fałszywej flagi”.

Po tym ataku wzdłuż spornej granicy kilkakrotnie doszło do wymiany ognia. Armia Pakistanu zestrzeliła 29 kwietnia indyjskiego drona, który szpiegował w pakistańskiej części Kaszmiru. Politycy wielu państw wzywali oba kraje do deeskalacji napięcia, bez skutku.

Przebieg walk znany w wielu aspektach tylko z indyjskiego i pakistańskiego przekazu. Wersje stron są radykalnie sprzeczne i trudno je zweryfikować.

² Piotr Kłodkowski, *Azjatycka wielka gra. Indie i Azja Południowa w sporze o regionalną i globalną dominację w XX i XXI wieku*, Kraków 2024, s. 481.

Starcia zaczęły się od zbombardowania w nocy z 6 na 7 maja przez indyjskie lotnictwo dziewięciu celów w Pakistanie i w pakistańskiej części Kaszmiru, w operacji nazwanej *Sindoor*. Ta nazwa ma ważny wydźwięk propagandowy. Tak nazywa się czerwony proszek, którym hinduskie kobiety posypują przedziałek po środku głowy, na znak, że są zameżne. Teraz miało to symbolizować obronę wdów po zabitych. Zarazem przypominało ważny dla świadomości historycznej Hindusów dramat z 1947 r., gdy Pakistańczycy zgwałcili dziesiątki tysięcy kobiet hinduskich, traktując je jak przedmioty symbolizujące honor religii i narodu.

Pakistan nazwał konflikt *Operacja Bunyan um Marsoos*. Jest to termin oznaczający „ścianę z ołowiu”, a pochodzi z Koranu, który mówi: „Zaprawdę, Allah kocha tych, którzy walczą na Jego sposób, jakby byli murem z ołowiu”.

Według strony indyjskiej naloty skierowane były w infrastrukturę terrorystów: meczety i szkoły koraniczne – miejsca ich organizowania się i szkolenia. Według Pakistanu uderzyły w obiekty cywilne i spowodowały liczne ofiary.

8 maja armia Pakistanu zaatakowała liczne cele na terytorium Indii, w tym – przy użyciu dronów – lotnisko w 600-tysięcznym mieście Dżammu w Kaszmirze oraz indyjskie instalacje wojskowe w pobliskich miejscowościach.

W nocy z 9 na 10 maja lotnictwo indyjskie przeprowadziło naloty na kilka pakistańskich instalacji wojskowych. Wysłano m.in. izraelskie drony Harop i polskie drony rozpoznawcze Warmate 5.o., produkowane przez firmę Flytronic w Ożarowie Mazowieckim. Służyły sondowaniu i ocenie parametrów reakcji pakistańskich systemów rozpoznania oraz neutralizacji radarów przeciwlotniczych.

Indie użyły m.in. bomb Hammer zaopatrzonych w silnik rakietowy, zaprojektowanych we Francji, które okazały się niedawno jednym z najsukcesowniejszych środków ukraińskiego rażenia w walce z Rosją. Już na początku 2025 r. ujawniono, że francuski koncern Safran oraz indyjski Bharat Electronics wspólnie produkują je w Indiach. Użyto też pocisków manewrujących BrahMos, produkowanych w Indiach na rosyjskiej licencji. Są unowocześnioną wersją rosyjskiej rakiety Onyks.

A przede wszystkim toczono walki w powietrzu. Ochronę przestrzeni powietrznej Indii zapewniały rosyjskie systemy S-400, pakistańskiej – chińskie rakiety HQ-9. Myśliwce produkcji chińskiej Chengdu zestrzeliły – zdaniem Pakistanu – pięć samolotów indyjskich, w tym trzy kupione we Francji Rafale. Zarówno Indie, jak i Francja temu zaprzeczyły. Strona indyjska twierdziła, że zestrzelono jeden samolot Chengdu. Pakistan zaprzeczył, przyznał jedynie, że jeden z jego samolotów doznał niewielkich uszkodzeń. Odnosząc się do doniesień o własnych stratach samolotów, Indyjskie Siły Powietrzne stwierdziły, że „straty są częścią walki”, nie podając szczegółów, a zapewniając, że wszyscy piloci wrócili do domu.

O eskalacji konfliktu świadczyło wypłynięcie indyjskiej floty wojennej, która 8 maja wyruszyła ku wybrzeżu Pakistanu. Do walk na morzu jednak nie doszło.

10 maja załagodzeniem konfliktu zajął się prezydent USA Donald Trump. Jak sam stwierdził, amerykańskiej dyplomacji udało się wynegocjować natychmiastowe wstrzymanie wszelkich działań zbrojnych. W konsekwencji po 96 godzinach walk oba państwa zgodziły się na zawieszenie broni, a po-

tem oba ogłosiły swoje zwycięstwo. 21 czerwca rząd Pakistanu nomino-
wał prezydenta Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla za zasługi w po-
wstrzymaniu wojny.

Zarówno szef Sztabu Obrony Indii, generał Anil Chauhan, jak i prze-
wodniczący Komitetu Połączonych Szefów Sztabów Pakistanu, generał
Sahir Shamshad Mirza, zapewnili, że w żadnym momencie konfliktu
żadne z państw nie rozważało użycia broni jądrowej.

Walki przerwano, ale konflikt trwa – podobnie jak w przypadku wcze-
śniejszych starć indyjsko-pakistańskich. Obie strony intensywnie przy-
gotowują się do przyszłych zmagających.

Czy z użycia chińskich i rosyjskich systemów po przeciwnych stronach
walki wynika, że była to „wojna zastępcza” (*proxy war*) Chin z Rosją, za-
powiadająca zmierzch ich sojuszu? Raczej nie. Na razie Moskwa i Pekin
ściśle współdziałają. Ale prawdopodobnie był to swoisty test skuteczności
broni i technik jej użycia. Udział w realnej walce to najlepszy sposób ich
testowania – być może właśnie mieliśmy z czymś takim do czynienia. To
oczywiście jedynie hipoteza, dziś niemożliwa do weryfikacji. Gdyby jednak
była prawdziwa, to rodzi się pytanie, dlaczego Indie i Pakistan dały się użyć
w takiej roli? I znowu, odpowiedź może być jedynie hipotetyczna. Mimo
wszystko warto spróbować, z zastrzeżeniem, że to tylko przypuszczenia.

W obu państwach konflikt z sąsiadem był wygodny dla rządzących
sił politycznych ze względu na potrzeby polityki wewnętrznej. Rządząca
Indiami Indyjska Partia Ludowa (*Bharatiya Janata Party*, BJP) wykorzy-
stała emocje dla przeprowadzenia spektakularnej propagandy. Zorgani-
zowano w wielu miastach wiece poparcia dla sił zbrojnych. Akcentowano
zwłaszcza udział kobiet, w tym na stanowiskach dowódczych armii in-
dyjskiej. Na przyszły rok zaplanowane są wybory lokalne i do parlamen-
tu ogólnokrajowego. BJP ma charakter konserwatywny i religijny, miała
dotychczas niewielkie poparcie kobiet. Operacja *Sindoor* być może je
powiększy. Zdaniem pakistańskich dziennikarzy, „opieranie się na anty-
pakistańskiej retoryce zyskuje na znaczeniu, ponieważ sondaże wskazu-
ją na spadek poparcia” dla partii rządzącej Indiami. „W tym kontekście
takie narracje stanowią sposób na zwiększenie poparcia i odwrócenie
uwagi od pilnych wyzwań stojących przed krajem”³.

Również dla armii Pakistanu konflikt mógł być wygodny. Były indyj-
ski ambasador w Pakistanie Shivshankar Menon ocenił, że „armia ta ma
interes w podtrzymywaniu określonego poziomu konfliktu z Indiami, by
zagwarantować sobie dalszy wpływ na pakistańską politykę, na kształt
państwowego budżetu oraz na swój popularny obraz jako strażnika Pa-
kistanu”⁴. I rzeczywiście, po konflikcie Pakistan podwoił przewidziane
w budżecie na 2025 r. wydatki na obronność do równowartości 9 mld do-
larów. W czerwcu 2025 r. poinformowano o zamiarze kupienia 40 chiń-
skich myśliwców Shenyang. Mają być dostarczone w ciągu dwóch lat. Już
w lipcu 2025 r. zaczęto szkolenie pilotów w Chinach.

³ Zahra Niazi, *India's militaristic turn*, <https://www.thenews.com.pk/latest/1353622-india-s-militaristic-turn>, dostęp 27.10.2025.

⁴ Shivshankar Menon, *Indie i geopolityka Azji. Historia i teraźniejszość*, tł. Eli-
za Litak, Warszawa 2024, s. 428.

Nie zaniedbano relacji z Rosją. 2 września premier Pakistanu Shehbaz Shafir spotkał się w Moskwie z Władimirem Putinem, zapewnił, że bardzo zależy mu na wzmocnieniu współpracy. A 3 września Shafir był w Pekinie na uroczystościach związanych z rocznicą kapitulacji Japonii. To kolejny symptom zbliżenia obu państw.

Z kolei Indie, oceniając dużą skuteczność systemów S-400, po zakończeniu operacji *Sindoor* zwróciły się do Rosji o sprzedanie następnych zestawów, dostarczanych bezpośrednio z Rosji albo wspólnie produkowanych w Indiach. Postawiło to Moskwę przed trudnym dylematem – systemy są jej potrzebne w wojnie przeciw Ukrainie, już wcześniej Iran pod koniec 2024 roku chciał je kupić, a Rosja odmówiła sprzedaży. Z Indiami rozmowy na razie trwają.

Konflikt wywołał spore zainteresowanie w krajach muzułmańskich, ale Pakistan nie uzyskał ich jednoznacznego poparcia. Zwłaszcza kraje znad Zatoki Perskiej mają ściśle powiązania gospodarcze z Indiami, zatem wołały zachować dystans. Czołowa arabska telewizja Al-Jazeera szczegółowo relacjonowała zdarzenia, nie preferując żadnej strony. Pozwoliła sobie nawet później na smutny żart: porównanie „zwycięstwa” Indii w walce zbrojnej do sukcesu ich drużyny krykieta nad reprezentacją Pakistanu podczas Miistrzostw Azji w Dubaju 28 września 2025 r.⁵. ■

Profesor Andrzej Małkiewicz – emeryt, wcześniej pracował w Uniwersytecie Zielonogórskim. Prowadzi badania w zakresie historii, politologii, bezpieczeństwa.

⁵ Abid Hussain, *‘Operation Sindoor’: How cricket became latest India-Pakistan weapon of war*, <https://www.aljazeera.com/news/2025/9/30/operation-sindoor-how-cricket-became-latest-india-pakistan-weapon-of-war>, dostęp 1.10.2025.



**Dziękujemy za wsparcie
Fundacji Amicus Europae**

FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA”

Wydawanie „Res Humana” wsparły ostatnio wpłaty dokonane przez następujące osoby:

pani Jolanta Cieślukowska-Horst z Warszawy,

pan Zdzisław Błaszczków z Gdyni,

pan Ryszard Gębuś z Krakowa,

pan Zbigniew Juda z Jugowic,

pan Henryk Małyś z Warszawy,

pan Stanisław Mordas z Wałcza,

pani Elżbieta Wyduba ze Śląska.

Bardzo serdecznie dziękujemy!

REDAKCJA

Rachunek Redakcji „Res Humana”: 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146



Marek CHACZYK

Rysunki wybrane

Prace wybrane przez samego rysownika, z różnych okresów jego twórczości





Po prostu ANDRZEJ FOGTT!



Karol CZEJAREK

Ten artysta jest dla mnie jednym z najwspanialszych polskich współczesnych malarzy. Zresztą nie tylko malarzy, jest także rzeźbiarzem, autorem murali, architektem. Jego obrazy znajdują się m.in. w Muzeach Narodowych w Szczecinie, Wrocławiu, Kielcach, Katowicach i w Muzeum Sztuki w Łodzi. Ponadto – w ponad stu kolekcjach prywatnych w Polsce, w Europie, Japonii i USA.

Od początku 2026 roku w galerii Stalowa (mieszczącej się na warszawskiej Pradze, którą warto i trzeba odwiedzać), można będzie obejrzeć kolejną wystawę indywidualną jego prac (jej komisarzem jest Piotr Szarzyński). A w planie na tenże rok są jeszcze i dalsze, m.in. w Malmö oraz w Lublinie. O artyście powstało także kilka bardzo ciekawych filmów, które są łatwe do odnalezienia na YouTube.

Stosunkowo niedawno Andrzej Fogtt założył (wraz z Katarzyną Szydłowską, również znaną i cenioną malarką, a prywatnie jego żoną) Fundację A.M. FOGTT, mającą na celu ochronę spuścizny artystycznej i prezentację twórczości w Polsce i zagranicą.

Andrzeja poznałem, gdy Krzysztof Kostyrko (były redaktor naczelny czasopisma „Sztuka”) poprosił mnie, a kierowałem wówczas Departamentem Plastyki Ministerstwa Kultury i Sztuki, abyśmy poszli na wystawę *młodego artysty* w Zapiecku na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Tym młodym artystą-malarzem był Andrzej Fogtt. Było to w maju 1980 r.

Od tego czasu przyjaźnię się z Andrzejem i ta zażyłość trwa do dziś. Nadal imponuje mi nieustannym rozwojem swego przewspianiałego talentu. W roku 1980 został wyróżniony (wraz z Tadeuszem Dominikiem) na VIII Festiwalu Sztuki w Warszawskiej Zachęcie. W 1984 r. otrzymał Grand Prix Festiwalu Współczesnego Malarstwa Polskiego w Szczecinie. Wcześniej – bo już w 1976 r. – został uhonorowany bardzo prestiżowym wyróżnieniem na XI Ogólnopolskiej Wystawie Młodych w Sopocie.

Po tych sukcesach reprezentował Polskę (z Jerzym Dudą-Graczem, Bożenną Biskupską, Danutą Leszczyńską-Kluzą i Stefanem Wierzbickim, pod wodzą kuratora, którym był wybitny znawca i krytyk sztuki Jerzy Madeyski) w słynnym i cenionym na całym świecie Biennale Sztuki w Wenecji. Odremontowany w tym czasie z tej okazji pawilon polski pękał w szwach od zwiedzających, którzy z najwyższym uznaniem odnosili się do wystawionych dzieł polskich artystów. A tak na marginesie: wiel-

ka szkoda, że zbiory tych uznanych dzieł nie są gromadzone i pokazywane w jakiejś wybranej placówce muzealno-wystawienniczej czy np. w odrestaurowanym zabytku (jak to było niedługo po *Wenecji* w odniesieniu do dzieł Fogtta w pięknym Zamku w Reszlu).

Wielkim echem odbiły się także indywidulane wystawy artysty, m.in. w Instytucie Polskim w Paryżu (1987), w galeriach: pod wieżą telewizyjną w Berlinie (1989), Simultan International we Frankfurcie nad Menem, Dargart Arras w Lille, Fabrik der Künste w Hamburgu w 2018 r. Jego prace można było podziwiać niemal w całym kraju: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Szczecinie, Opolu, Lublinie, Rzeszowie, Przemyślu, Tarnobrzegu, Częstochowie, Reszlu, Zamościu, Bielsku-Białej, Jeleniej Górze, Zakopanem, Gorzowie Wielkopolskim i Szczyrku. Wszędzie z ogromnym powodzeniem.

I naprawdę chyba już czas na podsumowanie jego kreatywności i artystycznego dorobku – w Zachęcie lub w Centrum Sztuki Współczesnej. Mam nadzieję, że te nasze narodowe instytucje złożą artyście w tej sprawie stosowne zaproszenie! Tym bardziej, że niedawno obchodził 75-lecie swoich urodzin, jest więc szczególna okazja, aby ten jubileusz godnie uczcić.

Urodził się 9 października 1950 r. w Poznaniu, gdzie studiował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych, w pracowniach Magdaleny Abakanowicz i Zdzisława Kępińskiego, którzy na trwałe zapisali się w pantheonie polskiej sztuki współczesnej.

Podkreślę też fakt, że Fogtt był swego czasu działaczem społecznym, oddanym sprawom rozwoju i upowszechniania sztuki w Polsce, współorganizatorem Związku Polskich Artystów Malarzy i Grafików – wspólnie m.in. z Mieczysławem Wejmannem, Henrykiem Stażewskim, Władysławem Hasiorem, Władysławem Jackiewiczem, Stanisławem Dawskim, Leonem Michalskim, Eugeniuszem Geno Małkowskim, Andrzejem Gieragą, Leszkiem Różgą, Zbigniewem Bednarowiczem i wieloma innymi artystami z najwyższej półki.

Był też inicjatorem i doprowadził (wraz z Mieczysławem Wejmannem i Janem Karczewskim) do powstania Centrum Sztuki Współczesnej w Zamku Ujazdowskim. Zabiegał w Polsce o adekwatność instytucjonalną w zakresie sztuki w stosunku do państw zachodnioeuropejskich. A w tym zakresie wciąż jest wiele do zrobienia, zwłaszcza jeżeli chodzi o rozwój mecenatu prywatnego. Konieczna jest zmiana ustawy regulującej sprawę odpisów podatkowych dla przedsiębiorców, ponieważ taki odpis jest obecnie możliwy tylko na rzecz Kościoła i przy budowie wodociągów na wsi.

Kultura i sztuka wymaga takiej samej troski jak gospodarka, a może nawet większej! Prawdą jest, że na przestrzeni ostatnich 30 lat zaszły pozytywne zmiany, ale jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia, szczególnie w obszarze rozwoju sztuki i jej istnienia w przestrzeni i prywatnej, i publicznej. Polska kultura i sztuka skupia zbyt mało uwagi świata zachodniego. Rodzynkiem jest Konkurs Chopinowski i Biennale Plakatu. Tylko tyle!

A nowy budynek Muzeum Sztuki Współczesnej jest jak dotąd niedostatecznie wykorzystany! Mamy wielu wspaniałych polskich artystów, których dzieła – szczególnie w tym Muzeum – powinny być eksponowane. Już czas, aby polska sztuka współczesna nie była *na kolanach* wobec sztuki zachodnioeuropejskiej.

Patrząc z perspektywy lat na dzieła Fogtta (choćby tylko na te, które redakcja zamieściła w obecnym numerze swego pisma – II i III strony okładki), można je niezmiennie podziwiać. Artysta ma własny język na każdym etapie swojej twórczości. Wszystkie obrazy – poprzez oryginalną formę – interpretują otaczającą nas rzeczywistość i naturę (nie tylko przyrodę!). Fogtt jest wyjątkowym kolorystą i ma niezwykle wycucie barwy, formy i stylu.

Jego sztuka – to przede wszystkim bogactwo poszukiwań języka wypowiedzi, co u oglądającego wyzwala energię i wrażliwość na piękno. Jest umiłowaniem wolności! We wszystkich dotąd prezentowanych cyklach twórczości (udokumentowanych w wielu wspaniałych wydanych katalogach, towarzyszących niemal wszystkim dotychczasowym wystawom) pokazuje niebywały rozmach i kreatywność artysty. Fogtt nie jest obojętny na otaczający świat i wyraża to poprzez całą swoją twórczość.

Początkiem jego wirtuozerii, przejawiającej się mistrzowskim opanowaniem techniki malarskiej, były niezapomniane *Żywioły* (które powstały z początkowych rzeźb artysty, m.in. *Ręka stara jak świat*, 1973). Stały się one przedmiotem szczególnego uznania zwiedzających wystawę w Zapiecku; również moim, gdy zobaczyłem je po raz pierwszy. Z *Żywiołów* wyrósł cykl *Żywiołem Opętanie*, którym artysta reprezentował Polskę na 41. Biennale Sztuki w Wenecji w 1984 roku. Wystawiał na nim obrazy bardzo dużego formatu (400 x 1650 cm); obecnie znajdują się one w kolekcji Sylwii i Piotra Krupy we Wrocławiu.

W 1992 r. Andrzej zwierzył mi się, że... miał sen: „...aby do techniki malowania obrazów zastosować pole magnetyczne”. I tak powstał nowy cykl pod nazwą *Przestrzeń Energetyczna*. Najogólniej rzecz ujmując, artysta malując obrazy dodaje do farby stalowy pył F804, by nastąpiła reakcja w polu magnetycznym. Powstałe w ten sposób obrazy mają wówczas niezwykle, organiczne wykwity, które tworzą unikalną, jakby kosmiczną formę. Są niezwykle oryginalne, awangardowe, nie tylko w skali polskiej sztuki. Ten cykl zostanie zaprezentowany w Galerii Wirydarz w Lublinie.

Pierwsze z tego cyklu obrazy to: *Zwiastowanie* (taki tytuł nadał Władysław Hasior, gdy odwiedził Andrzeja w pracowni przy ul. Lwowskiej), a dalsze, na które koniecznie trzeba zwrócić uwagę, to: *Tramwaj gwiezdny*, *Anioł* oraz *Postać*.

Kolejny etap twórczości Fogtta jest poświęcony Wieży – niezwykle mu projektowi architektonicznemu, który w zamyśle Artysty mógł się stać symbolem współczesnej Warszawy, a nawet... Zjednoczonej Europy. Tak się niestety nie stało (o czym będzie jeszcze mowa w dalszej części tego artykułu), za to... pojawił się w tym czasie (w roku mniej więcej 1997) kolejny cykl: *Homotroturus* (po polsku nazwany: *Homobydlakus*). Nieco dziwna jest jego nazwa, ale akurat wtedy artysta wyjątkowo przeżywał upokarzający widok wielu żebraków, którzy pojawili się na warszawskich ulicach. Fotografował ich, rysował, a nawet pisał na ten temat utwory poetyckie, w swej wymowie szorstkie, posępne, emocjonalne, często dramatyczne. Ale i tymi obrazami – z tego dosyć wizjonerskiego, aczkolwiek

¹ Zob. s. 98.

tragicznego cyklu – niewątpliwie skierował uwagę wrażliwych odbiorców na sytuację ludzi skrzywdzonych przez życie.

Na szczęście ten okres twórczości nie trwał długo. Swego rodzaju objawieniem okazała się piękna wieś na Podlasiu – Kuraszewo. Poznając jej piękno, artysta zachwyił się kulturą tego regionu, szczególnie prawosławia; wtedy powstał cudowny w swoim wyrazie cykl zatytułowany *Kuraszewo*. Setki charakterystycznych kropek są niezwykłą i oryginalną formą ilustrowania przez artystę Wszechświata. Najpiękniejsze obrazy z tego cyklu mają tytuły: *Pole Wierzy, Wschód a słońce w południe, Drzewa prawosławne, Cerkiew w Kuraszewie, Jabłoń prawosławna, Cerkiew w Tyniewiczach, Ogród nocą*.

I tak – Szanowni Czytelnicy – doszliśmy do roku 2009, od którego rozpoczyna się *niebiański* (zdaniem nie tylko piszącego te słowa) cykl *Brda*. Można powiedzieć, że jest powrotem Fogtta do energii żywiołów. Jednak charakteryzuje się nieco innym widzeniem pejzażu i postaci. Zapytałem: jakim? „Malowanym w kształcie pierwotnym i w symbiozie z kosmosem” – usłyszałem w odpowiedzi.

Brda jest jednak kontynuacją *Żywiołów*, które były źródłem wszystkich kolejnych cykli. Choć artysta swego czasu tłumaczył, że powstanie akurat tego cyklu nastąpiło zupełnie przypadkiem... „Zamazałem rękawem swetra jeden ze swych obrazów z cyklu *Żywioły* i ... nastąpiło we mnie coś w rodzaju ośnienia: na zamazany rysunek nałożyłem czarną gęstą farbę i nagle zauważyłem pojawienie się na płótnie nowego wymiaru przestrzeni!”. Dodam, że ten cykl mieni się obłędnie przepięknymi kolorami (a przecież woda Brdy jest – jak woda w każdej rzeczce – bezbarwna. Ale nie na jego obrazach!).

Fogtt do materii w tym cyklu podchodzi strukturalnie. Woda jest lustrem, które odbija otoczenie. Jest pierwszym obrazem rzeczywistości, poprzez ruch i odbicie światła transformuje otoczenie. To już pierwszy krok do tego zjawiskowego malarstwa, rysunku prosto z natury, gestu szpachli i grubej materii farby.

Kreśląc sylwetkę Andrzeja Fogtta, nie sposób pominąć jego znakomitego cyklu gobelinów pt. *Bitwa pod Cedynią*, zrealizowanego w roku 1982 dla Muzeum w Świdnicy.

I jeszcze słowo o jednym, dotąd niewspomnianym cyklu (niezwykle jednak wymownym, wstrząsającym, tragicznym) – będącym wyrazem protestu artysty wobec wojny w Ukrainie! Cykl ten jest konsekwencją obrazów *Homotrotuarus*. Artysta przewidział agresję Rosji. Treści *Buczy* nie będę komentował, gdyż wszyscy wiemy, co tam się wydarzyło. Ludobójstwo – inaczej tego nazwać nie można. „Napaść Rosji na Ukrainę nigdy nie powinna mieć miejsca!” – powiedział na otwarciu tej wystawy. Nic dodać, nic ująć – cały Fogtt! Czuły, wrażliwy, humanista w każdym wymiarze i calu (i takie jest o nim moje zdanie). Poznałem go pod tym względem dobrze, przez lata obserwując rozwój jego wielkiego, nie do określenia słowami talentu (Marian Turski w swoim tekście do *Buczy* w Muzeum POLIN postawił Fogtta w jednym szeregu z Goyą i Picassem).

Na każdym etapie swej twórczości Fogtt malował też *Portrety*. Powstało ich do tej pory ponad 3000 (niebawale dużo, co każdy musi przyznać). Są one wykonane zarówno na płótnie, jak i na papierze. I jak wiem – powstają dalej. Na ich bazie stworzył też cykl interpretacji portretów Witkacego i Rembrandta.

Artysta brał udział w wielu konkursach architektonicznych, m.in. na salę widowiskową dla Zespołu „Mazowsze” (uzyskując II nagrodę), *Wieżę Pamięci* w Nowym Jorku, wielofunkcyjny most w Warszawie oraz na mo-

dernizację Wałów Chrobrego w Szczecinie. Również na Teatr nad Wisłą. Wykonał też oryginalny projekt ołtarza dla Kościoła w Rzeszowie, w kształcie biblioteki, do której każdy mógłby przynieść swoją książkę! W roku 2024 zrealizował swój projekt oświetlenia zjawiskowymi żyrandolami podwórza w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 118.

Żałuję, że nie udało mu się zrealizować jednego z największych jego projektów architektonicznych – wybudowania w Warszawie *Wieży Jedności*. Miała być symbolem łączącym kraje UE w walce o prawa człowieka pod hasłem „Nigdy więcej wojny!”. Również świadectwem, że naród polski (w tym i Warszawa) nigdy nie poddał się hitlerowskiemu Niemcom, a po II wojnie światowej niespotykanym wysiłkiem odbudował kraj i zniszczoną w ponad 80 procentach stolicę. Wieża przypominałaby Europie i światu bohaterskie Powstanie Warszawskie i wcześniejsze w Getcie Warszawskim. Jak również przemiany, które dokonały się w Polsce po roku 1990.

Był (i jest) to projekt na miarę Wieży Eiffla, Centrum Pompidou w Paryżu czy Lincolna w Nowym Jorku, albo Kennedy’ego w Waszyngtonie, Franka Gherego w Bilbao lub Opery w Sydney². Ale ucieszyła mnie informacja od artysty, że pewna firma z Dubaju podpisała niedawno z nim umowę o prawa do tego projektu. Zapłaciła nawet zaliczkę, za którą Fogtt aktualnie buduje w Jabłonie (gdzie obecnie mieszka z rodziną) pracownię, gdyż – jak poskarżył mi się ostatnio – miasto Warszawa wysiedla mieszkańców, ponieważ będzie remontować budynek przy ul. Inżynierskiej, w którym artysta ma pracownię. W związku z tym grozi mu w przyszłym roku eksmisja; co zostawiam bez komentarza. Budowana w Jabłonie pracownia (na razie powstają jej fundamenty) ma być szeroko dostępna dla zainteresowanych i chcących go w niej odwiedzić. Podobnie, jak to miało miejsce w poprzednich: na ul. Lwowskiej, Podskarbińskiej i Inżynierskiej. Na terenie ją okalającym będą stały rzeźby.

Artysta nie może narzekać na brak rozpoznawalności. A wszystko, co dotąd stworzył – to wynik jego tytanicznej pracy, jaką w swoim życiu wykonał i wykonuje! Sam talent w osiąganiu sukcesów – jak wielokrotnie w rozmowach ze mną podkreślał – nie wystarcza. Masz rację, Andrzeju: nie wystarcza! Lecz praca, którą wykonałeś, przyniosła Ci uznanie, popularność i sławę.

Kończąc artykuł, życzę Artyście, z okazji 75-lecia urodzin, diamentowego zdrowia! Andrzeju, Mistrzu, pracuj tak intensywnie dalej. Polska (ba, Europa i świat) potrzebuje Twojej sztuki. Wszak bez niej jakże ubogie byłoby nasze życie! ■

Karol Czejarok – autor książek, germanista i tłumacz literatury niemieckiej, członek Związku Literatów Polskich, b. prof. nadzw. Akademii Humanistycznej im. A. Gieysztora i kierownik Zakładu Kultury Stosowanej w Instytucie Lingwistyki Stosowanej UW, wieloletni dyrektor departamentu w Ministerstwie Kultury i Sztuki.

² Powierzchnia użytkowa wieży została zaplanowana na 280 tys. metrów kwadratowych. Mogłaby pomieścić w jednym gmachu wszystkie polskie i zagraniczne instytucje walczące w naszym kraju o pokój i lepsze życie narodów europejskich (nie tylko), szerząc ideę demokracji i praworządności. Miała szansę stania się dla Warszawiaków (ale i turystów odwiedzających stolicę) ważnym centrum służącym kulturze i rozwojowi sztuki, poprzez znajdujące się w niej kina, teatry, sale koncertowe, konferencyjne i wystawowe, jak też przez firmy gastronomiczne, nie mówiąc już o tym, że wreszcie zrealizowałby się postulat budowy tak brakującego w Warszawie centrum kongresowego i wielkiej sali koncertowej.

Benefis Jacka Fedorowicza



Jerzy PAPUGA

Okazji do fety byłoby naprawdę wiele, ale właściwie podkreślona została tylko jedna – Jackowi Fedorowiczowi stuknęło dokładnie 88 lat i 6 miesięcy życia, co jest okolicznością niebagatelną, szczególnie dla benefisu. Nie ma bowiem w Polsce czynnego estradowca, rysownika, aktora, satyryka i autora, który mógłby zaświadczyć uczestnictwem we wszystkich polskich przełomach historycznych ostatniego półwiecza z okładem, a nawet pewnym ich współtworzeniem. Tak się bowiem złożyło, że Fedorowicz działa nieprzerwanie od połowy lat 50. do dziś w niezmiennie wysokiej formie: stale, konsekwentnie i zawsze po właściwej stronie. Jest to działalność radiowa, estradowa, pisarska, filmowa, telewizyjna, a ostatnio – zgodnie z duchem czasu – nawet *youtubowa*. I we wszystkich dosłownie przejawach ma ta działalność swoją zagorzałą stałą widownię, fanów, a nawet fanatyków (do których ja od pięćdziesięciu lat należę).

Można więc na wstępie powiedzieć, że Fedorowiczowi los dał nie tylko długie i wspaniałe życie w zdrowiu i pogodzie ducha, ale szalone powodzenie we wszystkim, czego się dotknął albo czym się parał. Choć sam o sobie mówi, że nie wykazywał nigdy szczególnych talentów, jeśli już, to „talenciki” – a to tu, a to tam... by po prostu zarobić na życie!!! TVP, organizując ten jakże zasłużony benefis, spisała się więc świetnie, bo tak skromne postaci trzeba honorować, choć same o laury jakoś specjalnie nie zabiegają. Będąc w gronie wyróżnionych zaproszeniem (choć trochę po znajomości...), uczestniczyłem w nagraniu tego widowiska, którego emisja zapowiadana jest na 13 grudnia – bo trochę młodszymi widzom Jacek Fedorowicz może kojarzyć się z czasami stanu wojennego, oporem przeciwko komunistycznej władzy, wyśmiewaniem jej funkcjonariuszy, kpina z nadętego ówczesnego wojskowego stylu i porządków.

Będąc wtedy w studenckim klubie Hybrydy, naśmiewaliśmy się z genialnej imitacji wojennego Dziennika Telewizyjnego, kiedy Jacek Fedorowicz na bieżąco wkładał w usta przeróżnych waśniaków bardzo *od czapy* wypowiedzi, ośmieszające ton urzędowej propagandy, jak i całe zastępy ówczesnych kacyków i prostych tępaków, którzy dorwali się do władzy i mikrofonów. Jest to ważna część jego działalności – uderzania w poprzedni ustrój ostrzem zjadliwej satyry, że aż słuchacza skręcało ze śmiechu. Dostawało się wszystkim – generałom, sekretarzom, premierom, ministrom, dyżurnym publicystom stanu wojennego. I była to działalność wymierzona także w ówczesną telewizję, która tego typu przekaz jak smrodliwy jad sączyła. Pokazano podczas benefisu parę tego próbek – naprawdę żyliśmy w takim kraju? Już za to należy się Jackowi Fedorowiczowi pomnik, niełatwo było burzyć potężny monopol *wrony*, a on dokonywał tego przy pomocy jednego magnetowidu i rozprowadzanych po cichu kaset wideo. Miał przy tym odbiorców zarówno wśród opozycji, co zrozumiałe, jak i władzy – gmach

KC również te kasety oglądał i naśmiewał się, potępiając zarazem. Nie wiem, na ile wpłynęło to na ton ówczesnej propagandy, ale Jerzy Urban pisał swego czasu, że to były najgorsze ataki na system, posługujące się bowiem pastiszem, parodią i inteligentnym komentarzem. Myślę po latach, że system runął także dlatego, że nie wiedział, jak sobie z czymś takim poradzić, bo nikt jeszcze nie wymyślił satyry prorządowej, a zastosowanie pałki w postaci cenzury nie działało, bo Jacek Fedorowicz się spod jej władzy po prostu usunął. To dawało ludziom do myślenia, bo żeby odbierać satyrę Fedorowicza, trzeba było używać szarych komórek, nawet kiedy jego działalność toczyła się w drugim obiegu, na rzecz Solidarności, opozycji i poza cenzurą. Po drodze była też działalność czysto opozycyjna, także w strukturach afiliowanych przez episkopat. Skończyło się to pamiętną instrukcją telewizyjną, jak pan Jacek zamierza głosować w wyborach 4 czerwca 1989 roku, co w cyklu solidarnościowych programów przedwyborczych oglądała cała Polska i następnie generalnie zastosowała. Na benefisie mieliśmy okazję obejrzeć wyciągniętą z archiwów telewizyjnych oficjalną polemikę z tym, co pan Jacek telewizjom wówczas zasugerował, i wzbudziło to największy śmiech widzowi.

I tu cofnijmy się do lat 70., kiedy radio było medium, w którym niepostrzeżenie zasiedliły się macki określonych sił i kół – szczególnie w magazynie *60 minut na godzinę*, nadawanym w III Programie Polskiego Radia. Słuchanie *Sześćdziesiątki* było naszym, licealno-studenckim obowiązkiem, a *Porady Kolegi Kierownika* to był największy hit tego magazynu, choć miał on jeszcze parę innych pereł. Otóż Jacek Fedorowicz – chyba na podstawie własnej obserwacji uczestniczącej – postanowił opowiedzieć o kimś, kto sprawuje ogólne kierownictwo nad wszystkim, co w PRL miało miejsce, personifikując przed mikrofonem tę postać. Figura Kolegi Kierownika genialnie oddawała ludzi, którym przyszło sprawować „wagę”, imitując ich sposób funkcjonowania nie tylko w warstwie myślowej, ale także słownej. Określenia i związki frazeologiczne, używane przez Kolegę Kierownika, jakże często spotykane wówczas w życiu urzędowym i oficjalnym, przechodziły błyskawicznie do naszego uczniowskiego języka – straszliwie np. przekraczając przemowy wizytatora naszego liceum z ramienia zapewne władz edukacyjnych. Był on więc, wraz z dyrektorem, takim naszym licealnym Kolegą Kierownikiem, i nawet przed sztywnymi jak pręt zbrojeniowy ówczesnymi porannymi masówkami tak tych dwóch osobników tytułowaliśmy.

Zatem *Sześćdziesiątka* to był program obowiązkowy – ten kto jej nie słuchał, zupełnie nie liczył się w towarzystwie, o dziewczynach nie wspominając. A czy dziś nie odnajdujecie takich ludzi wokół siebie? I tu dotykamy zagadnienia ogólnoludzkiego – że kierownicy nadal rzadko wybijają się wyżej na skutek swoich zalet charakteru, pracowitości czy walorów intelektu, częściej korzystając z jakiejś drogi na skróty, np. donosicielstwa lub awansu politycznego. Mieliśmy tego znakomite przykłady całkiem niedawno, trochę tego jest obecnie, Jacek Fedorowicz o tym mówi i nadal kapitalnie napiętnuje. Żeby nie być gołosłownym, przysłuchajcie się uważniej wypowiedziom Prezesa, przewodniczącego Błaszczaka lub jego kolegów, szczególnie złapanym do sprawozdawczego

mikrofonu w korytarzu Sejmu... Toż to Kolega Kierownik wypisz-wymaluj, oczywiście skrojony na nasze czasy.

A przecież mieliśmy jeszcze filmy Stanisława Barei, do których Jacek Fedorowicz pisał scenariusze i stał się ich pierwszorzędną postacią. Tu przytoczę jedynie opinię filmoznawców, którzy dość zgodnie stwierdzili, że takiego duetu jak Jerzy Dobrowolski – Jacek Fedorowicz nie sposób już prześcignąć ani nawet powtórzyć, a przecież nie chodziło tylko o perypetie mieszkaniowe mgr. Filikiewicza z *Nie ma róży bez ognia*, ale o ogólny obraz kraju, który co prawda naprędce wznosił mieszkania, ale bez pasujących doń drzwi i stolarki okiennej, troszczył się o rodzinę jako podstawową komórkę społeczną, a gdy trzeba reagował „mandatem 100 zł” za zakłócanie ciszy nocnej „wskutek uprawiania nietypowych praktyk seksualnych”. I w którym jednocześnie świetnie funkcjonował ktoś taki jak Dąbczak, mogący „w razie czego” załatwić wszystko, także małżeństwo na kocią łapę; a i tak ostatecznie chwilowe zagęszczenie lokalowe u Filikiewiczów(?) jakoś udało się szczęśliwie rozładować. Główny bohater grany przez Fedorowicza był w tych perypetiach prawie takim samym nieszczęśliwcem, jak ów mieszkaniowiec Nowego Jorku z filmów Woody Allena, który ze wszystkich sił starał się ogarnąć swoje pogmatwane życie, ale sytuacja często wymykała mu się spod kontroli. Na całe szczęście ten film tria Bareja-Dobrowolski-Fedorowicz nie jest zapomniany, można go dość często zobaczyć, szczerze się pośmiać i głębiej zastanowić nad ludzkim losem. Bo śmiech, który wzbudza od tylu lat działalność Jacka Fedorowicza, ma moim zdaniem także tę nutę zagubionego inteligenta, który jakoś chce opanować materię życia, a jak mu już coś całkiem nieźle wychodzi, to zapowiada to tylko jeszcze większą katastrofę. Ma w swoim dorobku Jacek Fedorowicz ról filmowych ponad 30, przecież w latach 60. i 70. grywał często i wspaniale. Np. w *Motodramie*, niesłusznie zapomnianej komedii, ale także role poważne, i tylko żałować, że parę pomysłów filmowych i scenariuszowych przepadło bezpowrotnie – z wyroku tępej gomułkowsko-gierkowskiej cenzury!

I wreszcie czasy najbardziej zamierzchłe, kiedy wraz z Bobkiem Kobielą, Wowo Bielićkim, Zbyszkiem Cybulskim i innymi ruszyli z falą studenckich teatrzyków na chwilę przed i zaraz po przełomie 1956 roku, kiedy wydawało się, że system nieco skruszeje, a wolności będzie znacznie więcej. Absolwent Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku został jednym z filarów zjawiska zwanego Bim-Bom, które promieniowało na całą Polskę – po Kraków, Wrocław, Opole, Warszawę czy Lublin. Jacek Fedorowicz był dobrym duchem tego teatrzyku i środowiska (a także sznytu, stylu, designu...), nie tylko dlatego, że w jednej z pamiętnych ról spuszczone był na linach w takim właśnie charakterze. Świetnie, że utrwalone to zostało w jednym z ważniejszych filmów tamtej epoki, fragmencik także do objerzenia podczas benefisu. Tu też należy szukać początków działalności pana Jacka jako karykaturzysty i rysownika – parę prac wyświetlanych w dużym powiększeniu mogli uczestnicy benefisu zobaczyć. A spróbujcie dochrapać się rysunków i karykatur na popularnych aukcjach malarstwa i grafiki – jeśli się pojawiają, to znikają w okamgnieniu.

I wreszcie to rondo zakończmy na działalności telewizyjno-estradowej pana Jacka, bo prócz wszystkich wymienionych aktywności i „talencików”

(jak sam to nazywa) obdarzony został także talentem estradowca, kabareciarza i konferansjera. I ta aktywność trwa niemal po dziś dzień, pamiętamy świetne występy z Malickim, Laskowikiem, właściwie trudno by wszystko wymienić, choć prowadzący benefis doskonały dziennikarz i autor Artur Andrus podjął się tej próby. Szczegółów nie chcę pochopnie zdradzać, naprawdę warto obejrzyć efekt finalny. A co do konferansjerki, to oczywiście deszcz w Opolu, który mógł skończyć się tragicznie, kiedy publika zgromadzona w amfiteatrze ruszyłaby gremialnie do wyjścia, trając się nawzajem, Jacek Fedorowicz to przepięknie opanował, przyjmując oberwanie chmury na siebie i zwracając publiczność informacją, że koncert trwa i wychodzić nie należy; może więc po latach odebrałby wreszcie należny laur z zakresu BHP?

Ale oprócz festiwalu w Opolu prowadził setki koncertów i wydarzeń estradowych, pilnując zasady, aby nie mówić za dużo, a tym bardziej o sobie. Był bowiem wychowany w pewnej kulturze kabaretowo-estradowej, znaczonej takimi zjawiskami jak Wagabunda czy inne nadscenki. Lepiej trzy zdania mniej niż o jedno za dużo. A telewizja lat 60. to przede wszystkim współpraca z Jerzym Gruzą; wtedy jeszcze telewizja była małeńka, ale wyludniała swoimi programami i serialami ulice miast i wsi, dosłownie całą Polskę. Pamiętam to jak przez mgłę, wtedy ekran oglądało się zbiorowo, po 30 osób w jednym pokoju, panie w tapirze, a panowie w swetrach, kapciach i pod krawatami. Takie programy jak *Poznajmy się czy Małżeństwo doskonałe* to było coś, co lokowało się w nurcie rodzącej się kultury popularnej, śmiechu z naszej nieporadności, ale także swojej instrukcji, jak się z niewinnego żartu czy kalamburu wybronić. Bo oprócz rozśmieszenia miało to jakiś tam walor oswajania się z przeróżnymi sytuacjami, złapania dystansu do samego siebie, nabrania pewnością. Kto dziś wpadłby na taki pomysł?

Na koniec refleksja osobista. W czasy współczesne pan Jacek wszedł z pomysłem kontynuacji *Dziennika Telewizyjnego* – i to także się powiodło. Emitowany już nadziemnie miał być satyrą przede wszystkim na nadymanych polityków i pokazywać sytuacje, które ich przerastają. Benefis akurat skoncentrował się na pamiętnym kroku defiladowym ministra Henryka Goryszewskiego w trakcie wizytacji jednej z jednostek wojskowych oraz nieudanych próbach zawieszenia przez prezydenta Kwaśniewskiego orderu na szyi jakiegoś pana, ale prawdą było to, że jak wszyscy to wszyscy – Fedorowicz nie uznawał świętych krów. No i dostało się też mojemu ówczesnemu szefowi, wicepremierowi prof. Aleksandrowi Łuczakowi, który został skarykaturowany w jednym z programów za jakąś naprędce daną sejmową korytarzową wypowiedź, chyba uchwyconą z towarzyszeniem rakiety tenisowej. Na drugi dzień po emisji jego ówczesny dyrektor gabinetu nie posiadał się ze złości, że jak to, wicepremiera tak ośmieszać, źle kadrować, sens wypaczać... No i wywiązała się dyskusja, w której opowiedziałem się zdecydowanie nie po stronie satyry, która przecież, pokazując śmieszność i pomyłki, jednocześnie każe politykom być zawsze uważnymi, uczuła na to, by nie przynudzać, a na pewno nie prawić bzdur. Dodałem, że dostało się też prof. Geremkowi, premierowi Pawlakowi, marszałkowi Oleksemu, ministrowi Podkańskiemu i innym, i to nie jeden raz, oraz zaproponowa-

łem napisanie listu do Autora, z podziękowaniem, pozdrowieniami i prośbą o szczególną uwagę. I tylko jednozdaniowo, że zdanko było wyrwane z kontekstu, co wypaczyło sens, a rakieta znalazła się w kadrze dlatego, że wicepremier trenuje codziennie i walczy o zwiększenie godzin sportu dla dzieci i młodzieży w szkołach i placówkach wychowawczych. I takie pismo poszło do TVP, a Pan Jacek na nie grzecznie zaraz odpowiedział (na listy należy odpowiadać)! Pisząc m.in. że po raz pierwszy zdarzyło mu się, aby ktoś go prosił o szczególną uwagę *Dziennika Telewizyjnego* i że bardzo docenia uznanie, jakie w oczach profesora odcinek znalazł. Tak przynajmniej to zapamiętałem, bo *Dziennik* nie bardzo spodobał się ówczesnej elicie, może z paroma wyjątkami. No i zapunktowałem w oczach dyrektora gabinetu, który pochwalił mnie za znalezienie rozwiązania, o wicepremierze nie wspominając.

A sam benefis? Świetna bodaj 3-godzinna zabawa, chyba pójdzie w dwóch aż odcinkach, bo reżyser tego widowiska Beata Harasimowicz (wybitna spec od telewizyjnych benefisów) nie ogłosiła nawet przerwy w rozkręcającej się zabawie, longiem nagrywając wszystko jak leci. A na widowni? Prezydent Bronisław Komorowski z małżonką, premier Hanna Suchocka, wicepremier Leszek Balcerowicz, ambasador Jerzy Koźmiński, ministrowie, luminarze, profesorowi, artyści, po prostu cały przekrój polskiej inteligencji... Od lat stała widownia Jacka Fedorowicza. ■

ZDANIE

„Zdanie” nr 3/2025

w sprzedaży w Empikach w całej Polsce
oraz w internetowym Sklepie Tygodnika Przegląd:

W numerze m.in.:

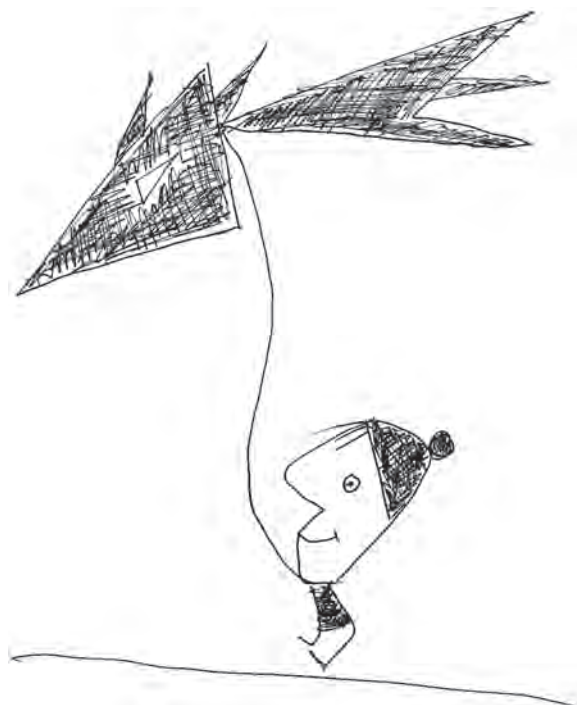
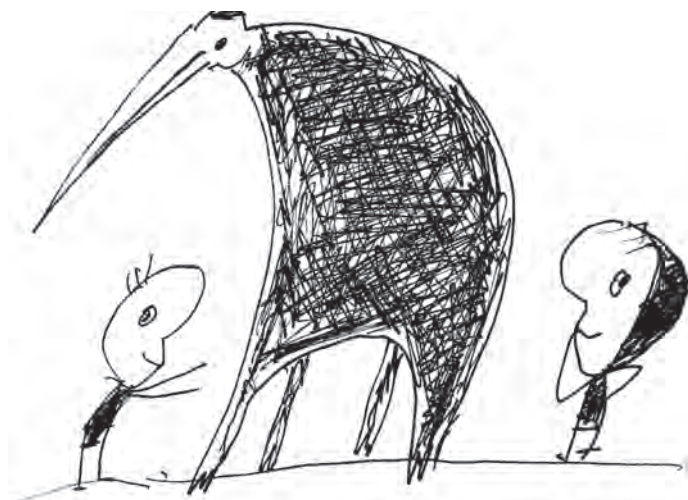
- rozmowa *Troje na Jedną* z Agnieszką Holland
- Prezydent Aleksander Kwaśniewski, Aleksander Miszański, Ryszard Śmiałek, Paweł Sękowski, Edward Chudziński, Rafał Skąpski, Halina Krywak, Andrzej Romanowski, Marian Stępień na jubileusz 50-lecia „Kuźnicy”
- Joanna Hańderek o nowej starej lewicy
- Michał Śliwa o nihilizmie narodowym w polskich sporach ideowo-politycznych
- Kowadło Kuźnicy dla Adama Daniela Rotfelda – laudacja Dominiki Dudek i głos Laureata

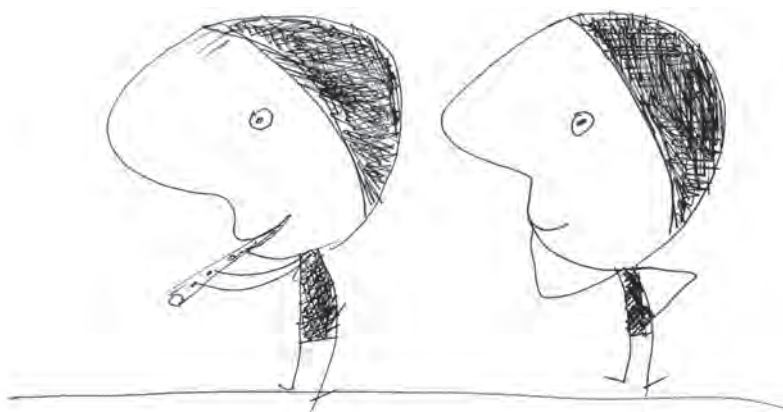
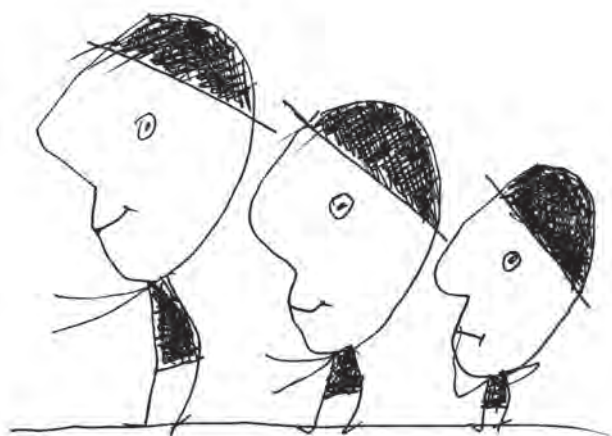
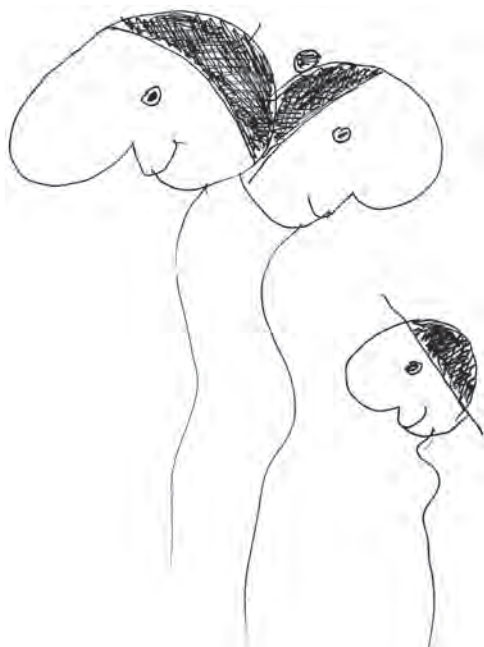


Jan STĘPIEŃ

Rysunki wybrane

Ulubione rysunki współpracującego z nami grafika, szczególnie mu drogie.





ZDZISŁAW SŁOWIK



8 października odszedł Zdzisław Słowik. Pożegnaliśmy go dziewięć dni później, dokładnie w dniu jego 93. urodzin.

Jest legendą „Res Humana”. Nic w tym dziwnego, bo założył to pismo i kierował nim przez 31 lat. Nie chodzi jednak tylko o długość czasu, w którym sprawował funkcję redaktora naczelnego, a później – Redaktora-Seniora. Ważniejsze jest to, że nakreślił linię pisma, głęboko zakorzeniając ją w humanistycznych wartościach wywodzących się z greckiej filozofii, rzymskiego prawa i dorobku Oświecenia – i z wielką konsekwencją się jej trzymał. Był człowiekiem dialogu i kompromisu, unikając skrajności, zawsze starał się iść środkiem drogi, ale w tej kwestii nie godził się

na żadne ustępstwa. Był opoką Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego – zarówno w czasach, gdy rozum musiał mierzyć się z irracjonalizmem, jak i ostatnio, kiedy to Człowiek znów zaczął zajmować miejsce w centrum wszystkiego.

Zdołał do współpracy z wydawanym przezeń pismem przyciągnąć szerokie grono wielkich autorów, wybitnych postaci, intelektualistów. Czujemy spoczywający na naszych barkach ciężar odpowiedzialności za zachowanie tego dziedzictwa, jego kontynuację i rozwój.

Od 2015 roku wyrażał nieustanne z troską kryzysem polskiej demokracji i osłabianiem państwa, w ostatnich dwóch latach nie rozstawał się z nadzieją na odbudowanie nowoczesnej i sprawiedliwej Rzeczypospolitej.

Profesor Jan Szmyd, jeden z tych, już nielicznych, którzy odbywali z Nim tę wielką podróż, tymi słowami zareagował na wieść o Jego śmierci: „Drogi Zdzisławie! Wielkim szczęściem i zaszczytem było dla mnie poznać Cię i współuczestniczyć z Tobą w próbie działania na rzecz kultury humanistycznej i światłej orientacji w świecie. Zadziwiłeś mnie i wzbogaciłeś swą szlachetnością, mądrością, żarliwą społecznością, a także mistrzostwem słowa i tytaniczną pracowitością. Teraz odszedłeś, ale jakże cenny dar pozostawiasz. Żegnaj, Spolegliwy Przyjacielu”.

Dzieląc tęsknotę z Jego współpracownikami, a także z wieloma Czytelnikami „Res Humana”, poniżej przypominamy kilka wybranych tekstów Zdzisława Słowika. Być może nie pisał tak dużo, jak powinien, otwierając łamy dla innych i poświęcając się pracom redakcyjnym i edytorskim. Przez trzy dekady pozostawił jednak wiele śladów roztropnych przemyśleń i trafnych obserwacji. Krótsze formy sygnował niekiedy pseudonimami Andrzej Biernacki i Ksawery Piwocki.

Redaktorzy „Res Humana”

Religia, wiara, ludzka codzienność

Opublikowane w numerze 1/1998 (nr 2) „Res Humana” uwagi na kanwie książki Włodzimierza Pawluczuka *Wiara a życie codzienne* (wyd. Instytut Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, 1990)

Książeczka Włodzimierza Pawluczuka, pomyślana przez autora jako teoretyczny wstęp do badań empirycznych nad złożonymi relacjami zachodzącymi między religią i wiarą a życiem codziennym, wykracza znacznie poza tak zarysowane ramy.

Rozważania autora są bowiem, jak sądzę, próbą weryfikacji pojęć i wyobrażeń na temat religii i wiary występujących dotychczas w świeckim piśmiennictwie religioznawczym, zwłaszcza tym, które nie ukrywało swych związków z marksizmem. Przedsięwzięcie takie, niezależnie od wyników końcowych, już samo w sobie zasługuje na uznanie. Truizmem jest bowiem stwierdzenie, że w świeckich rozważaniach na temat religii nagromadziło się w minionych latach niemało uproszczeń, naiwnych sądów czy wątpliwych interpretacji. Uwagi Adama Schaffa na ten temat zawarte w jego rozprawie o tym *Co jest żywe, a co jest obecnie martwe w marksizmie?* („Myśl Socjaldemokratyczna” nr 1, 1991 i nr 1/2, 1992) przekonują, że niezbędna i konieczna jest weryfikacja i nowa interpretacja zarówno głośnej tezy Marksa o religii jako „opium ludu” jak i innych sądów uznawanych za nietykalne lub nieomal święte.

Podobnie postępuje i Włodzimierz Pawluczuk. Mógłby bowiem nie trzaskać się nad żmudną rekonstrukcją i nowym opisaniem pojęć uznawanych dotąd za kanony wszelkich badań empirycznych, a przystąpić do samych badań, w czym mistrzem jest znanym i wysoko cenionym. Tymczasem tego nie robi; woli wcześniej zastanowić się nad kategoriami teoretycznymi implikującymi metody badań, a przede wszystkim określającymi cel samych badań. Taka determinacja prowadzi do wielu ważnych, choć nie bezdyskusyjnych konstatacji i ujęć.

Dwa takie przedsięwzięcia ustalające ich status i sens uczynił autor omawianej rozprawy przedsięwzięciami podstawowymi. Pierwszym z nich jest analiza złożonych relacji między religią a wiarą, a drugim – między wiarą a „życiem codziennym”, któremu poświęca rozdział wyjściowy dla całości rozważań i gdzie, w odróżnieniu od wielu autorytetów i znawców tej „codzienności”, formułuje własny pogląd, zgodnie z którym „codziennność” to „sytuacja podmiotu w świecie, jego sposób bycia” (s. 4). Wróćmy jednak do owych relacji między religią i wiarą. Uznając przedmiotowe, podmiotowe czy funkcjonalne definicje religii jako nie wyczerpujące jest istoty, trudno jednak dociec w tym przypadku, która w końcu definicja przybliży nas najbardziej do rozumienia fenomenu religii. Podobnie ma się rzecz z kategorią „wiary”. O ile dobrze zrozumiałem wywody autora pojmuję on kategorię wiary, podobnie jak religię, w szerszym i węższym ujęciu. Stwierdza więc istnienie wiary religijnej i „wiary” niereligijnej, to znaczy przekonania o istnieniu rzeczy, których istnienia nie jesteśmy sami w stanie potwierdzić.

I tutaj całkowita zgoda. Niezgoda zaczyna się w momencie, kiedy autor dochodzi do wniosku, iż wiara jest „immanentnym elementem wszelkiej (podkr. – Z.S.) rzeczywistości i wszelkich form życia” (s. 95). Tak rozszerzone pojmowanie „wiary” prowadzi do jej nieudokumentowanej globalizacji, swoistego fatum ciążącym nad człowiekiem. Zaciera się tutaj jakościowa różnica między wiarą religijną a „wiarą” niereligijną i wszelkie argumenty autora w tym względzie spotkają się jak myślę z dezaprobatą zarówno środowisk kościelnych jak i świeckich. Ze strony tych ostatnich podkreślona będzie z pewnością potrzeba uznania istnienia autonomicznej przestrzeni wolnej od wiary, przestrzeni świadomego, racjonalnego myślenia i działania. I na to nie ma rady.

Dlatego bliższa jest mi ta część rozważań zawartych w omawianej rozprawie, w której odnajduję bardzo ciekawe i przekonujące potwierdzenie narastającego procesu oddzielania się „rzeczywistości wiary” od rzeczywistości świata codziennego, co powoduje ... iż wiara religijna (coraz bardziej irracjonalna i *nieziemska* – dop.) może funkcjonować całkowicie *obok* myślenia racjonalnego u tych samych myślących racjonalnie osób nie wchodząc w kolizję z ich rzeczywistym racjonalizmem” (s. 67). Bliższa jest mi bowiem koncepcja dostrzegania faktu istnienia różnych, świadomych swej tożsamości struktur niż idea niejako z góry eliminująca ich istnienie. Koncepcja „życia codziennego”, przy całej jego ważnej przemianie, nie wydaje się jeszcze obecnie płaszczyzną stapiającą to co święte i co „nie – święte”.

To, że książeczka Włodzimierza Pawluczuka skłania do kilku wątpliwości i formułowania opinii dyskusyjnych potwierdza raz jeszcze o jej nieocenionej wartości w uwolnionym od ciasnych schematów myśleniu o fundamentalnych problemach ludzkiej egzystencji. ■

Wokół Radia Maryja

Analiza, jaka ukazała się w numerze 2–3/2005 (75–76) „Res Humana”

Bomba, która 12 lutego 2005 r. wybuchła w Radio Maryja, była jakoś oczekiwana, wszelako siła jej wybuchu przeszła wszelkie oczekiwania oraz wywołała wiele różnych następstw.

1

Rozszyfrujmy najpierw tę metaforę: bomba to list, jaki tego dnia wystosował do Radia Maryja Lech Wałęsa, b. przywódca „Solidarności” i b. prezydent RP, po wysłuchaniu audycji o lustracji, w której wystąpił jeden z działaczy tego związku i powrócił do sprawy współpracy Lecha Wałęsy ze służbami specjalnymi PRL, sprawy, przypomnijmy, wielokrotnie badanej oraz opisywanej i rozstrzygniętej – przez uznanie zarzutów za nieprawdziwe – w orzeczeniu kompetentnego organu sądowego państwa.

Lech Wałęsa nie wytrzymał. „Słuchając tych bzdur” – wspomina – usiadł do komputera i napisał do Radia Maryja wspomniany list.

„Nie jestem w stanie – czytamy w nim – cicho przyglądać się pseudopolitycznym poczynaniom tego ośrodka (chodzi o Radio Maryja przyp.

Z.S.). Nie mam nic do tematów religijnych, jestem wiernym synem Kościoła ..., dlatego to dla mnie dramat, że muszę krytykować rozgłośnię katolicką, ale czy można nie widzieć i nie słyszeć". I dalej: „Na Boga, ludzie, opamiętajcie się! Ojciec Król, ojciec Rydzyk i całe to środowisko zostało dobrane chyba przez szatana, by zniszczyć Wiarę i Polskę! ... W waszej działalności widzę metody działania tej grupy (chodzi o różne osoby, które kiedyś współpracowały z Lechem Wałęsą a obecnie należą do jego zagorzałych przeciwników, których określa mianem „zakompleksionych mącicieli, ludzi tchórzliwych, intrygantów” – przyp. Z.S.).

„Apeluję – stwierdza dalej w swym liście – opamiętajcie się i przestańcie mącić i niszczyć ten zmęczony Naród ... Nie chcę wierzyć, że pod sztandarem Maryi może kwitnąć taka obłuda.

Ojcowie, nie dajcie się nabierać temu cynikowi (chodzi o tego b. działacza Solidarności, który właśnie oskarżył Wałęsę we wspomnianej audycji maryjnej – przyp. Z.S.) który zawsze tylko ślizgał się i nic nigdy nie zrobił porządnie. Treści audycji z udziałem p. Wyszowskiego ocierają się o poziom bredni wariata i sprowadzają dyskusje do poziomu korytarzy szpitala psychiatrycznego. Obserwowałem Ojca prowadzącego. Czy Ojciec Król (jest najbliższym współpracownikiem o. Rydzyka – przyp. Z.S.) w to wierzy? Jeśli tak, to przerażające”.

W swoim liście b. przywódca Solidarności i b. prezydent RP przypomina swoją działalność na tych stanowiskach, stwierdza, że pracował dla Polski i jej dobra, pisze także o swoich błędach i z goryczą pyta: „Gdzie wasz rozsądek? W co wierzycie? Jaką Polskę budujecie? Wobec kogo jesteście lojalni, skoro tyle razy zmieniacie zdanie i pod sztandarem Maryi zdradzacie wszelkie ideały i siejecie nienawiść. Czemu dajecie możliwość wypowiedzi tym, którzy wykorzystują trudności reform i niezadowolenie mas dla windowania się w karierze?”.

2

List Lecha Wałęsy, niezależnie od naszego stosunku do osoby autora – budzi szacunek. Wywołał też burzę. Można było się jej spodziewać, obserwując nasilającą się coraz bardziej arogancję, pychę i wyniosłość radiomaryjnych zakonników z Torunia, działających wraz z rosnącą liczebnie i odpowiednio dobieranych osób ze środowisk nacjonalistyczno-klerykalnych, wspieranych przez podobnych im poglądami różnych „uczonych mężów”.

Ich wspólną odpowiedzią na list była agresja oraz próba ośmieszenia jego autora. Działania zostały podjęte w kolejnych dniach po opublikowaniu listu w wielu audycjach Radia Maryja i Telewizji Trwam, zwłaszcza w „Rozmowach niedokończonych”, 12 lutego 2005 r., w których Giertych, Lepper, Macierewicz i do których dołączył Ziobro broniąc Radia przed, jak się wyraził, „absurdalnymi atakami”, podjęli próbę zdyskredytowania pokojowej drogi Polski od realnego socjalizmu do demokracji, przy okazji obarczając Wałęsę winą za wszystkie jej grzechy. Lech Wałęsa zareagował ponownie. „Wczorajsza wasza audycja z tymi wielkimi umysłami – ironizował – była jeszcze bardziej kretyńska, niż wcześniejsze. Szkoda mi Was, ale jeśli myślicie, że to mnie zniechęci do waszego nawrócenia, to się mylicie ... Modlę się za waszą głupotę z nadzieją”.

Nadzieja się nie spełniła, i zapewne nie spełni, natomiast spełnił się w swoim niepowtarzalnym stylu sam ojciec dyrektor: „Kundle idą i obsikują

wszystko, co tylko wystaje ponad ziemię” – zauważył 26 lutego. I dodał: „Jest atak na Polskę, na to co katolickie ... MASONERIA stworzyła komunizm, by zniszczyć Kościół i nie wyszło. Myślicie, że poprzestała? Jeszcze sprytniej to będzie robić”. I następnego dnia, ze sceny warszawskiej Sali Kongresowej wołał już bardziej przytomnie co interesownie do sympatyków swej rozgłośni, że „świeccy mają obowiązek wejść do polityki, tworzyć partię”. Słuchało go ponad 2,5 tys. osób, które zapłaciły za wstęp 25 zł, sądząc, na ogół, że chodzi o ... wielkopostne spotkanie modlitwne Radia Maryja; słuchali i zapewne w końcu się domyślali, że wzywa ich do stworzenia jednej prawicowej partii narodowej spośród istniejących dotąd różnych jej koterii i grup interesu.

Jeśli wolno zrekapitulować przytoczone tu fakty, to nie popełnimy większego błędu, jeśli stwierdzimy, że wystąpienie Lecha Wałęsy, zapewne wbrew jego zamiarom, doprowadziło do pewnej konsolidacji środowisk radiomaryjnych, notorycznie skłóconych ze sobą i przeżartych chorobliwymi ambicjami; doprowadziło do obrony stanu posiadania, bo w końcu chodzi o obronę przed mocnymi zarzutami sformułowanymi przez nie byle kogo.

3

Jak na to wszystko zareagował oficjalny Kościół, jego hierarchowie, zwłaszcza że Lech Wałęsa wystosował 23 lutego kolejny list adresowany bezpośrednio do „Biskupów i Wiernych Kościoła Katolickiego w Polsce”. Uściśla w nim i precyzuje swoje wcześniejsze zarzuty wobec Radia Maryja i Telewizji Trwam, stwierdza, że nie chodzi o jego osobistą krzywdę, której doznaje, lecz o to, że działalność redemptorystów z toruńskiej rozgłośni stanowi „od dawna zagrożenie dla młodej polskiej demokracji i obrazu Polski i Kościoła polskiego w świecie”. Kwestionuje katolicki i obywatelski charakter nauczania praktykowany przez o. Rydzyską i jego konfratrów, zwraca uwagę na obecność w programach wątków antysemitycznych i ksenofobicznych, na urządzanie seansów nienawiści, na instrumentalne traktowanie nauczania i osoby Jana Pawła II i postuluje: „Jest to wystarczającym powodem przemawiającym za pozbawieniem jej dobrodziejstwa korzystania ze statusu, na który nie zasługuje, i koncesji, którą narusza”.

Na tak dobitnie sformułowane zarzuty hierarchowie polskiego Kościoła zareagowali różnie, choć wymowne jest także milczenie większości z nich. Zareagowali spokojnie i rzeczowo, jak metropolita gdański, abp Tadeusz Gocłowski, który powiedział: „Podzielam niepokój Wałęsy dotyczący tego, co dzieje się na antenie toruńskiego radia. Można mieć trochę zastrzeżeń co do formy apelu prezydenta, ale co do problemu, ja go dostrzegam i chciałbym, żeby znalazł szczęśliwe rozwiązanie”; ale i zgryźliwie, jak przewodniczący Komisji Episkopatu Polski ds. Troski o Radio Maryja i od niedawna rządca diecezji warszawsko-praskiej abp Sławoj Leszek Głódź mówiąc: „Z pewnością ziemia nie zadrży, a słońce się nie zaćmi od listu pana Wałęsy. Zespół dobrze wie, co ma robić. Dziwię się, iż nikt nie żyje listami, które biskupi piszą na Wielki Post, a wszyscy zajmują się listami prezydenta Wałęsy”.

Aby zgryźliwości było za mało Konferencja Episkopatu Polski nie podjęła na zgromadzeniu 8 i 9 marca 2005 r., wbrew wcześniejszym zapowiedziom, spraw podniesionych w listach Lecha Wałęsy. Gwoli ści-

słości – temat podjęto pośrednio, poprzez wezwanie duchowieństwa w jego kontaktach z mediami do przestrzegania 21 zasad, wśród których znalazły się: wierność Ewangelii, rzetelna wiedza, odpowiedzialność, roztropność, i troska o prawdę.

Sądząc po charakterze dotychczasowych relacji pomiędzy hierarchią Kościoła a Radiem Maryja wolno przypuszczać, że redemptoryści toruńscy wraz z ich politycznym zapleczem uznają dyrektywy Episkopatu za co najmniej ich nie dotyczące, albowiem nie są na tyle naiwni, aby nie dostrzegać swoich wpływów w tym dostojnym kościelnym gremium, których siła odpowiada wadze wspólnych, i to wcale niebiałych spraw, ale o tym szerzej za chwilę.

4

Przytoczone obszernie słowa listów Lecha Wałęsy, po raz pierwszy tak zdecydowanie krytyczne wobec rozgłośni toruńskich redemptorystów, słowa, które – wolno sądzić – dzielają także osoby i środowiska nie związane z Kościołem, ale nieobojętne na to, co się mówi o Polsce i świecie, zatroskane o państwo jako dobro wspólne i o to, aby ład społeczny dominował ponad wielorakimi różnicami, i aby nie burzyła go nienawiść, anomia zaufania i kłamstwo – prowadzą najpierw do pytań bardziej generalnych: dlaczego tak trudno dziś o zapewnienie trwałej obecności wspomnianych wartości w polskim życiu politycznym i społecznym; dlaczego tyle pobłażliwości i bezkarności dla sprawców działań godzących w te wartości czy standardy; dlaczego wciąż tyle w Polsce piekła świadomie stwarzanego i podsycanego wbrew jej najżywotniejszym interesom?

Sprowadźmy na tym miejscu sformułowane wyżej pytania do jednego: dlaczego Radiu Maryja tak właśnie wolno działać – podtrzymywać i rozniecać polskie piekło, burzyć ład społeczny, podważać, nie wahajmy się tego powiedzieć, polską rację stanu?

Jest zdolny do takich działań o. Rydzyk i jego najbliżsi radiomaryjni współpracownicy nie dlatego, a ściślej – nie przede wszystkim dlatego, że popiera go kilka zamożnych środowisk zagranicznych czy niewielka w końcu liczba rodzimych polityków, lecz zdolny jest do tego wszystkiego, co czyni, dlatego że sprzyja mu obiektywnie stan polskiej religijności i sytuacja polskiego Kościoła.

Nie miejsce tu na bliższą charakterystykę tej problematyki, ale trzem kwestiom poświęćmy nieco uwagi.

Po pierwsze – to charakter polskiej religijności, dobrze opisanej i zanalizowanej w wielu studiach choćby socjologicznych, że wspomnieć dzieła Stefana Czarnowskiego, Stanisława Ossowskiego czy – ze współczesnych – ks. Janusza Mariańskiego. Z kart tych studiów, ale i codziennej obserwacji, dostrzec można łatwo cechy tej religijności – jej charakter emocjonalny, pobudzany od wieków kultem Matki Boskiej właśnie, jej nierefleksyjność, jej struktura budowana na różnych lękach i jej wszechobecne zrytualizowanie. Ale jest także polska religijność odzwierciedleniem wielowiekowej, autentycznej ludzkiej biedy, tej biedy, która w Bogu, Chrystusie i Matce Boskiej szukała – i wciąż szuka – rady i pocieszenia oraz pomocy w tym, jak z tą biedą żyć, jak ją pokonywać, jak zachowywać godność człowieczą. W programie Radia Maryja można dość wyraźnie usłyszeć pola pewnej troski o tych wszystkich ludzi, ale pola te, zwłaszcza w ostatnim czasie, wypełnia coraz

bardziej manipulacja, nienawiść i kłamstwo. Czynią tak nadawcy toruńscy poprzez wskazywanie fałszywych przyczyn i urojonych sprawców ludzkiej niedoli czy niedostatków w funkcjonowaniu państwa oraz życia zbiorowego, poprzez proponowanie rozwiązań zbyt łatwych, aby uznać je za prawdziwe i płynące z uczciwych intencji.

Po drugie – rozgłośnia toruńska może tak działać, ponieważ ma przyzwolenie większości duszpasterzy Kościoła instytucjonalnego, w tym hierarchów, a przyzwolenie to, jeśli nie sympatia i poparcie, płyną z analogicznego charakteru duszpasterskich doświadczeń. Ci wszyscy wierni, którzy chodzą do kościoła, przystępują do różnych sakramentów czy świadczą na tacę, nie są przecież w swej masie odmienni od słuchaczy Radia Maryja; są to czysto ci sami wierni. Co więcej, Radio Maryja cieszy się poparciem polskiego duchowieństwa płynącym także – jak zauważa publicysta „Tygodnika Powszechnego” – „z podziwu dla zdolności menedżerskich o. Rydzyka, czy z racji podzielenia jego poglądów na politykę, czy wreszcie na uznaniu duszpasterskiej roli rozgłośni, zwłaszcza wobec ludzi chorych i starszych” („Gazeta Wyborcza” 10 marca 2005). Podejmować więc w tych warunkach trud zasadniczo innej z wiernymi rozmowy od „Rozmów niedokończonych”, choć nie tak rzadko trud taki podejmuje wielu duchownych, to rzucać wyzwanie utrwalonej tradycji, to naruszać istniejące więzi z takimi wiernymi jakimi są.

Powiedzmy szczerze: w istniejących uwarunkowaniach można rozumieć obawy polskiego Kościoła przed podejmowaniem działań, otwierającym go szerzej na świat i jego wyzwania, wszelako rozumienie tej wstrzemięźliwości nie może oznaczać tolerowania sytuacji, w której rozgłośnia określająca się jako katolicka, krzewi kłamstwa i nienawiść. Zda się, że Kościół polski stał się więźniem istniejących uwarunkowań i nie jest – przynajmniej obecnie – zdolny do ich zmiany.

Po trzecie wreszcie – na orientację, zwłaszcza polityczną Radia Maryja, a także na poglądy znacznej części polskiej hierarchii kościelnej znaczący wpływ wywiera charakter konfliktów dzielących polską scenę polityczną i jej elity. Osią tych konfliktów jest wiadomy podział historyczny, wciąż podtrzymywany a nawet pogłębiany, że wspomnieć już tylko o ubeckich teczkach służących dziś niektórym do wzniecania wewnętrznej wojny, prób dintojry i linczu. Nawet Lecha Wałęsę próbuje się wciągnąć do tej wojny i uczynić jej ofiarą. Choć konflikt ten i podziały nie odzwierciedlają tego czym żyje społeczeństwo polskie, i co jest jego autentycznymi problemami, nie wolno nie dostrzegać jego wielu następstw, czysto bardzo niszczących tkankę społeczną, i hamujących szybszy rozwój. Jest poważnym problemem Polski to, że katolicka rozgłośnia radiowa i katolicka Telewizja Trwam, przy wsparciu części polskiego duchowieństwa i hierarchii Kościoła, określiła swoje miejsce w tym konflikcie i w tej wojnie w taki sposób, że naczelne przykazanie miłości bliźniego zostało zastrzeżone dla arbitralnie wybranych.

*

Krąg uwarunkowań, które zrodziły Radio Maryja i zapewniają mu nieskrępowane działanie, krąg, do zrozumienia którego inspiruje także wystąpienie Lecha Wałęsy, w jakimś stopniu się zamyka. Wszelako nie jest to, wolno sądzić, zamknięcie, z którego nie można się wydostać,

a więc pozostawać w sytuacji bez wyjścia. Doświadczenia odległych i całkiem najnowszych czasów uczą, że zmiany mogą być bardzo radykalne i że obejmować mogą wszystkie sfery ludzkiego życia i wszelakie instytucje. Także nieodległe doświadczenie Kościoła rzymskokatolickiego wskazuje na możliwość takich zmian: to za sprawą II Soboru Watykańskiego Kościół zdolny był wydobyć się z pułapki pogłębiającej go izolacji, zdolny był otworzyć się na świat i zapewnić sobie stosowny wpływ na jego sprawy.

Wprawdzie problemy polskiego Kościoła i Radia Maryja są nieporównywalne do wielkości przywołanego tu przykładu, ale tym bardziej przykład ten wskazuje, że Kościół bywa zdolny do zmian i że zdolny jest je dokonać. ■

Powyborczy rząd PiS

Tekst z numeru 6/2015 „Res Humana” (listopad–grudzień 2015 r.)

W chwili zamykania obecnego numeru do druku Jarosław Kaczyński wraz z Beatą Szydło, wskazaną na premiera, ogłosili na konferencji prasowej skład personalny rządu PiS w jego zrekonstruowanej strukturze.

Nie sposób w tym momencie odnieść się do meritum tego wyboru. Można jedynie skonstatować, że mamy do czynienia z ekipą o dwóch obliczach: pierwsze obrazują osoby społeczeństwu mało lub w istocie zupełnie nieznanne, choć zapewne znane i zasłużone dla swojej partii, a drugą, żeby było wiadomo, o co w końcu chodzi, to osoby dobrze z kolei znane i bardzo dobrze zapamiętane z czasu rządów PiS w latach 2005–2007 – Mariusz Kamiński, Antoni Macierewicz i Zbigniew Ziobro.

I ten właśnie fakt, to stare oblicze, przywrócone obecnie do życia, wzbudziło zrozumiałe poruszenie polskiej i międzynarodowej opinii publicznej, więcej – wywołuje głęboki niepokój, bywa, że i strach. Ale strach, nawet ten o „wielkich oczach”, nie powinien przesądzać o niczym już teraz.

Bo teraz zegar polskiego czasu zaczyna przede wszystkim odmierzać dzieło tych, którym oddano właśnie stery kierowania naszym państwem. Wspólnym dobrem wszystkich jego obywateli, nie tylko tej 18,5 proc. mniejszości, z woli której wyłonił się ten rząd.

O tym fakcie powinniśmy pamiętać wszyscy.

Słowo od Redakcji

Czas polskich wyborów, trwający od poprzedniego roku i zakończony 25 października roku obecnego, dokonał zmian, których dziś za wcześnie jeszcze oceniać, choć można przypuszczać, że dla bliskich nam humanistycznych wartości świeckich i ideałów społecznej lewicy ten czas będzie z pewnością wielkim wyzwaniem.

Nie lękamy się tego wyzwania, ponieważ doświadczaliśmy podobnych wyzwań w dalszej i nieodległej przeszłości – i przetrwaliliśmy; nie lękamy się i tego najnowszego wyzwania – i ufamy, że i tym razem damy radę, że przetrwamy, że ocalimy nasze dziedzictwo, naszą tożsamość, naszą wolę kształtowania lepszego świata na miarę godności człowieka.

I ufamy, że społeczne wartości lewicy, choć dziś w zaproponowanym projekcie politycznym nie doprowadziły lewicy do parlamentu Rzeczypospolitej, to nadejdzie czas, kiedy to się dokona, kiedy poprowadzi jej szeregi do sukcesu nowa generacja liderów, choćby ujmująca Barbara Nowacka, którzy już pokazali społeczeństwu co potrafią, i którym podziękujemy za ich dotychczasowy trud, za odwagę, za ducha walki, za wszystko, co już osiągnęli. O tym sukcesie, a nie poczuciu klęski myślimy; o czasie, który nadchodzi. Myślimy o lepszych dniach, bo za nami jest wielu, którym dziś odebrano głos, albo którzy nie uzyskali satysfakcjonującego przekazu, godnego ich poparcia. ■

Październik '56 i jego lekcje

Notka opublikowana w numerze 6/2016 „Res Humana”

Zrodził polski Październik '56 poznański czerwiec, żądanie przez robotników wyższych płac i większego szacunku dla ich trudu; zrodził o rozległej skali społeczny bunt zakończony tragicznie, pozostający bolesnym wyrzutem sumienia politycznych przywódców ówczesnej władzy, ale też otwierający od tego momentu istotnie nowy rozdział w dziejach powojennej Polski. Czas przyspieszył. Oczekiwanie zmian stało się nieuchronne: ono nie mogło trwać długo, ono musiało objąć same fundamenty istniejącego systemu, musiało zmienić wiele dotychczasowych przekonanych uznanych za niewzruszone dogmaty, odświeżyć klimat codziennego życia w zgodzie z nowymi wyzwaniem w zmieniającej się Europie i w świecie.

W realiach ówczesnego systemu ustrojowego takie zmiany mogły się dokonać najpierw na szczytach władzy, w kierownictwie politycznym sprawowanym przez rządzącą partię. I choć było ono wyjątkowo nieudolne, to nie chodziło jedynie o jego zmianę na ekipę o większej sprawności działania: bo z poznańskiego buntu i gorących dyskusji w samej partii wyłoniła się konieczność takiej zmiany na szczycie władzy, która byłaby zmianą nie tylko polityczną, lecz a może przede wszystkim zmianą zarazem symboliczną, co moralną.

Powrót Władysława Gomułki do sprawowania najważniejszej funkcji w partii i państwie, powrót człowieka jeszcze niedawno przebywającego w ubeckim więzieniu, poddanego represjom za myśl o Polsce budującej swój czas własną drogą, odpowiadającą jej historycznemu doświadczeniu i opartej na narodowej godności, taki powrót i taka zmiana była powszechnym oczekiwaniem i polityczną koniecznością. W trzecim tygodniu października '56, kiedy rozstrzygały się ten wybór i zmiana, w tych dniach pełnych napięcia, niepewności i niepokoju, w tych dniach rodził się zarazem nowy ład ustrojowy w Polsce. Owszem, wciąż niedemokratyczny, jednak odświeżony i jak obraz włożony w stare ramy.

Nie mogło być wówczas inaczej. Pamiętamy tamten czas lub czytamy o nim w zachowanych dokumentach: o radzieckich czołgach z dwóch stron zbliżających się kolumnami do Warszawy w „obronie Polski za-

grożonej kontrrewolucyjnym przewrotem”, o niezapowiedzianym przylocie najwyższego kierownictwa radzieckiego z Nikitą Chruszczowem i wielogodzinnych, dramatycznych rozmowach w Belwederze z nowo wybranym polskim kierownictwem już z Władysławem Gomułką w roli głównej. W tych wszystkich chwilach rozstrzygał się polski los. Jego stawką była kwestia niebagatelna: nowy charakter stosunków polsko-radzieckich. I one, od tego momentu, stały się inne, choć jeszcze dalekie od tego, co dokonało się dwadzieścia lat później.

Polski Październik miał więc swoją wielką dramaturgię. Wyłonił wielu nowych, robotniczych przywódców, aby z szacunkiem przypomnieć Lechosława Goźdźika, i ukazał swój historyczny sens 24 października, owym wielkim zgromadzeniem poparcia polskich zmian wielu tysięcy ludzi na warszawskim Placu Defilad. Tego zgromadzenia nie sposób nie pamiętać, bo była to, pierwsza w powojennej Polsce, autentyczna demonstracja solidarności zgromadzonych ze swoim politycznym kierownictwem, z jego niekwestionowanym przywódcą, z Władysławem Gomułką. On bowiem, swoją nieugiętą wolą moralną i zdolnością obrony zasad politycznych był wówczas wyrazicielem i gwarantem polskiej suwerenności i jej własnej drogi prowadzącej ku nowym czasom.

Wiemy, że owe czasy nie okazały się zbyt łaskawe na miarę społecznych oczekiwań i nadziei, że jeden człowiek, choćby obdarzony najlepszymi przymiotami czy charyzmą, nie może być zdolny dokonać wszystkiego, czego oczekuje się od niego, że nawet konstrukcje demokratyczne czy system prawny nie wystarczają dla osiągnięcia efektów akceptowanych przez większość.

Z polskiego Października '56 płynie lekcji wiele. Nie zostały dobrze odrobione, w czasie, który zamknął rok 1989, choć z pełnym przekonaniem wolno powiedzieć, że bez tamtych dni, doświadczeń i tego wszystkiego, co wówczas dokonano, nie było by tego co jest naszym doświadczeniem współczesnym. Dlatego wielkiej karty Października '56 nikt nie zdoła wyrwać z kalendarza polskiego losu. ■

W kręgu ludzkich spraw

Słowo wstępne Zdzisława Słowika do wydanej w serii Biblioteka „Res Humana” książki *W kręgu ludzkich spraw* (Warszawa, 2017 r.), zredagowanej i przygotowanej przez Niego do druku z okazji 25-lecia dwumiesięcznika. Pozycja składa się z 84 opublikowanych wcześniej w periodyku artykułów takich autorów, jak Zygmunt Bauman, Uri Huppert, Janina Kotarbińska i Adam Kotarbiński, Aleksander Kwaśniewski, Tadeusz Mazowiecki, Janusz Reykowski, Adam Schaff, Bogdan Suchodolski, Andrzej Walicki, Jerzy Wiatr, Jan Woleński i wielu innych, a także z wyboru dokumentów ruchu laickiego w Polsce.

Z dwóch inspiracji powstała ta książka, którą powierzamy naszym Czytelnikom i wszystkim zainteresowanym „kręgiem ludzkich spraw” odczytywanym z perspektywy świeckiego humanizmu.

Pierwszą z tych inspiracji było ćwierćwiecze istnienia „Res Humana”, i pewnego, wyznajmy może nieskromnie, poczucia satysfakcji z tego, co się nam w tym czasie udało. A udało się najpierw i zapewne przede wszystkim

zachowanie ciągłości istnienia czasopisma w tym niełatwym czasie, udało się skupić wokół niego grono wybitnych autorów – Przyjaciół wspólnej sprawy i losu, i udało się wreszcie pozyskać grono wielu Czytelników, którzy pozostając nieprzerwanie z „Res” od wielu lat, tworzą jej bezcenny skarb. I właśnie te wszystkie skarby zachęciły nas do ich utrwalenia w postaci tej książki.

Z kolei drugą inspiracją była świadomość potrzeby wyjścia naprzeciw postulatom tych, zwłaszcza młodych generacji Polaków, którzy w świeckim humanizmie widzą nadzieję wyjścia z tunelu przenikniętego dziś mrokami zgoła średniowiecza i szukają wyjścia z niego na świeże powietrze, którym można bez obawy oddychać.

Książka, którą podjąłem się opracować, nie była zajęciem łatwym: nie tylko dlatego, że „Res Humana” okazała się w ostatnim czasie „matką” czterech autorskich książek opublikowanych w „Bibliotece” naszego czasopisma, ale też ze względu na wielość tekstów, z których każdy, z blisko półtora tysiąca wydanych dotąd stron, prosił słusznie o obecność w książce. Jej wszelako realistyczne wymagania zmuszały, w poczuciu żalu, ale i ryzyka trafności wyboru tekstów czy konieczności ich niewielkich skrótów, do tej propozycji, którą mamy obecnie przed sobą.

Jest istotą tej propozycji ukazanie w trzech częściach książki najważniejszych kart rozwoju myśli programowej tego dziedzictwa świeckiego humanizmu, które reprezentuje dziś w Polsce Towarzystwo Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego w czasie określonym latami minionego ćwierćwiecza. To idee humanizmu, racjonalizmu i świeckości, zarazem tolerancji i dialogu, idee otwarte na coraz bardziej otwarty, współczesny świat. Idee, jakże przejmująco wyrażone w wierszu *Pożegnanie* Tadeusza Kotarbińskiego otwierającym naszą książkę.

Za nami minione dwadzieścia pięć lat. Przed nami czas, mówiąc słowami jednego z ważnych autorów książki, „płynnej nowoczesności”, czas niepokoju, ale i nadziei, czas próby każdego z nas.

Jeśli ta książka okaże się pomocną dla Czytelników w tej próbie, będzie to dla nas wartością najcenniejszą, w imię której podjęliśmy trud jej wydania. ■



Zdzisław Słowik

ur. 17 października 1932 – zm. 8 października 2025

ŚWIADECTWA

Urząd Naczelnika jako symbol przywództwa państwowego i narodowego



Danuta WANIEK

Tytuł „naczelnik”, jako wyraz najwyższej pozycji przywódczej, kreowanej w kategoriach państwa i narodu, wywodzi się z tradycji kościuszkowskiej. Po raz pierwszy dostał go Tadeusz Kościuszko, a jego pełna nazwa brzmiała: „Naywyższy Naczelnik Siły Zbroyney Narodowej”. Historycy nie wyjaśniają, dlaczego przywódcę powstania narodowego obóz demokratyczny nazwał wówczas naczelnikiem.

Tytuł ten pojawił się w historii Rzeczypospolitej Polskiej dwa razy, powierzony dzierżycielom idei niepodległości. Organizowanie walki politycznej i zbrojnej w imię obrony przed wrogiem zewnętrznym dawało zarówno Tadeuszowi Kościuszce, jak i Józefowi Piłsudskiemu legitymację do narodowego i państwowego przywództwa. Obaj stali się głównodowodzącymi w sensie wojskowym i polityczno-państwowym.

Historia obu przypadków potoczyła się różnie: naczelnik insurekcji z 1794 r. przegrał walkę z silnymi zaborcami, nie utrzymał niepodległości Polski, stał się natomiast na długie lata wzorem patrioty, dla którego wolność obywateli i kraju są wartością najwyższą. Z kolei Józef Piłsudski trafił na lepsze okoliczności międzynarodowe, ponieważ zaborcy ziem polskich wychodzili z I wojny światowej, jeśli nie rozbici to poważnie osłabieni. Dla niektórych motywacje przyjęcia przez niego tytułu naczelnika państwa stanowi pewną zagadkę historyczną, ponieważ nie ma w źródłach śladu dyskusji, prowadzonej na ten temat wśród ówczesnych działaczy politycznych. W *Pamiętnikach z lat wojny* St. Dzierżbicki pisze, że pomysłodawcą powrotu do tego tytułu był znany prawnik z tamtego okresu – Stanisław Bukowiecki (1867–1944). Tradycja kościuszkowska była w środowisku PPS-owskim niezwykle popularna, była częścią myśli politycznej tej partii. Bez wątpienia musiał ją podzielać sam Piłsudski. Potwierdza to Daria Nałęcz, pisząc, że w grudniu 1918 r. „ta idea dominowała już w jego poufnych i publicznych wypowiedziach”¹.

On sam swoje związki z tradycją kościuszkowską widział zobowiązująco i mówił: „Powoływać się na Kościuszkę, posługiwać się jego imieniem, zachwycać się nim i solidaryzować się z jego ideałami może każdy bezkarnie,

¹ Daria Nałęcz, *Sen o władzy. Inteligencja wobec niepodległości*, Warszawa 1994, s. 85.

bez konsekwencji i kosztów. Bo Kościuszko nie żyje. Kto solidaryzuje się ze mną, musi płacić wysiłkiem, męką, trudem, ofiarą z wolności, z życia”². Na zjeździe legionistów w Kaliszu 7 sierpnia 1927 r. zdradził m.in., że tytuł naczelnika był w tym momencie ukoronowaniem jego patriotycznych starań: „Uczucie ulgi nierzaz znalazłem w moich pracach i myślach jako Naczelnik Państwa i Naczelnny Wódz” – pisał później w swych *Pismach*³. S. Mackiewicz pisze, że „Piłsudski przeżywa wtedy najbardziej romantyczny okres swego życia. Wymarzona niepodległość nareszcie przysłała i on ma dużo w ręku do dalszej rzeźby jej form”⁴. W koncepcji Piłsudskiego urząd naczelnika państwa miał symbolizować zgodę narodową i jednolitość władzy państwowej.

Naczelnik po raz pierwszy

10 listopada 1918 r. Józef Piłsudski powrócił do Warszawy z więzienia w Magdeburgu. Wydarzeniu temu towarzyszyła już legenda patriotyczna Komendanta – konspiracyjna i legionowa. Dla większości Polaków był w tamtych dniach wielkim politycznym autorytetem, był jedynym, „który mógł stanąć na czele odradzającej się Polski”⁵. Na dworcu w Warszawie był entuzjastycznie witany nie tylko jako przywódca polskich socjalistów, ale przede wszystkim jako wódz odradzającej się Polski.

Rada Regencyjna przekazywała mu władzę niechętnie, ale miała przeciwko sobie nastroje ludności. Piłsudski przyjął jej warunek, że powierzona mu władza ma charakter przejściowy, że będzie ją pełnił na czas do zebrania się konstytuanty. Równocześnie Rada Regencyjna przekazała najpierw „Brygadierowi Józefowi Piłsudskiemu” całą „władzę wojskową i naczelne dowództwo wojsk polskich, jej podległych”. Następnie, „kierując się dobrem Ojczyzny”, postanowiła o swoim rozwiązaniu, przekazując naczelnemu dowódcy Wojsk Polskich najwyższą władzę państwową. Po przyjęciu obowiązków państwowych stał się w zasadzie jednoosobową władzą wykonawczą na ziemiach polskich, realnym ośrodkiem władzy państwowej, określanym przez niektórych „hegemonem”.

Według W. Komarnickiego rok 1918 jest początkiem „okresu przejściowego” podzielonego na czas dyktatury Tymczasowego Naczelnika Państwa (14 listopada 1918 r. – 9 lutego 1919 r.) i na okres Sejmu Ustawodawczego (czyli Konstytuanty 1919–1922). W początkowym procesie budowy II Rzeczypospolitej władze odwołały się do dekretów, czyli do aktów prawnych mających moc ustawy, a tradycyjnie wydawanych przez inny organ niż parlament, najczęściej przez organ, który miał charakter władzy wykonawczej. Oceniając rzecz z perspektywy historycznej, należy uznać, że w ówczesnych warunkach była to jedyna realna droga budowy struktur niepodległego państwa polskiego.

W tych okolicznościach na mocy swojego dekretu z 14 listopada 1918 r. formalnie pełnię władzy w państwie objął Józef Piłsudski, któremu podporządkował się rząd lubelski. Tymczasowy ustrój polityczny państwa

² Cytuję za: Piotr Szubarczyk, *Naczelnik*, [w] Biuletyn IPN, nr 5–6 z 2008 r., s. 16.

³ J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, tom IX, s. 89.

⁴ S. Mackiewicz, *Historja Polski od 11 listopada 1918 r. do 17 września 1939 r.*, Warszawa 1990, s. 82.

⁵ A. Ajnenkiel, *Od rządów ludowych do przewrotu majowego*, Warszawa 1965, s. 21.

polskiego został uregulowany dekretem z 22 listopada o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej. Na jego mocy znów najwyższą władzę w państwie objął J. Piłsudski, jednakże już jako Tymczasowy Naczelnik Państwa, a rolę rządu republiki pełnili prezydent ministrów i ministrowie, mianowani i odpowiedzialni przed Naczelnikiem. Władzę ustawodawczą pełnili wspólnie Naczelnik Państwa i Rada Ministrów. Wydawali oni dekrety, które traciły moc obowiązującą w przypadku nieprzedstawienia ich na pierwszym posiedzeniu przyszłego Sejmu Ustawodawczego, czyli zgromadzenia, którego naczelnym zadaniem było uchwalenie konstytucji.

W dekrete tym zwraca uwagę *dyktatorskie* brzmienie jego art. 1: „Obejmuję jako Tymczasowy Naczelnik Państwa, Najwyższą Władzę Republiki Polskiej i będę ją sprawował aż do czasu zwołania Sejmu Ustawodawczego”. Dekret ten, zgodnie z jego art. 4, kontrasygnował prezydent Ministrów – Jędrzej Moraczewski.

Konieczność szybkiego przeprowadzenia wyborów została uznana za zagadnienie pierwszorzędnej wagi. Gwoli ścisłości należy zaznaczyć, że idea Sejmu Ustawodawczego była obecna wśród polskich stronnictw politycznych co najmniej od listopada 1916 r., zyskując coraz szerszą aprobatę. Dlatego też nie można było jej bagatelizować, zwłaszcza że postulat zwołania Sejmu przynosił klasom posiadającym określone korzyści polityczne. Polegały one przede wszystkim na neutralizacji odruchów rewolucyjnych poprzez skierowanie walki o reformy społeczno-gospodarcze na drogę parlamentarną.

Również Piłsudski doceniał rolę, jaką powinno odegrać w jego planach politycznych ciało przedstawicielskie, pochodzące z wyborów powszechnych. Chodziło mu przede wszystkim o zalegalizowanie władzy w państwie. Ponadto przeprowadzenie w Polsce wyborów posiadało ważne aspekty międzynarodowe: powołanie prawomocnego systemu władz państwowych miało być koronnym świadectwem zdolności narodu polskiego do samodzielnego bytu politycznego.

Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami, Tymczasowy Naczelnik Państwa 28 listopada 1918 r. wydał dwa kolejne dekrety: o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego oraz o wyborach do Sejmu Ustawodawczego.

26 stycznia 1919 r. został wybrany Sejm Ustawodawczy. Obrady 10 lutego rozpoczął gorąco powitany Naczelnik Państwa, który w podniosłych słowach oświadczył, że od tej pory to Sejm „będzie domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem”. Po wygłoszeniu wystąpienia opuścił salę obrad. W. Komarnicki pisze, że „z dniem tym kończy się pierwsza część okresu przejściowego, władza z rąk dyktatora przeszła do przedstawicieli Narodu”⁶. Jednakże formalne złożenie urzędu Naczelnika Państwa nastąpiło dopiero 20 lutego. Piłsudski wygłosił wówczas oświadczenie, poprzez które składał swą władzę Sejmowi Ustawodawczemu, na ręce marszałka Wojciecha Trąmpczyńskiego.

Naczelnik Państwa po raz drugi

W tym samym dniu Sejm Ustawodawczy podjął *Uchwałę o powierzeniu Józefowi Piłsudskiemu urzędu Naczelnika Państwa*, zwaną w doktrynie „małą konstytucją”, ponieważ określała ona pozycje ustrojowe Sejmu oraz innych

⁶ W. Komarnicki, *Ustrój państwowy Polski współczesnej. Geneza i system*, reprint, Wydawnictwo UJ, Kraków 2006, s. 25..

organów władzy państwowej. Uchwała była dwupunktowa: w pierwszym punkcie Sejm przyjął oświadczenie J. Piłsudskiego o złożeniu urzędu Naczelnika Państwa i podziękował mu „za pełne trudów sprawowanie urzędu w służbie dla Ojczyzny”. W punkcie drugim powierzył Piłsudskiemu dalsze sprawowanie urzędu Naczelnika Państwa „aż do ustawowego uchwalenia treści konstytucji, która określi zasadniczo przepisy o organizacji naczelnych władz w Państwie Polskim”. Urząd Naczelnika ma być sprawowany na następujących zasadach:

- władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie jest Sejm Ustawodawczy, ustawy ogłasza Marszałek Sejmu z kontrasygnatą Prezydenta Ministrów (premiera) i ministra resortowego („fachowego”);
- Naczelnik Państwa jest przedstawicielem państwa i najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych;
- Naczelnik Państwa powołuje rząd w pełnym składzie w porozumieniu z Sejmem;
- Naczelnik Państwa oraz rząd są politycznie odpowiedzialni przed Sejmem za sprawowanie swego urzędu, a każdy akt państwowy Naczelnika wymaga podpisu „odnośnego” ministra.

Z postanowień tych wynika, że punkt ciężkości w wypełnianiu zadań państwowych przesunął się z urzędu Naczelnika Państwa do Sejmu Ustawodawczego. W literaturze nietrudno znaleźć opinię, że „mała konstytucja”ubożyła pozycję ustrojową Naczelnika Państwa przede wszystkim dlatego, że wyraźnie wprowadzała egzekutywę dualistyczną (Naczelnik Państwa i rząd z premierem na czele).

Wypada w tym miejscu przypomnieć, że Piłsudski równolegle nadal pełnił funkcję Naczelnego Wodza. Jego życzeniem jednakże było otrzymanie godności Pierwszego Marszałka Polski. W imieniu generalicji latem 1919 r. minister spraw wojskowych gen. Józef Leśniewski zwrócił się do Sejmu, aby izba specjalną ustawą nadała Piłsudskiemu tę godność wojskową. Wnioskowi temu jednakże sprzeciwiła się prawica (a w szczególności posłowie Klubu Ludowo-Narodowego i Klubu Narodowego Związku Robotniczego).

Wobec powyższego generalicja postanowiła tę sprawę rozwiązać inaczej. Obowiązywał już wówczas dekret Naczelnego Wodza z 18 lutego 1920 r. (na mocy którego została powołana Ogólna Komisja Weryfikacyjna) oraz ustawa z 2 sierpnia 1919 r. o ustaleniu starszeństwa i nadaniu stopni oficerskich w Wojsku Polskim. W oparciu o te podstawy prawne Komisja Weryfikacyjna na swoim pierwszym konstytuującym posiedzeniu w dniu 26 lutego 1920 r. uchwaliła jednogłośnie, przez powstanie, w dowód czci i hołdu dla Wodza Naczelnego, zwrócić się do niego o przyjęcie Najwyższej Godności Wojskowej, stopnia Pierwszego Marszałka Polski. W dniu swoich imienin – 19 marca 1920 r. – Piłsudski godność tę przyjął poprzez wydanie dekretu L.2093, który lakonicznie stwierdzał: „Stopień Pierwszego Marszałka Polski przyjmuję i zatwierdzam”. Dekret został podpisany przez niego samego, już jako Marszałka, oraz przez ministra generała Leśniewskiego.

Piłsudski objął przewodnictwo Rady Obrony Państwa, utworzonej ustawą z dnia 1 lipca 1920 r., czyli już w czasie wojny z bolszewicką Rosją.

Rada ta była organem naczelnym „w odniesieniu do wszystkich spraw, związanych z prowadzeniem i zakończeniem wojny oraz zawarciem pokoju”. Buława marszałkowska została Piłsudskiemu uroczyście wręczona na Zamku 14 listopada 1920 r.

Naczelnik Państwa pełnił urząd do czasu wyboru Prezydenta RP, dokonanego na podstawie konstytucji z 17 marca 1921 r. Akt ten nastąpił 14 grudnia 1922 r.

W materiałach źródłowych znajdziemy informacje świadczące o prawotwórczej roli Naczelnika Państwa, który w toku pełnienia tego urzędu poświęcał się nie tylko sprawom armii, będącej jego oczkiem w głowie w warunkach prowadzenia czynnej walki o polskie granice. Z równą intensywnością zajmowały go sprawy ważne dla organizacji życia społecznego i gospodarczego. Warto to stwierdzenie poprzeć kilkoma przykładami, w tym dekretemi Naczelnika Państwa:

- z 23 listopada 1918 r., którym wprowadzono ośmiogodzinny dzień pracy;
- z 3 stycznia 1919 r. – regulującym szeroki zakres uprawnień Inspekcji Pracy;
- z 11 stycznia 1919 r., którym wprowadzono obowiązkowe ubezpieczenie robotników na wypadek choroby (zapowiadano także bezpłatną pomoc lekarską oraz zasiłki chorobowe);
- z 7 lutego 1919 r., którym powołano Najwyższą Izbę Kontroli Państwa, w której gestii leżała kontrola pożytkowania finansów publicznych m.in. przez władze cywilne i wojskowe.

Ze względu na szczupłość kadr nauczycielskich dekretem Naczelnika Państwa z 7 lutego 1919 r. wprowadzono zasady kształcenia nauczycieli szkół powszechnych w Polsce; dekretem z 8 lutego 1919 r. wprowadzono w Polsce obowiązek szkolny na poziomie szkoły powszechnej. Tego samego dnia Naczelnik Państwa wydał dekret o przepisach dotyczących pracowniczych związków zawodowych.

Przytoczone tu akty prawne świadczą o przykładaniu wielkiej wagi do uregulowania kwestii pozostających tradycyjnie w polu uwagi socjalistów. ■

Terror i milczenie świata Przygody Holendra w Afryce



Joanna PASZKIEWICZ-JÄGERS

Wśród zachowanych przez Johna ugandyjskich dokumentów znajdował się obszerny wycinek z gazety, opatrzonej jego zdjęciem. Artykuł, zatytułowany *Top Position for Ugandan Resident*, był niczym streszczenie najważniejszego okresu jego życia, przypadającego na pierwszą połowę lat siedemdziesiątych. John Jägers należał wówczas – jak sam o sobie mawiał – „do górnych pięciu tysięcy” mieszkań-

ców Ugandy. Pozycję społeczną i rozpoznawalność zawdzięczał głównie własnej operatywności. Był właścicielem dobrze prosperującego biura reklamowego Marketing and Publicity Uganda Ltd. i – co też bardzo się liczyło – szczęśliwym mężem pochodzącej z arystokratycznej rodziny dziennikarki Radia Uganda i dumnym ojczymem jej czworga dzieci. Luksusowy bungalow, który wspólnie wzniesli dziewięć mil od stolicy kraju Kampali, John traktował jako miejsce na resztę życia. Ojczyście Niderlandy, nudne i przewidywalne, odwiedzał rzadko, okazjonalnie.

Nic nie zapowiadało, że wkrótce dotychczasowe życie legnie w gruzach. Początek zmian wyznaczał zamach stanu dokonany przez Idi Amina...

W Ugandzie przeżyłem cztery zamachy stanu. Pierwszy w kwietniu 1966 roku, tuż po tym jak zamieszkałem w Kampali. W wyniku tego zamachu kabaka (król) Edward Frederick Mutesa II – tradycyjny władca ludu Baganda, obrany pierwszym prezydentem po uzyskaniu niepodległości w 1962 roku, został odsunięty od władzy, a na czele kraju stanął dotychczasowy premier Milton Obote. Zgodnie z planem spiskowców, atakiem na pałac królewski miał dowodzić generał Opolot, ale kiedy odmówił, gdyż czuł się emocjonalnie związany z kabaką, Obote postawił go pod strażą, a do ataku wyznaczył utalentowanego oficera, awansowanego jeszcze przez Anglików w Brytyjskiej Armii Kolonialnej, Idi Amina.

Jadąc o siódmej rano do biura, zobaczyłem wojskowe ciężarówki zmierzające w stronę pałacu królewskiego i zawieszone nad pałacem śmigłowce. Od kolegów w biurze dowiedziałem się, że wojska rządowe zaatakowały rezydencję króla bronioną przez oddziały gwardii. Przez kilka tygodni w Ugandzie trwały groźne zamieszki. Przetrwałem je, podobnie jak grupa białych *ekspatów*, w klubie golfowym. Na klubowym kempingu nocowałem w swoim Volkswagencie Combi Camper zupełnie wygodnie.

To była pierwsza ważna lekcja i przestroga: kiedy w Afryce zauważysz, że coś groźnego zaczyna się dziać, staraj się pozostać niewidocznym.

Kolejnego zamachu stanu, 25 stycznia 1971 roku, dokonał Idi Amin, mianowany rok wcześniej dowódcą sił zbrojnych. Prezydent Obote dowiedział się o zamachu w samolocie. Wracał z Singapuru, gdzie uczestniczył w konferencji krajów Wspólnoty Brytyjskiej. Kapitan usłyszał wiadomość przez radio i dyskretnie powiadomił prezydenta. Samolot natychmiast zmienił kurs i wylądował nie na ugandyjskim lotnisku w Entebbe, lecz w Nairobi.

Zamach miał miejsce w nocy z niedzieli na poniedziałek. W sobotę po południu wypłynąłem na Jezioro Wiktorii swoim jachtem, mając na pokładzie trójkę pasażerów: moją żonę Jane, Johna Okodoi, ówczesnego sekretarza stanu oraz jego przyjaciółkę. Zauważyłem, że John Okodoi jest dziwnie niespokojny i wciąż nasłuchuje tranzystorowego radia, niczego wszakże nie komentując. Na noc przybiliśmy do jednej z wysp. O świcie, kiedy wyszedłem na pokład, zobaczyłem we wschodzącym słońcu brodzące stado żurawi koroniastych, ptaków symbolizujących Ugandę. Złocisty blask ich koron zapisał się w mojej pamięci jako jeden z najwyrazistych obrazów tej sielankowej eskapady. W drodze powrotnej do Kampali

minął nas jeden i drugi terenowy land rover wypełniony żołnierzami. Nie wzbudziło to we mnie żadnych podejrzeń. Pamiętam jedynie, że nie mogłem wysłuchać wiadomości, gdyż Radio Uganda nadawało jedynie muzykę.

Przez pierwsze dni nie wiadomo było, co właściwie się stało i kto przejął władzę. Dopiero w środę w barze w Grand Hotelu, stałym miejscu moich rozmów z klientami, spotkałem Paula Ensubirwę, ministra do spraw informacji, który był moim dobrym znajomym. „Jak się miewasz w nowej sytuacji?”, zapytałem go, w nadziei, że lepiej objaśni mi sytuację. Roześmiał się i wykrzyknął: „Rządzą wojskowi, my wypadliśmy z interesu”.

Wyszedłem na miasto. Sklepy właśnie na nowo otworzyły się. Nagle na przejściu dla pieszych zauważyłem Feliksa Onamę, ministra obrony. Oname nie odpowiedział na moje powitanie. Zauważyłem, że idzie pod eskortą żołnierza, który trzyma pistolet, widoczny przez kieszeń munduru.

Napływały sprzeczne informacje, bardziej gmatwające obraz sytuacji w kraju niż ją rozjaśniające. W piątek udałem się na błonia dawnego lotniska na wzgórzu Kololo, gdzie miał odbyć się wiec. Przed południem pojawił się otwarty wojskowy dżip. Stojący za kierownicą Idi Amin w brytyjskim mundurze polowym pozdrawiał owacyjnie witający go tłum ludzi. Dżip zatrzymywał się co kilkadziesiąt metrów, a Idi Amin, olbrzymiego wzrostu i potężnej postury, dzięki czemu otrzyma później przezwisko Big Daddy, nachylał się z samochodu w stronę witających, jowialnie uśmiechał się, ścisnął wyciągnięte ku niemu ręce i zamieniał kilka słów z uczestnikami wiecu. „Wreszcie mamy prawdziwą niepodległość!” – wołali entuzjastycznie zgromadzeni.

W mieście nie czuło się niepokoju. Przeciwnie, mieszkańcy stolicy witali zmianę władzy z radością i nadzieją. Rządy prezydenta Milтона Obote stały się koszmarem, toteż przejęcie władzy przez Idi Amina zarówno Ugandyjczycy, jak i biali rezydenci przyjęli z poczuciem ulgi i optymizmem co do przyszłości. Moja żona, pochodząca z uprzywilejowanej grupy ludności miejscowej i dobrze poinformowana dziennikarka, była pełna nadziei na nowy początek. Wierzyła w nowego, jak o nim wówczas mówiono, pierwszego prawdziwie afrykańskiego przywódcę narodu. 2 lutego 1971 roku Idi Amin ogłosił się prezydentem Ugandy, dowódcą wszystkich sił zbrojnych, szefem sztabu armii Ugandy i szefem sztabu lotnictwa, a 25 czerwca 1976 roku został prezydentem dożywotnim.

Pierwszy rok rządów nowej władzy wydawał się potwierdzać oczekiwania ludzi. Jednakże po roku zaczęły napływać pogłoski, że na północy, skąd pochodził były prezydent Milton Obote, dochodzi do zabójstw dokonywanych przez oddziały ugandyjskiego wojska, że znikają całe wioski. Północ była wszakże daleko, w stolicy sytuacja wyglądała normalnie, więc pogłoski nie budziły szczególnego zaniepokojenia. Pracowałem w biurze, spotykałem się z klientami, podpisywałem umowy... W kolejnym roku sporadycznie pojawiały się informacje, że również w innych regionach, raz w jednym, raz w drugim, znikają ludzie, zniknięcia zaczęły się mnożyć, szeptano, że za wszystko odpowiedzialna jest tajna policja Idiiego. Rząd zdecydowanie zaprzeczał, ale pogłoski nie cichły.

W trzecim roku rządów Idi Amina masowe morderstwa były już tajemnicą poliszynela. Opowiadano, że za zniknięcia odpowiada tajne policja, która uprowadza i morduje ludzi, a ich zwłoki przewożone są w nieznane miejsce.

Trochę później rozeszły się wieści, że nad ujęciem wody elektrowni w Jin-ja zatrzymują się ciężarówki pełne zwłok, że trupy wrzucane do wody płyną w kierunku Sudanu unoszone prądem Nilu i pożerane przez krokodyle. W miarę nasilania się tych pogłosek stawałem się coraz bardziej niespokojny, chociaż w biurze, w którym zatrudniałem jedenaście osób, starałem się utrzymać spokój. Życie toczyło się właściwie bez większych zmian, ale ludzie unikali przebywania w miejscach publicznych. Z drugiej strony tylko utrzymywanie kontaktów i przebywanie wśród ludzi dawało jakąś szansę na uzyskanie informacji poza oficjalnymi kanałami. Tylko w ten sposób można było dowiedzieć się, że ktoś nagle zniknął lub że doszło do kolejnego zamachu na życie prezydenta. A prób uśmiercenia Idi Amina było wiele. Do czasu wyjazdu z Ugandy w maju 1975 roku naliczyłem ich dwanaście. Tylko niebywałem szczęściu i jakiemuś szóstemu zmysłowi Idi Amin zawdzięcza, że tyle razy uszedł z nich cało.

Przykładowo, pewnego dnia prezydencka kolumna samochodów przemierzała się z lotniska Entebbe do Kampali. Kilkaset metrów przed miejscem, gdzie zamachowcy planowali zaatakować prezydenci kortez, Idi Amin nagle rozkazał się zatrzymać, przesiadł się do samochodu, który jechał za nim i polecił zajmującemu go oficerowi zająć opuszczone przez siebie miejsce. Niespełna kilometr dalej kawalkada została ostrzelana z broni automatycznej, samochód z domniemanym prezydentem podziurawiony jak rzeszoto, lecz Idi Amin, ostrzeliwując się, zdołał uratować się ucieczką.

Stałą praktyką były terror i nieustająca rotacja kadr. Typowym sposobem *rozstawiania się* Idiiego z osobami zajmującymi ważne stanowiska było zatrzymywanie ich przez tajnych agentów, wywożenie samochodem poza obręb miasta i w odizolowanym miejscu uśmiercanie strzałem z pistoletu. Ciało wrzucano do bagażnika, a następnie pozbywano się go – w dżungli, na bagnach, w wodach Nilu... Przy czym wybór ofiar nie był kwestią jakiegoś planu, lecz następował według ślepego trafu. Niekiedy przyczyną były zachcianki dyktatora. Profesor Emiru, jeden z najwybitniejszych w kraju okulistów, zginął, gdyż jego słynna z piękności żona spodobała się Idiemu. Profesora napadnięto, gdy po wyjściu ze szpitala Mulago szedł na parking. Nikt już go więcej nie zobaczył. Zniknął bez śladu mój przyjaciel i partner biznesowy. Innego z moich przyjaciół Jamese Mbwogi, dyrektora Telewizji Uganda, aresztowano na oczach wielu świadków. Pewnego wieczoru Mbwogi, pełen osobistego uroku i prowadzący rozrywkowy tryb życia, tańczył w klubie nocnym, a jego ochroniarz siedział przy barze. Agenci tajnej policji porwali go wprost z parkietu. James zdążył krzyknąć do ochroniarza „Zabierają mnie! Telefonuj!”. Kilka dni później w barze Grand Hotelu ktoś przysiadł się do mnie i powiedział: „O ile się nie mylę, jesteś przyjacielem Mbwogi. Zabrała go tajna policja. Nie żyje”.

Opowieści o krwiożerczych – dosłownie – zachowaniach marszałka i prezydenta Idi Amina uważa się niekiedy za przesadzone lub nieprawdzie. Znając realia, mogę oświadczyć, że jestem najgłębiej przekonany, że te przekazy są prawdziwe. Otoczenie Amina utrzymywało w najgłębszej tajemnicy jego postępowanie wobec szczątków ludzi, których uważał za osobistych wrogów i kazał ich zamordować. Jednemu z najwyższych oficerów Sztabu Generalnego z rozkazu Amina ścięto głowę, którą następnie prze-

chowowano w lodówce. Przez kilka dni po godzinach urzędowania Ildi ustawiał głowę przed sobą i karcąco przemawiał do niej: „Ostrzegałem cię, i to wielokrotnie, ale nie brałeś moich ostrzeżeń na serio. I widzisz, jak to się skończyło”.

Niekiedy, po zamordowaniu szczególnie ważnego politycznego przeciwnika, Ildi udawał się do szpitalnej kostnicy, otwierał zwłoki i wycinał kawałek wątroby...

Nasilanie się terrorku sprawiało, że Europejczycy, podobnie jak Ugandyjczycy, stawali się albo coraz bardziej przerażeni, albo wpadali w całkowitą apatię. Ja pogrążałem się w depresji. Znajomi i przyjaciele różnych nacji i koloru skóry przyjeżdżali do nas. Do późna w nocy przesiadywaliśmy na werandzie, dużo piliśmy. Piłem sporo i ja, i moja żona Jane. Resztek złudzeń pozbawiła nas seria zabójstw, która nastąpiła po wyrzuceniu z kraju kilkudziesięciu tysięcy Hindusów i Pakistańczyków. Ta decyzja Ildiego wywołała szok gospodarczy; załamał się między innymi przemysł cukrowniczy, który dotychczas pozostawał w rękach Azjatów. Nawet podstawowe artykuły, jak mąka czy cukier, stawały się coraz trudniejsze do zdobycia.

Gospodarczy upadek kraju spowodował krach mego biznesu wskutek spadku zamówień. W 1973 roku zwolniłem wszystkich pracowników, pozostawiając jedynie sekretarkę. Jedynym moim celem było wówczas: przetrwać! Pracę rozpoczynałem zwykle o ósmej piętnaście, ale całe dni spędzałem na mieście. Przemierzałem Kampalę wzdłuż i wszerz, aby zdobyć jakiegokolwiek zamówienie. W takim napięciu i niepewności przeżyłem w Ugandzie ostatnie dwa lata, w pełnym osamotnieniu, gdyż nikt nie miał już zaufania do nikogo. Wzrastała liczona najpierw w setkach, a potem w tysiącach liczba osób, które starały się za wszelką cenę uciec z kraju. Pamiętam małżeństwo Belgów, którzy zwolniwszy służbę uciekli, jak stali, pozostawiając całkowicie wyposażony dom, samochód, jacht ... Żyliśmy w poczuciu: budzisz się rano i nie wiesz, czy przeżyjesz dzień.

Istnieje – w chwili opublikowania prawie nieznaną, dziś klasyczna – źródłowa książka *The State of Blood*. Napisał ją na wychodźstwie w Wielkiej Brytanii Henry Kyemba, w latach 1972–1977 minister zdrowia w rządzie Ildi Amina. Doktor Kyemba zadedykował swą książkę zamordowanym przyjaciołom. Książkę otwiera lista zamordowanych, którzy pełnili funkcje publiczne. Gdy czytałem ją, stawiałem kreseczki przy nazwiskach ludzi znanych mi osobiście, niekiedy bliskich przyjaciół. Było tych kreseczek dwadzieścia dwie.

Powinienem był zginąć i ja. A poszło o dwadzieścia tysięcy dolarów... W 1974 roku poproszono mnie, abym zaopiekował się łodzią pewnego greckiego przedsiębiorcy, zacumowaną na przystani angielskiego klubu jachtowego w Kaazi. Jako członek tego klubu wyraziłem zgodę. Niedługo później musiałem wyjechać do Nairobi. Po powrocie stwierdziłem, że łódź, ówczesnej wartości dwudziestu tysięcy dolarów, została skradziona. Po pewnym czasie dowiedziałem się, że osobą, która może ma coś wspólnego z kradzieżą jest Bob Astles. Bob Astles, były brytyjski pilot i oficer kolonialny, robił wrażenie typowego angielskiego gentlemana. Chociaż wśród swoich rodaków nosił przezwisko Biały Szczur. Za czasów prezydenta Obote był organizatorem tajnej policji, a w okresie rządów Ildi Amina stał się jednym z najważniejszych jego doradców, odpowiedzialnym również za niezliczone zniknięcia bez śladu. Często publikowane teraz zdjęcie z czasów Amina

ukazuje go wśród innych Anglików, którzy klęczą przed dyktatorem na trawniku, składając mu przysięgę na wierność. Wszyscy ci, którzy wiedzieli coś o kradzieży łodzi i innych *dokonaniach* angielskiego doradcy dyktatora, znikali jeden po drugim. Inni starali się jak najszybciej uciec z Ugandy. Zdawałem sobie sprawę, że również moje dni są policzone. Zwlekałem jednak z opuszczeniem Ugandy. Przecież wszystko, co było mi drogie, było właśnie w tym kraju!

Stopniowo dojrzewałem do decyzji ucieczki. W lutym 1975 roku byłem w Kenii.

Jeden z pracowników ugandyjskiej tajnej policji ostrzegł mnie, abym nie wracał, bo – jak powiedział – „ktoś łaknie twojej krwi”. Dwa miesiące później ponownie usłyszałem to samo ostrzeżenie. Jednak zdecydowałem się na ucieczkę dopiero, gdy tajna policja ugandyjska złożyła wizytę w naszym domu i ostrzegła moją żonę Jane o grożącym mi niebezpieczeństwie. Wkrótce po tym powiadomiłem wieczorem Jane o decyzji opuszczenia Ugandy, dyskretnie spakowałem samochód i następnego dnia o czwartej nad ranem, jeszcze w ciemnościach wyruszyłem w stronę granicy z Kenią. Do przejścia granicznego Malaba dotarłem bez przeszkód. Zmroziło mnie jednak, gdy po ugandyjskiej jeszcze stronie spotkałem oficera, którego dzień wcześniej widziałem w Kampali. Czyżbym był śledzony? Czy oficer przybył, aby mnie aresztować? Opanowałem się, przysiadłem do jego stolika, piliśmy kawę, rozmawialiśmy. Usiadłem tak, abym mógł obserwować posterunek kenijskiej policji granicznej.

Gdy nadeszła obiadowa pora i kenijscy celnicy udali się na lunch, wstałem od stolika, szybko pożegnałem się z ugandyjskim oficerem, mówiąc mu „Do zobaczenia” (a w myślach dodając: oby już nigdy), wskoczyłem do samochodu i ruszyłem ku granicy. Na granicznym posterunku, w okienku kenijskiej kontroli granicznej pozostał jeden tylko pracownik. Znudzony czy niezadowolony, że to on musi dyżurować w porze lunchu, wbił do mojego paszportu kenijski stempel. Błyskawicznie wsiadłem do auta i odjechałem tak szybko, jak było to możliwe. Wieczorem byłem już w Nairobi. Gdy po kilku dniach zadzwoniłem z Nairobi do swojego biura w Kampali, sekretarka powiedziała mi, że dwa dni po moim wyjeździe pojawili się w biurze agencji tajnej policji, pytając o mnie.

Zatrzymałem się w Kenii. W marcu 1977 roku z Nairobi napisałem list do premiera Wielkiej Brytanii, aby zwrócić jego uwagę na tragiczną sytuację w Ugandzie. Otrzymałem odpowiedź. W grzecznym liście z odręcznym podpisem brytyjskiego ministra spraw zagranicznych zostałem poinformowany, że władze brytyjskie wiedzą o przypadkach łamania praw człowieka w Ugandzie i że rząd Jej Królewskiej Mości odpowiednio zareagował. Dowodem tego miał być fakt, że Idi Amin został skreślony z listy gości zaproszonych na uroczystości 25-lecia panowania królowej Elżbiety II. Minister zapewniał dodatkowo, że sytuacja w Ugandzie będzie wkrótce omawiana na jednym z posiedzeń rządu.

Zrozumiałem: świat nie chce wiedzieć, co naprawdę dzieje się w kraju rządzonym przez ludobójcę. ■

Joanna Paszkiewicz-Jägers od 35 lat mieszka i tworzy w Groningen w Holandii. Jest artystką i autorką kilku książek. Redaguje i publikuje w polskich i holenderskich czasopismach o profilu artystycznym, jest animatorką kultury.

FORUM MYŚLI NIEOBOJĘTNYCH

Wiejska 4/6/8



Opera narodowa

Jerzy PAPUGA

Nie wiem, jak Państwo w sytuacjach oficjalnych reagują, ale ja mam tak, że jak przychodzi do czegoś naprawdę podniosłego i ważnego, to wszystkie swe myśli i uwagę koncentruję niestety na osobach, które mają nas jako ogół społeczeństwa reprezentować. Mianowicie, jak są ubrane, czy nie zapomniały np. chusteczki do nosa, odpowiednio dobrały niedziurawe skarpetki do muchy bądź długość spodni do właściwego do okoliczności obuwia. Jakoś ze starych czasów została mi troska o te dziś jakże drugorzędne sprawy, a jest jeszcze gorzej – w swej trosce idę o krok dalej, martwiąc się o to, co i jak powiedzą i czy generalnie wszystko pójdzie gładko. Wynika to z tego, że sam napisałem w życiu parę przemówień i wiem, jaka to katorżnicza praca i stres, bo to, co napisane trzeba jeszcze publicznie wypowiedzieć. Wtedy jednak pisało się jeszcze przemówienia na maszynie do pisania, następnie żmudnie konsultowało z potencjalnym wygłaszającym, o słowniku poprawnej polszczyzny prof. Doroszewskiego czy rocznikach statystycznych GUS nie wspominając. Ambicją było być w zgodzie zarówno z poprawną polszczyzną, jak i stanem faktycznym, np. gospodarki. Stare dobre czasy... Dziś zaś, kiedy prezydent Donald Trump wprowadził zupełnie nowy styl i u nas zaczyna być chyba odmiennie, pisane przemówienia odchodzą niestety w niepamięć. Elita mówi po prostu z głowy, mój promotor ze studiów uniwersyteckich dodałby zapewne „czyli z niczego”, ale to już czas tak przeszły i dokonany, że aluzja właściwie jest nieczytelna. Mamy więc w elicie władzy uzus wypowiedzi od siebie, dzielenia się po trosze swoimi przeżyciami i przemyśleniami i to w stylu kumplowsko-kaznodziejskim bardziej niż profesorskim. Śmiało weszło to w obieg jako swoiste zaprzeczenie drętwej mowy, choć niekiedy to ona mogłaby się bardziej przydać, aniżeli luz i bezpretensjonalność.

Taką oto okolicznością było dla mnie uroczyste zakończenie XIX Konkursu Chopinowskiego w postaci gali w Operze Narodowej, na której stawili się wszyscy, żeby fetować zwycięzców, dziękować jurorom i powiedzieć coś od siebie. Jeśli chodzi o ubiór, to generalnie nie można mieć zastrzeżeń, zarówno prezydent, jak i marszałek odkurzyli swoje smokingi, inni zaś poczuli się do ubrania co najmniej *kościółkowego*, co w Polsce oznacza ubranie odświętne, trzymane w szafie na niedzielną mszę. Co prawda pewien popłoch mogła wzbudzić dość rozbudowana kreacja pani minister kultury,

ale ostatecznie opanowała materię, zasiadając na przygotowanym fotelu. Dziwne (a dla niektórych oburzające!) natomiast było to, że jedna ze wspnianych naszych oficjalnych małżonek, będąc oficerem WP, nie stawiała się w galowym mundurze, ale wybrała inną kreację. Cóż, można tylko żałować, bo np. przed wojną byłoby to nie do pomyślenia – gala prezydencka zobowiązywała nie tylko do odpowiednich mundurów, sznurów, szarf i lampasów, ale także kompletu orderów.

Natomiast to, co poszczególni mówcy mieli do powiedzenia, zasługuje jednak na bliższą uwagę, a nawet analizę. Dyskusję, najpierw pomiędzy moimi domownikami, a później znajomymi, wzbudziło np. uznanie Chopina za wirtuoza, co przejawiało się szczególnie w przemówieniu p. prezydenta Nawrockiego. Ja stałem (i nadal stoję...) na konserwatywnym stanowisku, że słowo „wirtuoz” odnosi się raczej do wykonawstwa i śmiało można takiego określenia używać wobec Ignacego Paderewskiego, Krystiana Zimermana czy Artura Rubinsteina. Inni zdecydowanie zapoponowali, twierdząc, że także do kompozytora nokturnów, rond, walców, polonezów i mazurków, który (jak przekaz historyczny głosi) był niezapomnianym wirtuozem swoich utworów, czego najlepiej dowodzi rola Eryka Kulma w filmie *Chopin, Chopin!*

Nie rozstrzygnęliśmy jeszcze tego sporu, a tu naprawdę pięknie przemówił niezawodny marszałek Hołownia, który poinformował zebranych w Operze Narodowej, jak Sejm w te dni czcił Chopina, a nawet jak Fryderyk uczynił postów lepszymi. Mnie szczególnie zelektryzowały dwie informacje: o tym, że konkurs był na bieżąco komentowany w prezydium Izby i nawet wicemarszałek Niedziela wygłosiła pogląd na temat poziomu wykonawczego tegorocznego konkursu i znaczenia muzyki Chopina, oraz że dyr. Zakroczymski jest zapalonym pianistą, co było znane jedynie nielicznym wtajemniczonym. A zważywszy na to, że sygnał z uroczystej gali rozpościerał się dosłownie po całym świecie, jest to znakomity dowód na medialne wyczucie marszałka, który skorzystał z okazji, jak mógł najlepiej i obznajomił miliardy ludzi, jak właściwie chopinowskie sprawy na Wiejskiej stoją. Małżyzjczycy, a przede wszystkim mieszkańcy Kraju Kwitnącej Wiśni będą mu za te informacje dożgonnie wdzięczni, podobnie jak zgromadzeni w Operze Narodowej jurorzy i laureaci. Inna sprawa, że marszałek uczynił wiele, aby muzyka Chopina wyparła w tych dniach z Izby inne utwory, preferowane niestety tylko w godzinach nocnych przez posła Meję i jego kolegów. To naprawdę trzeba docenić, co niniejszym czynię, a samo przemówienie proponuję wnieść do annałów naszego parlamentaryzmu.

Pani minister Cienkowska natomiast zabrała głos jako uczestniczka zmagających filharmonijnych, czyli z pozycji obserwacji uczestniczącej, co niejako usprawiedliwiało familiarny niemal ton wypowiedzi. Coś w tym jest, żeby w sumie mówić o sobie jako uczestniczkę większej zbiorowości, a przecież całkiem niedawno p. minister otwierała Warszawski Festiwal Filmowy i napomknęła, że jako studentka stała w długiej kolejce po karnet festiwalowy. W sumie więc zrównanie siebie do poziomu zwykłego odbiorcy sztuki i kultury wysokiej można uznać za zabieg właściwy, a nawet ujmujący i na swój sposób chwytający za serce.

Nagrody rozdano, laureaci wystąpili, choreografii wspólnego zdjęcia na zakończenie konkursu nie będą komentować, bo wszyscy zobaczyli

na własne oczy, kto z kim unikał sąsiedztwa. Mam jednak nieodparte wrażenie, oparte na lekturze wspomnień niezapomnianego Antoniego Słonimskiego, że przed wojną by to jednak trochę inaczej wyglądało. ■

Tak myślę

Demografia i populizm



Andrzej ŻOR

W wystąpieniu Donalda Tuska sumującym 2 lata rządów Koalicji 15 Października oraz w pytaniach i dyskusji o sukcesach i porażkach rządu dość często pojawiała się groźba kryzysu demograficznego, przed którym stoi świat, a najprędzej Europa, no i oczywiście Polska. Narodowa skłonność do bycia liderem, zwana w skrócie megalomanią narodową, sprawia że nawet w tej degradującej kwestii lubimy wysuwać się na czołowe miejsce. Ale tym razem sprawa wygląda poważnie.

Jakby dla potwierdzenia, że układ sił w świecie (a w tym demografia odgrywa niebagatelną rolę) zmienia się, dostałem od swojego kolegi Czesława informację ze światowych źródeł statystycznych. A te wymieniają 10 krajów, które wniosą największy wkład do ukształtowania kolejnego miliarda światowej populacji. Na razie ludność świata rośnie w tempie 80 milionów rocznie, z czasem tempo zacznie maleć. A na dzisiaj po świecie porusza się 8,2 mld ludzi. Na następny miliard złożą się przede wszystkim: Indie – 17,5 procent, Nigeria – 7,6 proc., Pakistan – 6,8 proc., Demokratyczna Republika Konga – 5,8 proc. i Etiopia – 5,3 proc. Następne kraje z tej dziesiątki – Tanzania, Bangladesz, Indonezja, Egipt – mają udział w granicach 3,3 do 2,8 proc. Zamykające dziesiątkę USA dołożą jeszcze 2,5 proc. Trzeba tylko dodać, że 1 procent w tym rachunku to 10 milionów ludzi, Indie zwiększą więc swoją populację o 175 milionów i utrzymają bez wątpienia światowy prymat.

Do niedawna dziwiłaby nieobecność Chin w tej dziesiątce, ale tam mamy od pewnego czasu do czynienia ze spadkiem populacji z powodu niskiej liczby urodzeń i starzenia się społeczeństwa. Daje znać o sobie polityka „jednego dziecka” i rodzinne preferencje dla noworodków – chłopców. Progności przewidują, że liczba ludności spadnie z 1,42 mld w roku 2022 do 1,13 mld w roku 2025, a trend spadkowy utrzyma się w tym kraju przez kolejne 50 lat. Pesymiści uważają nawet, że na przełomie XXI i XXII wieku, może trochę później, liczba ludności spadnie do około 770 mln. Poza przyczynami statystycznymi może warto zastanowić się, czy Chiny nie powtarzają scenariusza znanego z innych kontynentów: najmniej dzieci rodzi się w krajach bogatych, co wynika z przyjętej hierarchii wartości. Kolejne pokolenia pragną żyć w dobrobycie i powiększać egzystencjalny komfort, a temu przeszkadza zbyt duża liczba dzieci. Dawniej było odwrotnie, im więcej dzieci, tym większa zamożność.

Ale na razie liczba ludności w świecie będzie rosła i ten trend utrzyma się do końca obecnego wieku. Szacuje się, że jeszcze w tym stuleciu ludność

świata osiągnie 9,7 mld. Do 2100 r. będzie nadal rosnać, choć w wyraźnie wolniejszym tempie i jeszcze przed 2100 rokiem przekroczy 10 mld. Potem najprawdopodobniej zacznie spadać. Rozważania prognostów przypominają mi dywagacje kosmologów, zwłaszcza zwolenników tezy, że granice wszechświata mają swój kres i po okresie rozszerzania nastąpi proces odwrotny, wszechświat zacznie się kurczyć i będzie zmierzać do takiego zagęszczenia masy, że nastąpi jakiś kolejny Wielki Wybuch i wszystko zacznie się od początku. Kandydaci na następców Stanisława Lema już ostrzą pióra. Ale na to mamy jeszcze kilkanaście miliardów lat. Przypomina to anegdotę opowiadaną przez jednego z amerykańskich astronomów „dalekiego zasięgu”: uczestnik jego prelekcji zapytał: czy mówił pan o 5 milionach, czy o 5 miliardach lat do finalnej katastrofy? O 5 miliardach, oczywiście – odpowiedział astronom. O, to dobrze, bo przestraszyłem się, że tylko o milionach. Granice wyobraźni ludzkiej zaiste są nieodgadnione.

Prognozy demograficzne granic wyobraźni nie przekraczają, ale pobudzają do refleksji. Głównie za sprawą nierównomiernego rozłożenia tych procesów. Na razie przoduje Azja. W roku 2023 na tym kontynencie mieszkało 59,1 procent ludności świata. Obserwując z tej perspektywy Konkurs Chopinowski, nie może dziwić ponadnormatywna obecność Chińczyków wśród jego uczestników i laureatów. Znany dowcipniś Waldemar Malicki powiedział już kilka konkursów wstecz, że wśród chińskich kandydatów trzeba było przeprowadzić dodatkowe eliminacje, bo ustawienie fortepianów wszystkich chińskich uczestników, którzy spełnili wymogi kwalifikacyjne, zajęłoby odległość z Warszawy do Suwałk. Myślenie o rozwoju i koegzystencji ras, państw, religii, obyczajów i czegoś tam jeszcze w kategoriach państw europejskich, mających po kilka, kilkadziesiąt milionów ludności każde, musi prowadzić do odmiennych wniosków. Rozumowanie za pośrednictwem *dużych* i – dla odmiany – *średnich* i *małych* liczb to dwie, trzy różne ścieżki pojmowania świata. A zróżnicowanie będzie się pogłębiać. Na drugim miejscu już dziś plasuje się Afryka (18,0 procent), na kolejnym jeszcze Europa 9,3 proc. Depcze jej po piętach Ameryka Południowa i Łacińska (z Karaibami). Mają się gdzie posunąć mieszkańcy Ameryki Północnej (4,7 proc.) oraz Australii i Oceanii (0,57 proc.). Najszybciej rośnie Afryka. Przewiduje się, że prawdopodobnie w I połowie XXII w. stanie się najludniejszym kontynentem; w roku 2100 ma być tam 4,3 mld ludzi.

Choć to tylko szacunki, te dwa kontynenty Azja i Afryka zdominują strukturę ludności świata. Można przypuszczać, że zamieszkiwać je będzie 80–85 procent ludności świata. Trochę przybędzie w Ameryce Północnej. Skurczy się natomiast Europa, może także Azja (co do udziału w ogólnej strukturze). Już dziś w pierwszej dwudziestce państw Europy reprezentują tylko Niemcy na 19. miejscu z 83,3 mln ludności. I euroazjatycka Rosja, która ma niespełna 145 mln mieszkańców, ale jej mieszkańcy plasują się głównie w Europie (tam mieszkało wg danych z 2021 r. 114 mln osób), na bezkresach azjatyckiej części tego kraju (75 procent terytorium Rosji) jedynie 22 mln. Najszybciej spadać będzie liczba ludności w Niemczech, Włoszech, Polsce i europejskiej części Rosji.

Chcemy czy nie, Europa i Ameryka Północna ze swoim potencjałem cywilizacyjnym oraz azjatycka Rosja staną się – z dużym prawdopo-

bieństwem – przedmiotem ekspansji ludności z regionów dominujących demograficznie. Tzw. współczynnik przyrostu naturalnego będzie rósł najszybciej lub utrzymywał się na dotychczasowym wysokim poziomie w krajach słabo rozwiniętych, a spadał (nawet do wielkości ujemnych) w krajach o wysokim poziomie rozwoju. Ze zjawiskiem implozji demograficznej spotykamy się w krajach bogatych, jak Niemcy, Austria czy Japonia, ale też np. w krajach b. bloku wschodniego, krajach b. ZSRR i Jugosławii o różnym poziomie rozwoju. Czy nam się to podoba, czy nie, presja na zmianę miejsca zamieszkania na pustoszącą Europę pojawiła się już obecnie, a wkrótce stanimy przed problemem koegzystencji ludzi z różnych światów, o różnym poziomie wykształcenia, zamożności, rozumujących wedle różnorodnych wartości, żyjących w różniących się od siebie systemach politycznych i uznających je za swoje. Nie sądzę, że euroatlantycki model demokracji ma atrakcyjne walory dla żyjących w odmiennych systemach uczestników innych kultur mieszkańców Azji czy Afryki. Europa zdaje sobie z tego sprawę; trudno przypuszczać inaczej, wszak tu znajduje się wciąż intelektualne zaplecze (przynajmniej europocentrycy tak uważają) światowej cywilizacji. Na razie ta wiedza nie wykracza poza krótkodystansowe przedsięwzięcia, służy takim, jak choćby budowa płotu na polsko-białoruskiej granicy czy zapomnianego już muru między USA a Meksykiem, a z zamierzczłej historii słynnego chińskiego muru, który jednak przez zalewem „barbarzyńców” Chińczyków nie uchronił. Ci z zewnątrz naszych światów zawsze byli postrzegani jako barbarzyńcy. Krótkofalowe działania przynoszą pozytywne skutki, na przykład w hamowaniu rezultatów wojny hybrydowej z Rosją i Białorusią, ale przecież mają się nijak do sprostania długoletnim tendencjom, do czego nie jesteśmy przygotowani. Nie tylko my. I podobnie jak reszta Europy unikamy sprecyzowania, co z tym fantem robić, mimo że już przychodzące dziś na świat roczniki zetkną się ze skutkami tych przeobrażeń. I wyobrażamy sobie raczej „wojnę światów” niż kulturę koegzystencję.

Już dziś pojawiają się niepokojące zjawiska, które mocniej dadzą znać o sobie w średnim okresie. Zbliżamy się do pułapu chłonności środowiska: wyżywienia zwiększającej się liczby ludności (Afryka, Azja, Ameryka Południowa), zapobiegania perturbacjom klimatycznym i degradacji ekosystemów oraz konieczności zaspokojenia potrzeb rosnącej liczby mieszkańców Ziemi, w tym starzejącej się, ale zarazem coraz dłużej żyjącej części populacji. W wystąpieniach polityków trochę się o tym mówi, ale znacznie mniej robi. Skutkiem starzenia się społeczeństw będzie spadek liczby osób w wieku produkcyjnym, co stawia pod znakiem zapytania możliwość zapewnienia przyszłym, a być może i obecnym emerytom godziwych warunków egzystencji po zakończeniu pracy, a także zaspokojenia rosnących potrzeb medycznych, rehabilitacyjnych i opiekuńczych. Nie chodzi tylko o kasę. By sprostać potrzebom, powinny nastąpić zmiany w strukturze wykształcenia i rozbudowy specjalności na poziomie średnim, wyższym zawodowym i wyższym pod kątem zwiększania liczby uczących się na każdym z tych poziomów, ale także zwiększania atrakcyjności tych dziedzin (przykład nisko opłacanych i odchodzących z zawodu pielęgniarek oraz braku dopływu do tego zawodu młodych kadr jest jednym, ale nie jedynym). W warunkach deficytu budżetowego będzie to trudne.

Z dawien dawna uczeni demografowie szukali sposobów zapobieżenia negatywnym zjawiskom odwrócenia proporcji: coraz mniejsza liczba mło-

dych pracujących nie jest i nie będzie w stanie sprostać potrzebom rosnącej liczby emerytów. „Z trzech możliwych rozwiązań, a mianowicie: obniżki płac, obniżki emerytur i przedłużenia okresu aktywności zawodowej, najlepszym wydaje się podwyższenie wieku emerytalnego”¹. Autor tej teoretycznie podzielanej przez wielu opinii wskazywał jednak, że napotka to na opór pracowników, a „najczęściej podnoszonymi argumentami są: prawo do odpoczynku ludzi starszych, ich zmniejszona wydajność pracy, blokowanie miejsc pracy dla młodych, hamowanie awansu zawodowego młodym pracownikom, petryfikacja struktur zawodowych, przewagi polityczne ludzi w starszym wieku”². Ponieważ pisał te słowa przed 2010 rokiem, nie wymienił decydującego zagrożenia: populizmu. Wtedy wydawało się jeszcze, że racjonalne argumenty w rękach mądrej władzy wystarczą do podjęcia słuszných decyzji. Wskutek populistycznego wzmożenia i wykorzystania prymitywnej argumentacji PiS walczącego o władzę wycofano się z jednej z najbardziej rozsądnych decyzji ekonomicznych ostatniego piętnastolecia: podniesienia wieku emerytalnego i zrównania wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn.

Podjęcie tej decyzji złagodziłoby problem zastępowalności pokoleniowej, a właściwie niemożności spełnienia wymogu posiadania przez dwoje rodziców przynajmniej 2,1 dzieci. W Polsce wskaźnik ten wyniósł w 2024 roku nie 2,1 lecz 1,09, co jest sygnałem alarmującym. Można pocieszać się, że to nie tylko nasz problem, bo we Francji na przykład prezydent Macron utracił popularność i prawdopodobnie władzę wskutek uporu, z jakim lansował podwyższenie wieku emerytalnego. W Polsce okazało się, że próby z gatunku *zamiast* – a więc 500+ (dziś już 800+) zamiast podwyższenia wieku emerytalnego, z trudem przeforsowane *in vitro* i tym podobne działania przyniosły pewne skutki, ale zastępowalności nie poprawiły. Decyzja o rezygnacji z podwyższenia wieku emerytalnego obciążała i nadal obciąża nie tylko autorów walki o utrzymanie status quo (PiS, związki zawodowe), lecz także tzw. obóz demokratyczny, który w rywalizacji przedwyborczej (i tak przegranej w 2015 r.) uległ populistycznej, nastawionej na sukces wyborczy propagandzie. „O ile [...] w 1960 r. żyło w naszym kraju 7 mln dzieci w wieku do 10. roku życia i tylko 200 tys. osób powyżej 80. roku życia, to w 2060 r. dzieci będzie zaledwie 2 mln, a osób powyżej 80. roku życia 4 mln”³. Wobec oporu co do podwyższenia wieku emerytalnego w grę wchodzi więc przewidywane przez Ochockiego: obniżanie płac albo obniżanie emerytur. Politycy nie wypowiadają się w tych kwestiach; wybory parlamentarne już za dwa lata. Można się spodziewać gorączkowego poszukiwania dróg wyjścia dopiero przy krachu budżetowym. Polak – jak wiadomo – mądry po szkodziu.

Przy tak zarysowanych proporcjach strukturalnych w grę wejdzie nie tylko konieczność finansowego utrzymania emerytów przez malejącą liczbę pracujących, to da się załatwić podwyższeniem składki, ale także zapewnienia usług opiekuńczych i medycznych w niespotykanej dotąd

¹ Andrzej Ochocki, *Ludność świata. Powinność i kapitał*, Wydawnictwo Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, Warszawa 2010, s.104.

² Ibidem.

³ Adam Gwiazda, *Problemy demograficzne Polski. Świat ludzi i polityki*, <https://articles.2195.cesjsh.icm.edu.pl>.

skali, co jest przedsięwzięciem znacznie trudniejszym, wymaga bowiem działań wielorakich o zróżnicowanym charakterze. Mimo rozbudowy form opieki państwa nad osobami starszymi: zasiłki pielęgnacyjne, usługi opiekuńcze świadczone przez Miejskie Ośrodki Pomocy Społecznej (MOPS), programy w rodzaju „Opieka 75+”, bezpłatne świadczenia (komunikacja, w części bezpłatne leki, abonament radiowo-telewizyjny), środki te nie rozwiązują problemu. Rosnąć będą przede wszystkim potrzeby zapewnienia miejsc w domach pomocy społecznej, mówiąc wprost w *domach starców*, i godziwej nad nimi opieki. Dziś są one oferowane w postaci częściowo pokrywanej z indywidualnej emerytury i dofinansowanej ze środków publicznych; częściowo są świadczone komercyjnie. Te dofinansowywane są trudno dostępne. Koszt komercyjnej usługi tego typu w domach warszawskich lub pobliskich wynosi ca. 10–12 tys. złotych miesięcznie, co dla większości emerytów jest wielkością abstrakcyjną. Ceny w prowincjonalnych ośrodkach kształtują się w granicach 6–8 tys. zł. Też wysoko. A to tylko wycinek problemu, bo wydłużenie życia to także wzrost zakresu i kosztów usług w ochronie zdrowia, a te – jak wiadomo – nie mają granic.

Środkiem zaradczym na dysproporcje między malejącą liczbą pracujących a liczbą beneficjentów usług społecznych mogłoby stać się skorzystanie z usług imigrantów. Ich napływ i presja, zwłaszcza z ubogiej, przeludnionej i trudnej klimatycznie Afryki, w części także z ubogiej części Azji, będzie rosnać. Tu otwiera się kolejna karta sprzeciwu politycznego i podsycanego przez polityków sprzeciwu społecznego co do zwiększającego się napływu imigrantów. Z największym protestem spotykają się imigranci z krajów muzułmańskich i imigranci o innym kolorze skóry, ogólnie nazywani *ciapatymi* oraz (o dziwo, wobec niedawnej sympatii okazywanej dotkniętym wojną) obywatele Ukrainy. Obecnie w Polsce przebywa około 2,5 mln cudzoziemców z zamiarem długoterminowego pobytu w naszym kraju. Zapewne z powodu tych protestów dokument definiujący polską politykę migracyjną nosi tytuł *Odzyskać kontrolę, zapewnić bezpieczeństwo. Kompleksowa i odpowiedzialna strategia migracyjna Polski na lata 2025–2030*. Można przyjąć, że na większość problemów, jakie pojawiać się będą w długim dystansie czasowym, ten dokument z założenia nie odpowiada. Zjawiska demograficzne mają długoletni horyzont i wymagają działań wyprzedzających podejmowanych z dużym wyprzedzeniem. Strategia na pięć lat nie jest żadnym dokumentem strategicznym, niezależnie od słuszności niektórych sformułowań szczegółowych. Liczba i natężenie tych problemów będzie bowiem narastać wskutek nasilenia się negatywnych w skutkach tendencji dotyczących wielkości i struktury populacji. Sam dokument ma przede wszystkim na celu ochronę obywateli polskich, żyjących w naszym kręgu kulturowym. Z 10 celów strategicznych aż 5 ma charakter defensywny: nie można zwiększać poczucia niepewności w codziennym życiu mieszkańców Polski; określanie zasad dostępu do terytorium Polski jest w gestii naszego rządu; ochrona granicy i zapobieganie nielegalnej imigracji są priorytetem państwa; Rząd będzie domagał się zmiany obowiązujących zasad pod kątem bezpieczeństwa państwa i obywateli; wydawanie wiz studenckich ma zostać uszczelnione. Dwa z nich mówią o integracji imigrantów z polską społecznością, o zdobyciu umiejętności językowych oraz respektowaniu polskich norm kulturowych i obyczajowych⁴. Jeden mówi

⁴ Z powodu utożsamiania przynależności narodowej z wyznawaną religią i oby-

o polityce wobec Polonii i ma na celu odnowienie kontaktów z „macierzą” (m.in. poprzez język). Tylko dwa: polityka migracyjna ma sprzyjać konkurencyjności polskiej gospodarki i uzupełnianiu zawodów „deficytowych”; polityka migracyjna nie może być instrumentem hamującym modernizację gospodarki. Nie można ich – oczywiście – negocjować. Ale dokument tego typu powinien odpowiadać na pytanie, czy przy pomocy imigrantów da się załatać powstałe i przyszłe luki demograficzne. Odnoszę wrażenie, że przyjęta przez rząd strategia jest raczej reakcją na działania środowisk prawicowych, których uosobieniem są indywidua w rodzaju Bąkiewicza, manipulowane przez polityków, których jedynym celem jest odzyskanie władzy, nieważne jaką cenę zapłaci za to odzyskanie społeczeństwo i gospodarka. Skutki gospodarcze takich decyzji są łatwe do przewidzenia. Równie łatwo można wyobrazić sobie konflikt kulturowy w przypadku nazbyt energicznego narzucania norm obyczajowych obcym społecznościom napływowym. Kogo i skąd chcemy pozyskać? Czy będziemy prowadzić w tym celu politykę aktywną, czy tylko reagować na fakty i zjawiska zastane, będące pochodną presji migracyjnej?

Nad tymi dywagacjami góruje pytanie: czy prowadzona polityka państwa jest poszukiwaniem rozwiązań dla sprostania oczekiwaniom i poglądom większości nawet wówczas, gdy z prowadzonych analiz i ekspertyz wynikają całkiem odmienne wnioski? Czy zasklepieni w przyjętym rozumieniu demokracji, szermujący pojęciem woli większości (która często staje się tyranią większości), nie podejmujemy decyzji akceptujących i korygujących w zależności od badań opinii publicznej i spodziewanej reakcji wyborców? I czy demokracja mająca wciąż pozytywną konotację nie przeradza się w ten sposób w szkodliwy populizm? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że decyzja o kontrolach granicznych z Niemcami i Litwą została wprowadzona pod presją takich właśnie grup. A decyzje mają być mądre i przynosić korzystne efekty, nie zaś podobać się większości. Polityka nie jest konkursem piękności, mimo że wielu tego by pragnęło. ■

czajami nie udało się w XIX wieku doprowadzić do asymilacji, a nawet do akulturacji społeczności żydowskiej. Podobnie silny jest związek z religią muzułmańską i zasadami zachowania się. Spór o chusty dla kobiet i dziewcząt we Francji jest tego świetnym przykładem.

Marginesy

O Janie Drzeżdżonie wspomnienie sprzed lat...



Janusz TERMER

Po raz pierwszy zetknąłem się z prozą tego pisarza, kiedy to dostałem – w latach 70. ubiegłego wieku! – do recenzji tzw. wewnętrznej, czyli wydawniczej (bywa, że dzisiejsi prywatni edytorzy ze względów oszczędno-

ściowych nie zwracają sobie tym głowy, podobnie jak i częstokroć solidną redakcją!) maszynopis jego debiutanckich opowiadań *Upiory*. Zaskakująco odbiegających od ówczesnej normy młodoliterackiej – i wszelkiej innej zresztą też. Formalnie i znaczeniowo niesłychanie złożonych, przywołujących światy niezwykle. Bliskie poszukiwaniom pisarzy latynoskich z kręgu realizmu magicznego, literackiej poetyce nowej, stającej się wtedy modnym wzorem i nawet manierą, gdy rosły w siłę wpływy i sława takich pisarzy, jak Jorge Luis Borges, Juan Rulfo, Julio Cortazar, Manuel Puig, José Donoso, Gabriel Garcia Marquez – liderów *boomu* na tę literaturę. Opowiadania Drzeżdżona miały już kilka negatywnych recenzji wydawniczych, a sprawa ich publikacji wisiała na włosku. Rzeczywiście nie była to lektura łatwa w odbiorze, bo wówczas jeszcze jawiła się w aurze poetyki niezbyt jeszcze oswojonej, czytelnikowi przyjaznej i wymagającej życzliwej uwagi, zrozumienia i współpracy! Moja bardzo zachęcająca do publikacji recenzja też nie za bardzo im chyba pomogła, ale ukazały się jednak rok później, w innym wydawnictwie. Skontaktowałem się od razu z ich autorem, o którym nie wiedziałem nic, i poprosiłem o zgodę na publikację na łamach miesięcznika literackiego młodych „Nowy Wyraz”. Była zgoda i była publikacja w tym piśmie, którego od paru miesięcy dopiero byłem redaktorem naczelnym. Był to też i jego debiut literacki (jeśli nie liczyć publikacji opowiadań i szkiców pisanych po kaszubsku, jak przystało na autentycznego Kaszuba z dziada pradziada!). Wkrótce potem poznaliśmy się osobiście w domu pracy twórczej „Astoria” w Zakopanem.

Postanowiliśmy wybrać się pewnego pięknego poranka na wspólną wędrowkę górską, gdzieś w okolicy Morskiego Oka... Autobusy zakopiańskie chodziły wtedy rzadko – i niezbyt chętnie – więc trzeba było uruchomić mojego wysłużonego malucha. Na wieść o tym zabrał się z nami inny pisarz z Wybrzeża: Gdańszczanin Zbigniew Żakiewicz, wdzięczny za, jak mówił, „wnikliwą”, przed paru laty napisaną recenzję jego debiutanckich opowiadań, *Chłopiec o lisiej twarzy* i *Liście*, drukowanych w „Twórczości”. Pochodził z przedwojennego zaścianka białorusko-litewskich kresów z okolic Mołodeczna, ale się na powojennym Wybrzeżu znakomicie zaadaptował (patrz tom jego szkiców i wspomnień *Gorycz i sól morza. Gdańskie Smorgonie*, wyd. w 2000 r.).

Pomknęliśmy chyżo, co sił w koniach Fiata 126p, drogą przez Bystre, Zazadnię i Łysą Polanę w stronę parkingu na Polanie Białczańskiej, gdzie przesiedliśmy się do PKS-u dojeżdżającego do Włosienicy, a dalej już szosą asfaltową (tu na jednym z zakrętów zginął w wypadku samochodowym poeta Julian Ejsmond w 1930 r.), zamkniętą w latach 70. dla samochodów osobowych. Podrąlowaliśmy jakieś półtora kilometra *per pedes* do schroniska nad tym legendarnym górskim jeziorem. Owianym, jak wiadomo, wieloma fantastycznymi opowieściami, mającym nawet, według starej góralskiej legendy, swoje tajemnicze podziemne połączenie z morzem – Adriatykiem, a fale wyrzucały ponoć nawet szczątki zatopionych okrętów, a w głębinach Morskiego Oka miały żyć wielkie morskie ryby! Co obu panów, mieszkańców nadmorskiego wybrzeża, mocno zaintrygowało... Może i nawet bardziej niż piękne widoki zielonego jeziora obramowanego jak zawsze przy słonecznej pogodzie tak zwaną – już wtedy! – stonką turystyczną. I znanych z widokówek tatrzańskich szczytów o nadzwyczaj przepysznych, intrygujących imionach: od Żabiego Konia poprzez Kazalnicę czy Miękusowieckie

po Cubrynę i Żabiego Mnicha, w których kryją się zarówno „głębokie studnie przeszłości”, otchłanie historii i dziejów staropolszczyzny, niezbadane zasoby ludowej, góralskiej wyobraźni, jak i specyficznego poczucia humoru – i kto tam wie jeszcze czego...

Po krótkim odpoczynku (i małym żywieckim na tarasie schroniskowym), mieliśmy pójść przez Świstówkę do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Zbyszek Ż. jednak oznajmił, tonem stanowczym i zamykającym wszelką dyskusję, że on owszem, poczeka tu na nas łaskawie, ale nie ma zamiaru nigdzie dalej chodzić, bo jest co nieco podmęczony i w ogóle to tutaj mu całkiem dobrze. My zaś z Jankiem D., mimo owych, wcale nie tak łatwych do odrzucenia w czasie upalnego dnia w górach, leniwie ponętnych i chłodnych pokus, poszliśmy dalej, wspinając się coraz bardziej z czasem mozolnie, tą coraz z każdym krokiem trudniejszą, kapryśnie i meandrycznie wijącą się pośród skałek i bujnych kosówek, kamienistą i wyboistą percią pod górę (mógłby powstać z tego mały, filmowy wręcz symboliczny obrazek, topos odwiecznej wędrówki i trudów żywota ludzkiego!). Ale zmieniliśmy plany. Zamiast schodzić ze Świstówki do połyskujących w słońcu „srebrzystą falą” stawów, wyłaniających się co i rusz zza kolejnego zakrętu i skalnego załomu dróżki owianej wrzesniowymi żywicznymi zapachami iglaków oraz jesiennym „kwieciami rozmaitym”, zgodnie – i nader optymistycznie – postanowiliśmy nieco jeszcze nadłożyć drogi i przejść do Doliny Pięciu Stawów inną, dalszą nieco ścieżyną, wypatrzoną w znakomitym skądinąd przewodniku Józefa Nyki (sporo w nim odwołań literackich), czyli szlakiem prowadzącym tam przez Szpiglasową Przełęcz. Takie widoki – i takie nazwy – to było coś dla nas mieszcuchów, nie mówiąc już o współtowarzyszu mozolnej wędrówki, mieszkańcu nadmorskiego Władysławowa... Szliśmy więc uparcie i podziwialiśmy „zapierające dech w piersiach skaliste widoki”. Nie przestraszyla nas nawet, też wyczytana u Nyki, informacja, że „zejście z Przełęczy Szpiglasowej na północ jest nieprzyjemne: krucha skała, umiarkowane trudności, częste oblodzenia lub niebezpieczny śnieg. Aliści, jakby powiedział Jerzy Waldorf, potwierdziło się po raz kolejny znane w górach porzekadło, że pogoda w Tatrach bywa zmienna jak kobieta. Nagle bowiem wyłoniły się, nie wiedzieć skąd, białe i szarobure chmury, a słońce zaczynało co chwila przygasać; a i stawy połyskujące w Dolinie Pięciu Stawów gdzieś się nagle pochowały... Postanowiliśmy więc, po krótkiej naradzie i łyku herbaty z termosu, znowu zmienić plany i wracać tą samą, czyli bliższą drogą – w dół od razu do Morskiego Oka...

Zbyszek Ż. był już tam na swoim posterunku, zadowolony po epiku-rejsku i szczęśliwy nie tylko dlatego, że smakował mu wyjątkowo tutaj, jak wyznał, napój chmielowy, ale i jak podejrzewam dlatego, że nas ujrzał wkraczających na taras schroniska Morskiego Oka całych, zdrowych, a i w niezłej formie, więc z realną perspektywą powrotu, chociaż chętnie by tu jeszcze z nami posiedział (a może to wtedy obmyślał owe „górskie” fragmenty z paru swoich późniejszych powieści?). Czas jednak najwyższy był na odwrót, bo zaczął wiać ciepły, łagodny początkowo, porywczy coraz bardziej wiaterek – zapowiedź niechybna halnego... W lasach, a zwłaszcza na odkrytych terenach, i potem już do samego miasta, duło całkiem zdrowo; maluch sprawował się jednak nadzwyczaj

dzielnie. Chociaż na szosie od Łysej Polany i Wierchu Porońca (tu Henryk Sienkiewicz miał brać udział w polowaniu na niedźwiedzia!) i od wysokości Toporowej Cyrhli, na znacznie już mniej osłoniętej górami przestrzeni, aż po zakopiańską Jaszczurówkę, przydrożne smreki zaczynały już nie na żarty wycinać wzdłuż drogi te swoje po-wietrzne „góralskie tańce” i inne groźne hołubce...

Nie chcę jednak przez te wspominki powiedzieć, ani dać do zrozumienia, że te nasze wspólne wędrówki z Jankiem D. po tatrzańskich wertepach, „chmurach i górach”, w jakiś tam sposób wpłynęły na kształt jego literackiej wyobraźni i odcisnęły swoje wyraziste piętno w jego prozie. Nie byłaby to całkowita prawda, bo był on przecież już wcześniej życiowo i artystycznie ukształtowany, a „zaprogramowany” został przez zupełnie inne realia i odmiennie codzienne warunki życia oraz duchowe kaszubskie i nadmorskie imaginarium... Bo jako dziecko, syn – było nie było – kaszubskiego kowala, uformowany w naturalny sposób został artystycznie przez tamtejszy świat przyrody leśnej i rybacko-morskiej, odmienny – mimo wszystkich pokrewieństw z polszczyzną (w tym i góralszczyzną) – język oraz kształtowaną przez wieki oryginalną kulturę rodzimego ludu, jak też i – dodać wypada – poprzez późniejsze rozliczne, bardzo późne lektury literatury pięknej i eseistyki polskiej oraz europejskiej (notabene sam widziałem kiedyś Janka D. siedzącego na tarasie zakopiańskiej „Astorii” czytającego Heideggera – po niemiecku!). Wydaje się, że cała proza Drzeżdżona powstawała w efekcie tego wewnętrznego napięcia, podejmowanych ciągle na nowo prób łączenia tych różnorodnych elementów w spójną narracyjną całość.

Drzeżdżon jest autorem kilkunastu zbiorów opowiadań i powieści, z których tylko część znalazła jak dotąd życzliwych wydawców. Prozy odwołującej się nie wprost do realiów rzeczywistości określonego czasu i miejsca, ile do „realiów” świata wewnętrznego osobowości autorskiej i jego ludowych bohaterów, najczęściej poprzez baśniowo-poetyckie, oniryczne, symboliczne i metaforycznej natury elementy, z wykorzystywaniem groteski, głębszej ironii i szczególnego rodzaju fantasmagorii, o całkiem jednakże realistycznym podkładzie w swej ogólnej wymowie i kulturowych kontekstach. Dobrym wprowadzeniem w świat wyobraźni i znaczeń prozy Drzeżdżona jest też jego „powieść-niepowieść” *Leśna Dąbrowa*, której wydarzenia i realia sytuuje autor w na poły odrealnionej historycznie i społecznie, na poły arkadyjskiej i sielankowej rzeczywistości, pełnej jednak podskórnie czającego się okrucieństwa. Tak w ludziach, mieszkańcach wsi, jak i w samej gęszy śródleśnej (np. wplatanie w narrację różne przypowieści, jak *Studnia z cudowną wodą*). Tutejszy nauczyciel, rodzaj alter ego autora, bierze udział w życiu i pracach mieszkańców wioski; uczestniczy w czynnościach zwyczajnych i rytualnych: pieczenie chleba, strzyżenie owiec, a na koniec w ścinianiu drzewa starej jabłoni, z której wyrabia się wielką kołyskę dla dzikich gęsi. Powstaje, jak pisał Henryk Bereza, *sensowno-bezsensowna akcja i sensowno-bezsensowna fabuła powieści o społeczności Leśnej Dąbrowy... Bez-sens, skoro istnieje, musi mieć dostęp do języka, w języku trzeba go uchwycić i w języku zdemaskować*.

Najobszerniejszym i najbardziej bodaj typowym przykładem pisarstwa Drzeżdżona jest powieść *Karamoro*, złożona z trzech części: *Maria*, *Kukły* i *Strachy*. *Karamoro* to miasteczko leżące gdzieś nad pięknym bajkowym je-

ziorem pod lodową skałą. Jest to, jak pisał Piotr Kuncewicz, „miasteczko widmowe, choć złożone z elementów realistycznych, budowane w stylu scenerii kafkowskiej. Poszczególne sceny i sytuacje przypominają niemal zwyczajne obyczajowe obrazki. W sumie jednak jest to miasteczko marionetek, które kultywują szczególne, często krwawe rytuały. Ginie rzeźbiarz i malarz Mikołaj, bohater części ostatniej. Krwawe ofiary są konieczne dla utrzymania istnienia miasteczka. Wszystko naprawdę jest widmowe, bardziej ze snu niż jawy... Przesłanie może nie zawsze jest w pełni czytelne, ale wizja jest imponująca”. Senne wizje, owe *wewnętrzne ogrody* wyobraźni, otwierają zdaniem pisarza (wzorem są tu zapewne zarówno surrealiści, jak i psychoanalitycy) drogę do poznawania prawdziwej i niezafałszowanej cywilizacyjnie ludzkiej natury, a przynajmniej otwierają nową perspektywę spojrzenia na świat. A całe pisarstwo Drzeżdżona porównywane jest dzisiaj często – i nie bez racji – z wieloma utworami prozy światowej i rodzimej (Franz Kafka, twórcy latynoskiego realizmu magicznego, Bruno Schulz, Stanisław Vincenz, Wilhelm Mach, Stanisław Zieliński czy Kazimierz Truchanowski...). Jan Drzeżdżon tworzy jednakże światy własne i odrębne, wyobraźniowo bardzo bujne i potężne w nie tylko skali wizyjności, odwołujące się do wieloimiennych, filozoficznych i artystycznych, estetycznych tradycji – pytań o naturę świata i człowieka, a przede wszystkim chrześcijańskiej teodycei o naturę zła istniejącego w świecie ludzkim (*unde malum?*). Autor nawiązuje do dramatycznych kwestii mrocznych teorii egzystencjalnych; pesymistycznego widzenia życia człowieka, problemów i odniesień międzyludzkich, kulturowo-społecznych i moralnych relacji jednostki z innymi ludźmi (Søren Kierkegaard, Martin Heidegger, Jean-Paul Sartre, teoretycy postmodernizmu).

Z wieloma z tych koncepcji wdaje się Drzeżdżon w polemiki i spory – ukryte w lirycznych obrazach, przypowieściach, wspomnieniach i rozmyślaniach bohaterów o świecie i Bogu, przyrodzie czy istocie sztuki (*Twarz Boga, Twarz lodowca, Złoty pałacyk*), zawsze pełne swoistego autentycznego podskórnego napięcia i egzystencjalnego dramatyizmu.

To jednak, że ów górski bakcył połknięty przez Jana Drzeżdżona był czymś trwale zakorzenionym w jego wyobraźni i musiał mieć jakiś wpływ na obrazowy świat realiów tak bardzo oryginalnego kształtu jego prozy, zwłaszcza tej z późniejszego, ostatniego okresu życia (*Twarz lodowca*), nie ulega dla mnie wątpliwości. Pamiętam też, jak we wspominatej „Astorii” byliśmy świadkami takiej oto znamiennej sceny: siedzimy sobie pewnego razu w zacisznym wnętrzu, oczekując na posiłek, bo za oknami deszczowa plucha i wiatr, rozmawiamy o tym i owym leniwie, ciesząc się, że „nie trzeba nigdzie wychodzić na zewnątrz. Jesteśmy usprawiedliwieni przez pogodę, nie musimy chodzić w góry” – z właściwym dla siebie poczuciem ironicznego humoru powiedziała siedząca wtedy z nami przy wspólnym stole, przyszła Noblistka – Wisława Szymborska, gdy tu nagle widzimy wracającego z przedpołudniowej wycieczki w góry, wkraczającego do jadalni, w całkiem przemoczonym ubraniu, zagadkowo uśmiechniętego... Janka Drzeżdżona. ■

Tajemnice istnień poszczególnych

Adam KOMOROWSKI



Biografie nie były mocną stroną literatury polskiej. Żywoty świętych, od średniowiecza, były przekładami. Jak w całej Europie, w szkołach średnich czytano *Żywoty równoległe* Plutarcha i uczono się na pamięć życiorysów panujących, ale to byli zaborcy. Biografie miały dostarczać wzorców (u Plutarcha niekiedy negatywnych), służyć edukacji religijnej i legitymizmowi.

W Anglii w 1791 r. James Boswell wydał *The Life of Samuel Johnson*, pierwszą nowoczesną biografię, której bohater nie miał być wzorem, nie był świętym, królem czy dowódcą wojskowym, ale człowiekiem z krwi i kości, którego wady, idiosynkrazje i dziwactwa podkreślały niezwykłość jego intelektu. Powodzenie dzieła Boswella sprawiło, że biografie stały się wyróżnikiem literatury angielskiej i tak jest do dziś. Nie jest przypadkiem, że większość biografii przekładanych na język polski jest z angielskiego.

W okresie zaborów nieliczne biografie, które powstały na emigracji czy w Galicji, miały dostarczać patriotycznych i wzniosłych moralnie wzorców. Boy nazwie to brązownictwem. W rzeczywistości polegało to na pomijaniu uwikłań bohaterów biografii w codzienność i jej przyziemne problemy. Rewolucja, którą dokonał Boswell, polegała na tym, że jego Johnson przestał być osobą, której jedynymi troskami były zbawienie, ojczyzna, literatura, sztuka, sława czy piękno.

G.W.F. Hegel w tej perspektywie dostrzegł tzw. postawę kamerdynerską, chęć pomniejszenia dokonań jednostki. Nie da się zaprzeczyć, że wśród biografów tacy się zdarzają. Przykład pierwszy z brzegu to *Kapuściński non fiction* Artura Domosławskiego. Ale zdecydowana większość czytelników nie sięga po biografie, by delektować się nieunormowanym życiem erotycznym ich bohaterów, konfliktami z bliskimi czy oportunistycznymi gestami wobec władzy. Czytamy biografie, ponieważ fascynuje nas, jak to się stało, że ich bohaterom udało się czegoś dokonać na przekór temu, co trudno określić inaczej jak *upierdliwości codzienności*, wszystkiemu czym chętnie usprawiedliwiamy własne zaniechania.

Wysyp biografii i powodzenie u czytelników, którego jesteśmy świadkami w Polsce od końca XX wieku, sprawia, że Polacy bez ograniczeń cenzury (zmory biografów w PRL) poznają życie osób publicznych, polityków, celebrytów i twórców, których często znali, byli ich mistrzami czy sąsiadami. W Europie Zachodniej wszyscy do tego nawykli.

Oczywiście wśród lawiny biografii jest wiele kiepskich i powierzchownych, ale są takie dzieła jak: Zbigniewa Najdera – biografia J. Conrada, Andrzeja Mencwela – biografia S. Brzozowskiego, Zbigniewa Osińskiego – biografia J. Grotowskiego, Henryka Głębockiego – biografia A. Gurowskiego, Radosława Kuliniaka i Mariusza Pandury – biografia R. Ingardena,

Klementyny Suchanow – biografia W. Gombrowicza, Dariusza Rosiaka – biografia A. Krąpca, Janusza Deglera – biografia Witkacego. Ostatnio do tej (zapewne subiektywnej) listy należałoby dopisać biografie autorstwa Anny Waclawik i Marii Ciesielskiej – L. Flecka i Beaty Guczalskiej – K. Swinarskiego.

Konstelacja nazwisk bohaterów tych biografii to klucz do zrozumienia, dlaczego chętnie wydawcy je wydają, a my czytamy. Otóż biografie pozwalają nam odetchnąć od nachalnej polityki historycznej narzucającej wizję zunifikowanej, homogenicznej polskości, która postawiona na baczność nie mogłaby nie tylko klęknąć, ale przysiąść i pomyśleć. ■



Andrzej Fogtt, *Ręka stara jak świat*, 1973. Rzeźba z sizalu na stalowej konstrukcji wys. 3,5 m. Fot. ze zbiorów artysty

OPOWIADANIE



Wspólnota

Aldona REICH

„pod siódemką”

Cisza na korytarzu była wręcz niewiarygodna. Po tym całym zamieszaniu, załatwianiu formalności, pakowaniu i mozolnym układaniu w torbie tego wszystkiego, co do niedawna stanowiło cały świat Piotra, Ola nagle stanęła. Stała się niewidzialna, zlewająca się z kolorem ścian. Nikt już do niej nie podchodził, o nic nie pytał, nie proponował pomocy. Była już tylko częścią szpitalnej statystyki, z którą połączyła ją śmierć Piotra.

Ołów w nogach był potwornie ciężki. A ona musiała już wstać i wreszcie stąd wyjść. Siedziała na szpitalnej ławeczce, która dawała jej teraz jedyne oparcie, namiastkę poczucia łączności z otaczającym światem. Spróbowała wstać i szybko ponownie usiadła. Dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest słaba: nie jadła od dwóch dni, była niewyspana, ogłupiała od tysiąca pytań i rubryk, które musiała wypełniać, kiedy oni ładowali ciało Piotra, jak kłęb brudnej bielizny, do wielkiego worka.

W kieszeni płaszcza wyczuła smartfon. Przeciągnęła palcem po ekranie i chwilę wpatrywała się w listę kontaktów, usilnie próbując znaleźć numer do korporacji taxi. Kiedy odezwała się dyspozytorka, Ola miała w gardle tak wielką gulę, że nie była w stanie wymówić słowa. Ktoś nagle podszedł, delikatnie wyjął jej aparat z ręki i wprawnie zamówił taksówkę, dokładnie tłumacząc, gdzie ma podjechać. Ola jak przez mgłę kojarzyła tego młodego stażystę, który w ostatniej chwili przyprowadził księdza. Chłopak bez słowa oddał jej telefon, mocno chwycił torbę, ujął Olę pod ramię i skierował ją do wyjścia. Wyszli przed szpital i razem poczekali na taksówkę. Stażysta usadził Olę w samochodzie, zapakował torbę do bagażnika i podał adres (skąd on to wiedział?). Ola nie wydusiła z siebie nawet słowa „dziękuję”, ale jej wzrok wyraził wszystko. Chłopak na pożegnanie ucisnął jej rękę i szepnął:

– Będzie dobrze. Jeszcze tylko trochę wysiłku i będzie dobrze... Niech się pani wyśpi. Do widzenia. – Zatrzęsnął drzwiami, a po chwili zniknął za mijanym przez taksówkę zakrętem.

Ola nawet nie czuła, że płacze. Wszystko działa się poza nią.



Po powrocie do mieszkania Ola od razu weszła do łazienki i spojrzała na półkę pod lustrem. Z pojemnika wyciągnęła Piotra szczoteczkę do zębów

i chwilę przyglądała się jej z namysłem. A potem szybkim, zdecydowanym ruchem wyrzuciła ją do śmietnika. Trzask spadającej klapy pojemnika bezpowrotnie zamknął jakiś etap.

Kobieta skierowała się do sypialni, a tam, w mokrym od topniejącego śniegu płaszczu i ubłoconych butach, położyła się łóżka. Podkurczyła nogi i niedbale przykryła się kołdrą. Zapadła się w ciemną, duszną i przezrazliwie ciasną studnię.



Powoli rozpakowywała torbę z rzeczami Piotra, którą wczoraj rzuciła w kąt. Mdlący zapach śmierci błyskawicznie wypełnił pokój. Piżama, ręczniki, przybory toaletowe, które stały się bezużyteczne już na kilka dni przed odejściem Piotra. Myła go tylko wilgotną myjką, bardzo starając się, aby jego udręczone ciało nie czuło nawet dotyku. Leżał na wpół świadomy, dosłownie na minuty odzyskując przytomność, ale chyba nawet wtedy nie wiedział, co się dookoła niego dzieje.

Przejrzała zawartość kosmetyczki: obrączka i zegarek, zawinięte w chusteczkę; jej zdjęcie – to z ostatnich czasów – jeszcze z długimi włosami. Przypomniała sobie, jak bardzo Piotr rozpacział na widok jej krótkiej fryzurki. Nawet nie chciała mu tłumaczyć, że długie włosy będą tylko złodziejem cennego czasu i dlatego należy się ich pozbyć. Mycie, suszenie i czesanie zajmowało jej dziesięć minut zamiast dotychczasowej pół godziny. Stwierdziła tylko, że w jej wieku raczej to niepotrzebny balast, a poza tym krótkie uczesanie odmładza. Piotr skrzywił się wtedy, dając do zrozumienia, że tłumaczenie jest denne i schował sobie to zdjęcie. Ola doskonale pamiętała okoliczności jego zrobienia: potwornie wiało, włosy włożyły jej w usta, oczy, wręcz irytująco dławily. Dopiero po jakimś czasie stwierdziła, że wygląda jak modelka podczas sesji w plenerze. A Piotr uznał, że to „tamta”, długowłosa Ola jest „jego” Olą i do końca nie kupował bajki o wygodzie i wieku.

Chwilę obracała w palcach obrączkę i zastanawiała się, co z nią począć. Nosić dwie na palcu lewej dłoni, schować, sprzedać? A może nałożyć ją Piotrowi? A jeżeli palce nie dadzą się rozchylić i w kaplicy rozlegnie się trzask łamania złodowaciącego ciała? Tuż przed śmiercią dłonie Piotra tak puchły, że dosłownie w ostatniej chwili udało się zdjąć obrączkę. Potem nikt nie myślał o tym, żeby coś z nią zrobić i tak tkwiła w szufladzie szpitalnej szafki. Ola nałożyła krążek na swój palec i uśmiechnęła się do siebie: za duży o co najmniej trzy rozmiary, spadłby przy pierwszej okazji. Zdjęła więc z szyi łańcuszek i na nim zawiesiła obrączkę. Jedno z głowy.

Zegarek był prawie nowy, markowy. Nawet bardzo markowy. Piotr kupował tylko rzeczy w najwyższym gatunku i używał ich latami na dowód, że to była dobra inwestycja. Ten zegarek kupił sobie za jakąś premię i zapłacił ponad dwa tysiące. Ola myślała, że padnie, gdy usłyszała cenę, ale wiedziała, że w tej kwestii dla Piotra nie ma dyskusji. Była zła, gdy zabrał go ze sobą do szpitala, ale on się uparł, że przynajmniej nie będzie musiał doładowywać telefonu albo pytać kogoś o godzinę. I co teraz zrobić z tą inwestycją, skoro to inwestor okazał się towarem wybrakowanym? Po-

myślała o wszystkich mężczyznach w najbliższym otoczeniu, ale żaden w jej opinii nie był wart takiego upominku. Odnalazła pudełko, w które zegarek był zapakowany w sklepie i umieściła go tam ponownie. Pudełko wyładowało w szufladzie z jej biżuterią. Niech poczeka, zawsze może się coś wydarzyć.

Na samym dnie torby leżała książka. Podczas wizyt w szpitalu czytała ją na głos, bo Piotr nie był w stanie utrzymać jej w dłoniach, a poza tym głos Oli go odprężał i podczas tego czytania na chwilę zapominał o bólu. Ola chciała ją odłożyć, ale wtedy zauważyła, że pomiędzy stronami coś jest. Rozchyliła kartki i zobaczyła list. Swoją list do Piotra, gdy dowiedzieli się o jego chorobie. Jakież komunały o dozgonnej miłości, zaufaniu i wierze w wygraną z chorobą. Co za brednie! Ta choroba nikogo nie oddaje życiu – przyczaja się tylko, usypia czujność i powraca z całą wściekłością, gdy nikt się nie spodziewa. Widziała to tyle razy, że mogłaby być ekspertem.



– Dzień dobry. Mówi Łukasz Wysocki. – Ola usłyszała w słuchawce nieznanego głosu. A ponieważ nic nie odpowiedziała, głos uzupełnił: – Jestem stażystą na paliatywnej. Pamięta mnie pani? Odprowadziłem panią do taksówki...

– Tak, pamiętam, pamiętam, dzień dobry! – ocknęła się Ola – Coś się stało?

– Nie... Po prostu dzwonię, żeby się upewnić, czy wszystko okej.

„Dziwny jakiś – pomyślała Ola. – Tak sam z siebie dzwoni, żeby się upewnić, czy wszystko okej...”

– Jeżeli takie stwierdzenie w tych okolicznościach jest adekwatne, to... jest okej – skłamała.

– Nie chciałbym przeszkadzać... Jakby pani czegoś potrzebowała, to mój numer się pani wyświetlił, kontakt będzie. – A ponieważ Ola nic nie mówiła, szybko się pożegnał: – Do widzenia!

– Halo! – niemal krzyknęła Ola – Proszę się nie wyłączać. Panie... – zawałała się przez chwilę.

– ...Łukasz – przypomniał.

– Panie Łukasz... Chciałam podziękować za to, co już pan dla mnie zrobił. Ten ksiądz, taksówka, wie pan, ciężko mi było zebrać myśli i...

– Nie ma o czym mówić – przerwał. – Proszę odpoczywać, jest pani wykończona.

– Panie Łukasz, mógłby pan... – Nabrała powietrza. – Mógłby pan do mnie przyjechać?

– Teraz?

– No... kiedy pan będzie mógł, dla mnie bez różnicy.

– Za cztery godziny schodzę z dyżuru, to przyjadę. Adres znam.

– Dziękuję. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia!

Przechodząc do sypialni, zawadziła o poręcz bieżni. Piotr starał się utrzymywać dobrą formę. Ola parsknęła histerycznym śmiechem. I po co? Po

co to wszystko?! Doskonała kondycja nie uchroniła go przed białaczką, przed bólem, przed tym całym koszmarem. Potem już tylko ona biegła. Po powrocie ze szpitala wchodziła na bieżnię i niemal do nieprzytomności dobijała się, gnając jak w amoku. Uciekała od strachu, od tego, co przyniesie jutro, od obrazu Piotra umierającego na raty. Pomyślała, że musiała wyglądać groteskowo – tak drepcząc w martwym punkcie, płacząc i klęcząc. Musi sprzedać to w cholerę: grzmot zawałał pół i tak niedużej sypialni.

Rozejrzała się po salonie i stwierdziła, że nie będzie się nakręcać i na chwilę zrobi sobie przerwę w tym rozgrzebywaniu wspomnień. Gorąca kąpiel i kieliszek wina wydawały się jedyną drogą do choćby minimalnego odprężenia. Włączyła telewizor (niech coś gada w tym pustym domu) i poszła do łazienki przygotować sobie kąpiel. Kiedy wanna wypełniała się wodą, Ola nalała sobie wina i podeszła do okna. Pijąc alkohol małymi łyčzkami, mimowolnie odtworzyła ostatnie chwile z Piotrem. Oczy wypełniły się łzami, ale się ucieszyła, że teraz ten płacz już czuje, że wypływa z niej, oczyszczając to, co zdawało się przykryte absurdalnym poczuć konieczności trzymania fasonu: oto ja, mocna i przygotowana, choć całą przepelnia paniczny strach.



Ola, po kąpeli owinięta ręcznikiem, podeszła do szafy i chwilę zastanawiała się, co nałożyć. Wiedzioną jakimś dziwnym impulsem, otworzyła część z rzeczami Piotra i wyciągnęła jego ulubioną bluzę. Rękawy były kolosalnie długie, ale to nic. Podwinęła je parę razy i z przyjemnością poczuła, jak miękka tkanina dotyka jej nagiego ciała. Nałożyła bieliznę, skarpetki, dresy. Ręcznik leżał tam, gdzie upadł, a Ola objęła się za ramiona i poczłapała do sypialni. Położyła się na łóżku i przykryła kocem. Zmęczenie znów dało znać o sobie i szybko zasnęła.



Obudziło ją bardzo głośne pukanie do drzwi. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie jest i co to za hałas, który przybierał na sile. Otoczenie pokoju wbiło ją w lekki popłoch, bo w niczym nie przypomiñało wnętrza szpitalnej sali, do widoku której była przyzwyczajona. Chwilę leżała z błędnym wzrokiem, ale ponieważ ten ktoś za drzwiami nie odpuszczał – wstała z wysiłkiem i przecierając spuchnięte powieki, niemal po omacku dotarła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Zobaczyła wystraszoną twarz Łukasza.

– Przepraszam... – usprawiedliwiła się Ola. – Chyba przysnęłam...

Łukasz omiółt ją wzrokiem i w lot pojął stan jej ducha: olbrzymia bluza z pozawijanymi rękawami, przekrwione oczy były dostatecznym przejawem stanu jej ducha. Jedno było pewne – nie zamierzała się zabić, tak jak wcześniej podejrzewał. Niepotrzebnie tak łomotał, nadgorliwy kretyń.

– Nie szkodzi, dzwonek ma chyba pani zepsuty – powiedział lekko. – Mogę wejść?

– Proszę, proszę wejść! – oprzytomniała Ola. – Napije się pan czegoś?

– Może wody, jeśli to nie sprawi kłopotu.

Wprowadziła gościa do pokoju i nagle zawstydziła się tego bałaganu, którego nie zdążyła uprzątnąć. Chłopak musiał dostrzec rozrzucone rzeczy Piotra, mokry, skołtuniony ręcznik, kieliszek z niedopitym winem, które dopełniły obrazu.

– Trochę łzej? – zapytał cicho.

– Nic a nic – odparła zgodnie z prawdą. – Pójdę po wodę.

Ola wróciła z kuchni ze szklanką wody i podała ją gościowi. Przez chwilę chciała choć odrobinę ogarnąć ten bajzel, ale potem stwierdziła, że nie ma na to ani siły, ani ochoty. Zresztą, co go to obchodzi, to w końcu jej dom. Zrzuciła część rzeczy z krzesła wprost na podłogę.

– Proszę usiąść. Chciałam z panem o czymś porozmawiać.

– Tak? – Łukasz ostrożnie usiadł na brzeжку krzesła i spojrzał na nią z uwagą.

– W szpitalu słyszałam, że działa pan w jakimś stowarzyszeniu... fundacji, nie wiem dokładnie...

– To fundacja. Wspieramy rodziny po stracie bliskich, taka doraźna pomoc.

– Wie pan, tak naprawdę, to ja nie potrzebuję pomocy...

Próbował jej przerwać, ale niecierpliwie machnęła ręką i odpuścił.

– Dom jest wypełniony przedmiotami męża: ubrania, buty, wszystko w naprawdę dobrym gatunku. Jest też parę rzeczy, z których korzystał w pracy. Muszę to komuś oddać, a nie bardzo wiem, komu. Może umówimy się, że pan się tym zajmie? To mi znacznie ułatwi sprawę.

– Już pani podjęła decyzję? Szanuję to, ale może potrzebuje pani jeszcze trochę czasu?

– Nie. To postanowione. – Zacięty wyraz twarzy Oli jednoznacznie zamknął dalszą dyskusję.

Łukasz powoli sączył wodę, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Nauczony doświadczeniem, rzucił tylko:

– W takim razie proszę to spakować albo, jeżeli nie ma pani na to siły, tylko przygotować do spakowania. Podjedziemy z kumplami za kilka dni i wszystko zabierzemy.

– Jutro.

– Ale...

– Jutro albo wcale. – Ola poczuła, że wpada w dziwny dygot, choć nie było jej wcale zimno. Nie chciała patrzeć na to wszystko, co łączyło ją z Piotrem, a teraz stanowiło zaledwie żałosne świadectwo jego dotychczasowego istnienia. Piotr jeszcze wtedy, gdy dobrze się czuł, zniszczył wszystko, z czym mogłaby mieć problem po jego śmierci: dokumenty, certyfikaty, rachunki i wszelkie szpargały zawałające kilka szuflad w biurku. Raz zastała go na czyszczeniu laptopa. Zostało tylko to, co można spakować i wynieść. On też nie uważał, że w przechowywaniu przedmiotów jest jakiś głębszy sens i bez żalu je usuwał. I dobrze, ona ma tęsknić za Piotrem, a nie za górą nieprzydatnych śmieci.

Łukasz wstał i żegnając się, obiecał, że zadzwoni nazajutrz rano i dogadają godzinę odbioru przygotowanych rzeczy. Olę nagle coś tknęło i znik-

nęła w sypialni. Z szufladki wyciągnęła pudełko z zegarkiem i wróciła do gościa.

– To dla pana – powiedziała z jakąś dziwną lekkością, podając pudełko.

Zaintrygowany Łukasz sprawdził jego zawartość. Dostrzegł markę i spojrzał na Olę z zaskoczeniem.

– Proszę pani, przecież to jest... – Nie był w stanie się wysłowić. – Przecież to... Ja nie mogę... Nie powinienem...

– Proszę mi wierzyć, wiem najlepiej, co to jest – Ola uspokoiła jego rozterki. – I niech pan już idzie... Jestem naprawdę zmęczona.

Po wyjściu Łukasza nałała sobie kolejny kieliszek wina i sącząc je, rozejrzała się po pokoju. Czeka ją dużo pracy, ale noc jest długa, a ona nie musi już nigdzie iść, nigdzie się spieszyć.

Podeszła do rzeczy przyniesionych ze szpitala. Powoli spakowała wszystko z powrotem do torby i wystawiła ją na korytarz. Przy nadarzącej się okazji wyniesie ją na śmietnik.

I żadnych łez.

„pod ósemką”

Ostatni rzut oka na swoje odbicie w lustrze i był gotów do wyjścia. Robert wiedział, że dobry wygląd to gwarancja sukcesu. Gładki garnitur leżał idealnie, do tego jasnobłękitna koszula i krawat w ciekawym odcieniu stalowej szarości. Gładko ogolony i pachnący wodą kolońską z naprawdę wysokiej półki stanowił obraz mężczyzny doskonałego. No, może prawie...

Sprawdził, czy ma przy sobie kluczyki i dokumenty samochodu, po czym wyszedł z domu. Fura była świeżo wypucowana, a tańczące na lakierze promienie słońca wręcz oślepiały. O tak, taki wóz zawsze robi wrażenie. Oczywiście nie pojadą na przejażdżkę, ale pozornie niedbały rzut oka z okna może mieć spore znaczenie. Zerknął do upchniętej w portfelu karteczki i jeszcze raz sprawdził adres, odetchnął kilka razy i włączył silnik. Już nie było odwrotu.

Znalezienie jakiegokolwiek numeru na osiedlu graniczyło z cudem. Po dłuższej chwili zaparkował pod właściwym blokiem i z lekkim ociąganiem wysiadł. Z rezygnacją spojrzał w górę, powoli podszedł do wejścia i cierpliwie czekał, aż ktokolwiek będzie wchodził lub wychodził, bo naciskanie dzwonka domofonu w tej sytuacji byłoby mocno nierozsądne. Po kilku minutach z budynku wychodziła jakaś starsza pani, a on szarmancko przytrzymał jej drzwi. Uśmiechnęła się z wdzięcznością, ułatwiając mu wejście. Z każdym pokonywanym schodkiem czuł coraz większe ciśnienie, które niemal rozsadzało mu głowę. Stres powoli zaciśkał się na jego gardle, utrudniając i tak już płytki oddech.

Kiedy stanął pod właściwymi drzwiami, jeszcze się wahał... ale ostatecznie nacisnął dzwonek i z napięciem nasłuchiwał dźwięków z wnętrza. Kroki, gmeranie przy zamku, klamka opadła i w uchylonych drzwiach wreszcie go zobaczył... Facet był mniej więcej w jego wieku, podobnego

wzrostu, ale trochę tęższy; w domowych, powyciąganych ciuchach, z kilkuniedniowym zarostem i lekko zmierzwionymi włosami wyglądał... dokładnie tak, jak powinien: żałośnie. Robert poczuł się pewniej, uśmiechnął się i lekko powiedział:

– Dzień dobry! Nazywam się Zieliński. Możemy chwilę porozmawiać?

– Zieliński? Robert? Pan jest...

– Tak. Jestem – uciął, nie ścierając z twarzy uśmiechu, który wyraźnie się poszerzył na widok zaskoczonej miny tamtego. – Wpuści mnie pan?

– Tak... Proszę, niech pan wejdzie... – Gospodarz odsunął się od drzwi i wskazał drogę.

– A pan, zdaje się, to?... – Robert zawiesił głos.

– Rafał Dobiecki – głos tamtego wyraźnie drżał.

– Powiedziałbym, że mi miło pana poznać, ale obaj doskonale wiemy, że nie byłoby to prawdą. – Robert wciąż się uśmiechał, ale oczy wyglądały już dużo chłodniej.

Weszli do pokoju i stali chwilę niezdecydowani, zanim Rafał z niejakim wysiłkiem zaproponował kawę. Kawa? Okej! Niech pogadają przy kawie... Zresztą, czy to nie wszystko jedno?

Gdy gospodarz był zajęty w maleńkiej kuchni, Robert rozejrzał się po czystym, skromnie urządzonej mieszkanie: klitka, na oko trzydzieści metrów, stary telewizor, równie leciwy, ale markowy sprzęt audio i mnóstwo, mnóstwo książek. I płyt. Tych z naprawdę dobrą muzyką. Czyli facet na poziomie...

Gdy na stole stała pachnąca kawa, Rafał usiadł naprzeciwko Roberta i spojrzał na niego badawczo.

– Wizytę zawdzięczam czemuś konkretnemu? – zapytał.

Był już spokojny, najwyraźniej ta chwila w kuchni była mu potrzebna.

Wydawało się, że Robert jest bez reszty pochłonięty słodzeniem i mieszaniem kawy w mikrej filiżance. Po chwili podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Cóż... Raczej tak, zawdzięcza pan. Mam tu... – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął smartfona. – Mam tu dla pana taką małą listę... jakby to powiedzieć? Wstępnych kosztów.

– Kosztów? Nie rozumiem...

– Hmm... A czego dokładnie pan nie rozumie, drogi panie Rafale? Biorąc pod uwagę całość sprawy, to chyba ja powinienem powiedzieć, że czegoś nie rozumiem. Ale ja rozumiem, bardzo dobrze rozumiem i właśnie z tego wynika nasze spotkanie.

Otworzył odpowiednią aplikację i wyświetlił listę wydatków, które od dłuższego czasu – jak stwierdził, patrząc na Rafała z obojętnością – ponosił sam, a teraz postanowił, że czas skończyć z wyłączością.

– Wie pan, ona jest bardzo zadbana... Musimy obaj to przyznać... A takie coś kosztuje i to konkretnie! Potraktujmy to jak spotkanie biznesowe: chcemy korzystać z zysków, musimy obaj inwestować!

– Pan żartuje?... – Gospodarz zbladł.

– Nie, dlaczego tak pan pomyślał? – Robert rozpiął marynarkę i rozsiadł się wygodniej – Jesteśmy dorośli i nie ma sensu robić niepotrzebnego zamieszania. Ustalimy parę kwestii i rozejdziemy się w przyjaźni jak dobrzy... współnicy? – Mówiąc to, zaśmiał się z trudem.

Rafał kręcił się niespokojnie, uciekając wzrokiem. Robert czuł, jak wraca mu pewność siebie. Spokojnie wyciągnął papierosa i zapalniczkę. Pytając uniósł brwi, a gdy uzyskał zgodę Rafała, nonszalancko zapalił. Wciągnął dym głęboko i z satysfakcją przyglądał się zdenerwowanemu do granic rozmówcy.

– Wie pan – wrócił do przerwane go wątku. – Nie chciałbym, aby potraktował mnie pan jak konkurenta w tym... nazwijmy to... biznesie. Mam wrażenie, że korzyści wystarczy dla nas obu, ale nie chcę być postrzegany wyłącznie jako sponsor strategiczny. Tak było, owszem, ale obawiam się, że pański – nomen omen – wkład musi mieć jednak znamiona wymiernego aportu do spółki. Nadąża pan za tym branżowym żargonem? – zapytał przyjaźnie.

– To jakaś horrendalna bzdura! Jak pan śmie tu przychodzić i... – Rafał wyraźnie chciał się rozkręcić, ale Robert przerwał mu planowaną tyradę.

– Jak ja śmiej? Pan raczy żartować, drogi Rafale! – Zieliński z uwagą zdjął z marynarki niewidoczny pyłek, strząsnął z papierosa popiół i spojrzał na tamtego. – To nie jest kwestia śmiałości! Raczej konieczności dopilnowania, żeby moje aktywa nie przeszły w ręce obcego kapitału.

Widząc ogłupienie w oczach Rafała, dodał ciepło:

– Pan, zdaje się, jest humanistą? Literatura, wiersze, teatr, intelektualne dyskusje do świtu, te sprawy? W porządku, porozmawiamy inaczej. Płaci pan rachunki, prawda? Co miesiąc: czynsz, prąd, kablówka... Ma pan kablówkę? – zatroszczył się niespodziewanie. Rafał patrzył na niego tępo i milczał. – Czyli ma pan. Ale musi pan płacić za te przyjemności, bo inaczej pana ich pozbawią. A tu mamy podobną sytuację: korzystanie z pewnych przyjemności jest warunkowane ich terminowym opłaceniem. I pojawia się ja, jako główny sponsor de facto także pańskich przyjemności i to niezależnie od tego, czy sobie tego życzę, czy wręcz przeciwnie... – Znów zaciągnął się dymem. Przymknął oczy i powoli wypuścił go nozdrzami. – Uznałem, że powinniśmy to uregulować. No, może nie na piśmie, ale jakąś umową dżentelmeńską dałoby radę.

Rafał wstał gwałtownie i wskazał ręką drzwi.

– Wynoś się, bydlaku! Wynocha, ale już!

– Siadaj! – warknął Robert. – Jeszcze, kurwa, nie skończyłem! – Poczł, że niepotrzebnie go poniosło i z całych sił opanował wzburzenie. Sięgnął ponownie po aparat i zaczął wyliczać: – Wynajem pomieszczeń w domu podczas moich służbowych wyjazdów, catering i alkohol podczas waszych spotkań, celowo pomijam kwestie drobnych upominków, które w międzyczasie pan uzyskał za swoje... powiedzmy... usługi.

Wstał i już chodząc, wyliczał dalej:

– Moje aktywa są na bieżąco modernizowane i poddawane cyklicznym procesom wpływającym na ich atrakcyjność: karnet na basen,

wyjazdy do spa, wizyty u kosmetyczki i masażyisty. Do tego co miesiąc wydawane środki na garderobę i buty. Nie zapominajmy też o fryzjerze i manikiurzystce.

Rozejrzał się po niewielkim pokoju i już niemal pewien swojej pozycji zaatakował:

– Była tu kiedyś? Zaprosiłeś ją do tej nory? Dużo książek, płyt... Ale w dalszym ciągu to nora. Jak widzę, stanowi pan, panie Rafale, niekłamane wsparcie intelektualne i emocjonalne – zakpił. – I trzeba było na tym poprzestać. Uznałbym to za szkolenie, no, za inwestycję w rozwój. Ale na tym się nie skończyło i teraz trzeba ponieść koszty próby przejęcia mojej własności. A ty jesteś cholernym gołodupcem, którego moja żona traktuje jak pieska: udaje, że się opiekuje, kupuje smakołyki, nowe kubraczki i sadza na kanapie jak pieprzoną zabaweczkę. Bo tym jesteś dla niej: zabaweczką! Ale za chwilę twoja atrakcyjność mocno zblednie... Doskonale znam ten cykl: od fascynacji do znużenia. A potem poszukiwanie nowych podniet. To tylko nuda, nic ponadto...

Rafał milczał ze wzrokiem wbitym w dywan.

– Niech pan już idzie... – powiedział słabo.

– A nasza umowa? – drążył Robert.

– Niech pan się wynosi... No! Zabieraj się! – W Rafała wstąpiło życie. – Ty chamie! Ona cię nie kocha, nigdy ciebie nie kochała! Cholerny rogacz... Jesteś dla niej jak bankomat! Bezduszna, metalowa skrzynka z pieniędzmi! Może zamiast tłuc forszę, warto było zapytać, czego ona chce?

– Czyżby? A co ty masz jej do zaoferowania? – Robert z pogardą rozejrzał się po mieszkanku. Był wściekły, ale wciąż nad sobą panował. – No, co?

Ponieważ tamten się nie odezwał, Robert uśmiechnął się szeroko i zaproponował:

– Wiesz pan co, panie Rafał? Zadzwoń do niej i powiedz, że chcesz ze mną porozmawiać o was. Że postawisz sprawę jasno i zażadasz, żebym pozwolił jej odejść, bo przecież ona kocha tylko ciebie, prawda? No, to się zgodzi. Gwarantuję, że od razu się zgodzi. Teraz widzę, że to oczywiste... – Znowu ostentacyjnie rozejrzał się wokół i odrobinę dłużej niż należało zatrzymał się wzrokiem na starych i wyblakłych zasłonach.

Cisza zdawała się trwać w nieskończoność. Rafał nawet nie wyciągnął ręki po telefon. Patrzyli na siebie i obaj doskonale wiedzieli, że jest już po wszystkim.

– Będę się zbierał. – Robert schował swój telefon, papierosy i zapalniczkę. Jednym haustem dopił zimną już kawę i odstawił filiżankę. Poprawił krawat, zapiął marynarkę. – Sprawę możemy uznać za zamkniętą?

Ponieważ nie usłyszał żadnej odpowiedzi, przytaknął sam sobie.

– Czyli sprawa zamknięta. Wolałbym, abyś to ty definitywnie zakończył ten wasz... hmm... romans...

Podszedł do drzwi i rzucił na odchodne:

– Magda to wspaniała, ale wymagająca kobieta. Wymagająca i roszczeniowa. Twoja bieda i tak by was zabiła.

Wyszedł i starannie zamknął za sobą drzwi. Minął część korytarza i dopiero za jakimś załomem oparł się o ścianę – musiał chwilę odpocząć. Był

wykończony. Musiał tak postąpić, musiał skłamać, po prostu musiał! Ale teraz wszystko się zmieni, wszystko... On się zmieni! Przecież bez niego umiałby nawet oddychać... ■

Aldona Reich – autorka opowiadań i dwunastu powieści. Filolog języka polskiego, członkini Związku Literatów Polskich. Pracuje jako redaktor i korektor w oficynie wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego, współpracuje przy tworzeniu periodyku Zielonogórskiego Oddziału ZLP „Pasje Literackie”. Szuka inspiracji w codzienności, wśród otaczających ją ludzi, w literaturze i filmie. Stara się, aby każda z jej powieści oprzeć na problemie społecznym i wokół niego budować fabułę.

Zamieszczony powyżej utwór jest fragmentem opowiadania *Wspólnota*, które właśnie ukazało się drukiem w antologii *Piszę sam(a), w moim mieście*. Więcej o tym opowiadaniu i o całym wydawnictwie – w dziale *Recenzje*, na s. 117–120.

Prawda, która kłamie. Kłamstwo, które mówi prawdę



Tatiana MIELCAREK

Czy może istnieć większy paradoks niż ten? Od wieków kultura europejska uczy, że prawda jest cnotą, a kłamstwo grzechem. A jednak historia ludzkich emocji i wyborów pokazuje, że linia między jednym a drugim jest krucha, często rozmyta w półcieniach moralnych dylematów. W najbardziej intymnych sferach życia – w miłości, cierpieniu, tęsknocie – prawda bywa ostrzem, które kaleczy głębiej niż najokrutniejsze kłamstwo.

Bywa, że słowo „kocham” staje się kłamstwem, bo nie wytrzymuje ciężaru, który skrywa serce. Bywa też, że milczenie – choć jest w istocie kłamstwem – chroni drugiego człowieka przed rozpaczą.

Kłamstwo nie zawsze rodzi się z chęci oszukania. Czasem rodzi się z miłości. Z pragnienia ochrony drugiego człowieka. Z lęku przed samotnością. Z tęsknoty za tym, co niemożliwe. Jednak każda nieprawda, nawet ta podszyta najczystszyt uczuciem, pozostawia w duszy smak gorzkiego popiołu.

Czy można kochać prawdziwie i kłamać? Czy kłamstwo w miłości jest zdradą, czy może ostatnią próbą ratunku przed cierpieniem? Czy można żyć w półprawdach i nie utracić siebie?

Dlaczego człowiek kłamie? Bo boi się bólu. Bo lęka się stracić tych, których kocha. Bo nie zawsze potrafi unieść ciężar własnej prawdy. Kłamstwo staje się zbroją – chroni przed samotnością, wstydem, rozczarowaniem. Przynosi iluzoryczne poczucie bezpieczeństwa, nawet jeśli jest tylko ułudą.

Jednak kłamstwo rodzi się także z miłości. Aby nie zranić. Aby nie odebrać komuś spokoju. Aby nie zburzyć świata, który został zbudowany z trudem i poświęceniem. Maria Szyszkowska w książce *Etyka. Problemy, wybory, wątpliwości* pisze, że w miłości kłamstwo bywa czasem koniecz-

ne, choć zawsze kosztuje duszę. Leszek Kołakowski w zbiorze esejów *Mini wykłady o maxi sprawach* zauważa, że każde kłamstwo zostawia w człowieku pęknięcie, nawet jeśli wypowiedziane jest w imię dobra.

Dlaczego człowiek jest okłamywany? Ponieważ inni chcą chronić jego spokój. Ponieważ nie mają odwagi wyznaczyć prawdy. Ponieważ żyją w lęku, że prawda zburzy wszystko, co wydaje się stabilne. Czasem kłamią z litości. Czasem z egoizmu. Czasem z miłości.

Człowiek myślący i wrażliwy nie znajduje łatwych odpowiedzi. Wie, że zarówno prawda, jak i kłamstwo mają swoją cenę. Taki człowiek często wybiera trudniejszą drogę – drogę prawdy, choć wie, że może go to kosztować wiele. Bo życie w półprawdzie rani duszę. Ale też rozumie, że prawda potrafi być bronią, która rani zbyt mocno.

Dlatego człowiek świadomy stoi w nieustannym napięciu: między lojalnością wobec innych a lojalnością wobec samego siebie, między pragnieniem szczerości a lękiem przed rozbiciem świata, który zna, między miłością, która chce wszystko wyznaczyć, a miłością, która milczy, by nie ranić.

Czy kłamstwo jest zawsze zdradą? Czy prawda jest zawsze dobrem? A może prawda i kłamstwo są dwiema stronami tej samej monety, której wartość wyznacza ludzkie życie pełne miłości, lęku, nadziei i strachu przed stratą?

Nieprzypadkowo Jan Stępień w miniaturze *Kłamstwo i prawda* z tomu *Cienie zmarłych* tworzy przejmującą metaforę: kłamstwo jest tu jak małe, płaczące dziecko, stojące samotnie na drodze i wywołujące litość. Obok przechodzi Prawda – ufna, dobra, o sercu szerokim jak morze – i bierze kłamstwo pod swój dach.

Jak często dzieje się tak w rzeczywistości? Z dobroci serca ludzie dopuszczają do siebie drobne kłamstewka, przemilczenia, półcień, w imię spokoju lub złudnej harmonii. Lecz mijają lata, a Prawda się starzeje i umiera. To niezwykle wymowna metafora: prawda wymaga siły, odwagi, ciągłego stawiania w jej obronie. Z czasem męczy się, słabnie, przestaje być słyszana. Wówczas kłamstwo znów pozostaje samotne. I znów szuka nowej prawdy – młodej, świeżej – która powtarza ten sam gest i bierze je pod swój dach.

Lecz tym razem skutek jest tragiczny: ludzie tracą zdolność odróżniania kłamstwa od prawdy. I trudno im się dziwić.

Miniatura Stępnia staje się ostrzeżeniem. Pokazuje, że jeśli pozwolimy kłamstwu żyć obok prawdy, jeśli przestaniemy strzec granicy między tym, co prawdziwe, a tym, co fałszywe, świat stanie się jedną, wielką szarą mgłą. Ludzie przestaną wiedzieć, w co wierzyć.

Najbardziej niepokojąca jest świadomość, że kłamstwo potrzebuje prawdy, by istnieć. Bez niej byłoby tylko pustką. To prawda nadaje mu kształt i wiarygodność. I dlatego ich związek jest tak niebezpieczny, tak zwodniczy.

Kłamstwo i prawda rozbrzmiewa niczym cichy, a jednocześnie donośny dzwon. Przypomina, że prawda, choć bywa trudna, bolesna i wymagająca, jest człowiekowi potrzebna bardziej niż cokolwiek innego. Bo bez niej grozi nam świat, w którym wszystko stanie się tylko złudzeniem.

Ten dramatyczny konflikt rozdziera także literaturę i filozofię. Hamlet Szekspira nieustannie balansuje między prawdą a udawaniem szaleństwa. Jego pytanie „Być albo nie być” jest nie tylko rozważaniem o życiu i śmierci,

ale także o prawdzie, której ujawnienie może prowadzić do katastrofy. Czy zemsta Hamleta nie jest również dramatem prawdy, która musi zostać wypowiedziana, choć kosztuje wszystko?

Nietzsche w *Poza dobrem i złem* ostrzega, że prawda jest czasem tylko interpretacją, a człowiek żyje dzięki złudzeniom. Kłamstwo bywa konieczne, bo bez niego świat wydaje się nie do zniesienia. Nietzsche pyta prowokacyjnie, czy prawda jest w ogóle możliwa, skoro sami jesteśmy uwikłani w subiektywność.

A jednak Immanuel Kant w *Krytyce praktycznego rozumu* i w eseju *O domniemanym prawie kłamstwa z miłości bliźniego* pozostaje nieugięty: kłamstwo jest moralnie złe zawsze, bez wyjątku. Bo człowiek ma obowiązek mówić prawdę, nawet gdyby konsekwencje miały być tragiczne. Kłamstwo niszczy bowiem fundamenty zaufania, bez których nie istnieje żadna wspólnota. Dla Kanta prawda jest kategorią absolutną, niepodlegającą relatywizacji.

I oto człowiek zostaje sam – pomiędzy kantowską surowością, nietzscheańską podejrzliwością wobec wszelkich prawd, dramatem Hamleta, który nie potrafi wybrać między kłamstwem a prawdą, a lirycznym szepcem Jana Ślepia, który widzi, jak kłamstwo i prawda splatają się w niebezpieczny uścisk.

Prawda, choć bolesna, jest kompasem, bez którego człowiek gubi się w mgle pozorów. Bo bez niej nawet najpiękniejsze kłamstwo prowadzi w pustkę. A życie staje się tylko złudzeniem, w którym coraz trudniej rozpoznać, co jest prawdą, a co zaledwie maską. ■

Tatiana Mielcarek – nauczycielka języka polskiego i filozofii w X LO w Toruniu. Absolwentka studiów z zakresu coachingu oraz Terapii Skoncentrowanej na Rozwiązaniach. W pracy dydaktycznej łączy edukację humanistyczną z elementami rozwoju osobistego i wsparcia psychologicznego, propagując humanistykę jako narzędzie kształtowania człowieka myślącego i wrażliwego.



Graffiti w Czeskim Krumlowie. Źródło: picryl.com

RECENZJE



To nie jest recenzja Uwagi na marginesie książki Pawła Machcewicza *Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci” Moczara*

Paweł Machcewicz, *Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci” Moczara*, Krytyka Polityczna, Warszawa 2025, 544 strony.

Mimo upływu blisko sześćdziesięciu lat od wydarzeń marcowych 1968 roku, nie maleje zainteresowanie dyskusją na temat miejsca i roli społeczności żydowskiej w polskim życiu. Sławomir Mentzen nie chce, by współtworzyła ona oblicze kraju, nawołując do Polski bez Żydów, podobnie jak bez homoseksualistów czy aborcji. Nawoływania te do złudzenia przypominają apele polskich nacjonalistów z międzywojnia: Żydzi na Madagaskar! Konflikt bliskowschodni i ludobójcze zachowania Izraela zmieniają optykę: z ofiary, która to figura dominowała w postrzeganiu Żydów przez lata, przeistacza się w ich postrzeganie jako sprawcy unicestwienia strefy Gazy i eksterminacji ludności palestyńskiej. Z powodu uwarunkowań historycznych i dylematów etycznych temat ten najczęściej i najchętniej spotyka się z przemilczeniem albo omijaniem przez komentatorów ze zręcznością slalomistów. Z tym większym zainteresowaniem sięgnąłem po świeżo wydaną przez Krytykę Polityczną książkę Pawła Machcewicza *Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci” Moczara*. Autor – ceniony historyk dziejów najnowszych – zasłynął przygotowaniem wystawy w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku (którego był dyrektorem przez 8 lat), wystawy świetnej merytorycznie i prezentacyjnie, po dojściu PiS do władzy przerobionej na patriotyczną modłę. Sam Machcewicz został też zdymisjonowany z funkcji dyrektora na rzecz obecnego prezydenta RP Karola Nawrockiego.

Już samo podjęcie tematu zasygnalizowanego w tytule książki zasługuje na uznanie. Od razu rodzi jednak pytanie: czy przedmiotem opisu i analizy są działania i poglądy tzw. partyzantów, a więc członków lewicowego (głównie GL i AL) krajowego ruchu oporu podczas II wojny światowej i ich dalsze losy w PRL (co sugeruje drugi człon tytułu), czy też uwaga autora koncentruje się na szerszym problemie wzajemnych i zmieniających się relacji polsko-żydowskich w latach 1944–1968, a i te przecież są jedynie wąskim wycinkiem wielowiekowych relacji historycznych. Innymi słowy, jak daleko sięgamy w głąb dziejów. W zależności od zakresu spojrzenia: z krótkiego,

średniego czy długiego dystansu, ta analiza może być różna. Machcewicz ogranicza ją do lat 60. ubiegłego wieku. Kończy na wydarzeniach marcowych w Warszawie i w innych ośrodkach akademickich. Wcześniejsze fakty podawane są dość skrótowo. Brak mi poruszenia niektórych wątków; na przykład, co sprawiło, że agent wywiadu radzieckiej *razwiedki*, ze zrzutu spadochronowego, stał się człowiekiem o ograniczonym zaufaniu Moskwy. Radzieccy przywódcy wybrali Gierka na sukcesora po Gomułce, o czym Machcewicz wspomina marginalnie. Autorowi chodziło głównie o genezę i przebieg Marca '68.

By nie mnożyć znaków zapytania, od razu przejdę do własnej opinii: otóż uważam, że przedstawiana w ostatnich latach ocena tzw. wydarzeń marcowych jako sporu młodych demokratów z przedłużającą się obecnością na szczytach władzy twardogłowych komunistów odbiega od istoty tego sporu. Pytanie, które należałoby postawić, powinno brzmieć: co sprawiło, że w ataku na środowiska syjonistyczne (termin kamuflujący), a tak naprawdę środowiska polskich Żydów, zjednoczyły się grupy ludzi o bardzo różnym rodowodzie, różnych poglądach, różnej pozycji społecznej i różnej sile politycznego przebicia? To był ruch masowy. Zjednoczenie trwało stosunkowo krótko, przyznania się do uczestnictwa, a nawet podzielenia poglądów kreatorów tego ruchu, unikano później (nieważne, czy ze względów moralnych, czy koniunkturalnych), ale pozostawiło trwałą ślad w polskiej świadomości kulturowej – choćby w *piątce Mentzena*. Jeśli 11 listopada 2025 r. na słynnym pochodzie narodowców (z którym władze nie potrafią sobie poradzić) pojawiają się antysemickie hasła, to może warto sobie uzmysłowić, że owo *zjednoczenie* AD 1968 było jednym z przystanków na długiej historycznej drodze, a kolejne przystanki dają znać o sobie ze zdumiewającą regularnością.

Natomiast z krótkiego dystansu przytoczę jedno spostrzeżenie: 8 marca 1968 r. z gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej wyszła (zapowiedziana wcześniej) grupa kilkudziesięciu studentów UW z żółtymi żonkilami w ręku. W żadnym ze znanych mi opracowań nie znalazłem wzmianki o tym charakterystycznym szczególe tej demonstracji. Żonkile to symbol powstania w warszawskim Getcie, tyle tylko, że wybuchło ono 19 kwietnia, a nie 8 marca. Odwołanie się przez demonstrujących do martyrologicznej symboliki powstania miało swój ukryty cel. Jaki? Podkreślenie narodowościowego aspektu politycznego i ideologicznego sporu? Nawiązanie do głośnej publikacji polskiego socjologa żydowskiego pochodzenia Witolda Jedlickiego (1929–1995) *Chamy i Żydy*, drukowanej w paryskiej „Kulturze” sześć lat wcześniej, w grudniu 1962 r.? Opisuje on występujący w okresie październikowego przesilenia politycznego podział w strukturach władzy na dwie grupy: liberalizujących „puławian” i zamordystycznych „natolińczyków” (tym epitetem długo posługiwano się i później dla identyfikacji *twardogłowych*, podobny wydźwięk miało użyte przez katolickiego publicystę Stefana Kisielewskiego określenie „dyktatura ciemniaków”). Tyle że wśród bardziej liberalnych i lepiej wykształconych puławian znajdowali się partyjni przywódcy decydujący o kształcie polskiej polityki w latach 1949–56, a zarazem główni sprawcy stalinowskiego terroru, m.in. Bolesław Bierut

(choć można przypuszczać, że był raczej figurantem niż osobą sprawczą), Jakub Berman, Hilary Minc, Roman Zambrowski i Franciszek Mazur. Trochę nie pasowali do roli liberałów. Pozycja Mazura słabła, na czoło grupy wysuwał się natomiast Roman Zambrowski¹. Do nich dołączali intelektualiści (nie tylko żydowskiego pochodzenia): Adam Schaff, Henryk Jabłoński, Oskar Lange, Adam Rapacki, Andrzej Werblan, młody Mieczysław Rakowski oraz inni, o których łatwiej zapomniano. Ponieważ grupa starych działaczy puławian miała za sobą stalinowską przeszłość, rolę przyciągającą opinię publiczną mieli odegrać młodzi: Jerzy Morawski, Władysław Matwin, Stefan Staszewski². Czy dołączyli do niej młodzi aktywiści reprezentowani na wiecu? Nigdzie nie znalazłem odpowiedzi na to i pokrewne pytania. Nigdzie też nie znalazłem listy uczestników opisywanej sceny na dziedzińcu UW, a przecież zarówno organizatorzy, jak i *bezpieka* zadbali, by zostali zidentyfikowani³. W indeksie w książce Machcewicza znajduje się tylko jedno odniesienie do artykułu Jedlickiego: „O wspólnym zwalczaniu puławian przez natolińczyków i czołowych przedstawicieli frakcji *partyzanckiej*, między innymi przez Moczara i Korczyńskiego pisał Witold Jedlicki w słynnym esaju [...]. Odbił się on silnym echem w kręgach opinio-twórczych w kraju, również w elicie partyjnej [...]. Podkreślił, że puławianie dysponujący szerokimi wpływami w prasie i cenzurze manipulowali opinią publiczną. Jako znacznie ważniejsze i wpływowe grupy na początku lat sześćdziesiątych przedstawił puławian i natolińczyków; *partyzantom* poświęcił stosunkowo niewiele uwagi”⁴. Sugerowałoby to, że w grze o władzę „partyzanci” w 1956 r. nie odgrywali większej roli. Ale kilka lat później w powszechnej opinii to Moczar był najpoważniejszym kandydatem do zastąpienia Gomułki. „Partyzanci” zbliżali się w swoich poglądach do natolińczyków (tak twierdził Jedlicki). Ta frakcja nie miała tak eksponowanych przedstawicieli, jak puławianie. Na jej czele stali Aleksander Zawadzki, Konstanty Rokossowski, Zenon Nowak (o rosnącej pozycji w ugrupowaniu, ulica powtarzała często „tak czy owak będzie Nowak”), Franciszek Jóźwiak (o partyzanckim pseudonimie „Witold”), Hilary Chełchowski, Stefan Matuszewski i nazywany „gazrurką” – Kazimierz Witaszewski – kierownik Wydziału Administracyjnego KC PZPR. Grupa intelektualnie słaba, bez wybitnych postaci, w fazie narodzin *skazona* obecnością Rokossowskiego, a więc marszałka Armii Radzieckiej (choć Polaka z pochodzenia), który po 1956 roku wyjechał z Polski⁵.

Jedlicki napisał: „W kształtowaniu opinii publicznej puławianom udaje się dokonać jeszcze jednej niebywale zręcznej wolty. Udaje się im miano-

¹ Stąd zapewne transparenty „Zambrowski do Biura” na ulicach Warszawy, choć równie dobrze mogły być prowokacją *bezpieki*.

² Te nazwiska znalazły się w tekście Jedlickiego.

³ W książce Piotra Oseki *Marzec '68*, Wyd. Znak, Kraków 2008, przypis do str. 168, znajduje się jedynie informacja o członkostwie tzw. grupy komandosów: „Większość historyków zalicza do tej grupy: Kuronia, Modzelewskiego, Michnika, Lasotę, Bogucką, Toruńczyk, Grudzińską, Lityńskiego, Blumsztajna, Dajczgiewandę, Karpińskiego, Szlajfery, Góreckiego”.

⁴ Paweł Machcewicz, *Narodowy komunizm po polsku. „Partyzanci” Moczara*, Krytyka Polityczna, Warszawa 2025, s. 99

⁵ W prasie ukazała się wtedy krótka notka: Marszałek Polski Konstanty Rokossowski wrócił do kraju.

wicie wykorzystać sprawę żydowską do likwidacji tak bardzo niewygodnego dla nich problemu odpowiedzialności osobistej za wyczyny z okresu stalinowskiego. Kto tę sprawę podnosi, zostaje natychmiast okrzyknięty jako antysemita⁶. Dzięki temu i innym manewrom propagandowym „masy robiły w istocie to, czego chcieli puławianie”⁷, do których ostatecznie przyłączył się Gomułka. To scena AD 1956. Jedlicki doszedł w swoich egzegezach do końca 1961 roku (niewyjaśnione do końca samobójstwo Henryka Hollanda). Kilka lat później scena ta wyglądała już inaczej, a to za sprawą rosnącej pozycji „partyzantów”. Wykorzystali oni dwie chwytliwe tezy, by pozyskać opinię społeczną: podkreślając rolę krajowego ruchu oporu podczas II wojny i kontrastując tę rolę z *przybyszami* ze Wschodu, wśród których znajdowało się wielu b. członków KPP, w większości żydowskiego pochodzenia, często *politruków* w wojsku, oraz eksponując integrację narodową, wspólną walkę Polaków z wrogiem, bez względu na przynależność i poglądy polityczne, co przyniosło im kolosalną popularność i rosnące lawinowo członkostwo w ZBOWiD. Grupowe i indywidualne gry i zabawy traciły na znaczeniu, rywalizacja przybierała bardziej globalny charakter, rywalizowali swoi – Polacy – i *obcy*, a Żyd miał konotację *obcego*. Moczar nie osiągnął swoich celów, nie wydawał się zresztą przygotowany do roli *genseka*. No i opór *radzieckich*, zaniepokojonych zbyt mocno dawkowanym odchyleniem narodowym. Na tym można byłoby zakończyć relację z przeszłości. Ale pytania o żywotność tych idei i postaw w świadomości zbiorowej są nadal aktualne.

Odpowiedzi na pytania o miejsce konfliktów narodowościowych w życiu Polaków (konflikt polsko-żydowski jest najsilniejszy, ale nie jedyne) trzeba szukać w historii. W przypadku interesującego nas tematu: obecność Żydów na ziemiach polskich ma historię tysiącletnią. Ich liczba przewyższała znacznie ich populację w innych krajach europejskich. Przed II wojną światową szacowano ją w Polsce na około 3,5 mln obywateli (ca. 10 procent populacji), ale na wsiach ich prawie nie było, nigdy też nie zajmowali się rolnictwem. W Warszawie odsetek sięgał więc w międzywojniu około 30 proc. mieszkańców stolicy. Wśród mieszkańców miast stanowili zwartą i silną, zintegrowaną grupę narodową o odrębnym wyznaniu i obyczajach, używającą w znacznej części odrębnego języka⁸. Związek przynależności narodowej z judaizmem i obyczajami był mocniejszy niż w przypadku innych zbiorowości. O przynależności do żydowskiej wspólnoty narodowej decydowały względy religijne i przestrzeganie rytuałów: obrzezanie, świętowanie szabatu, uczestnictwo w ceremoniach. Żydów prześladowano w wielu krajach, w Polsce też, ale w Polsce stanowili oni silną wspólnotę, skutecznie strzegącą swojej tożsamości i broniącą się przed atakami. Przez wieki żyli pośród nas, ale obok – zachowując odrębność i mając odrębny status. Obie społeczności miały wzajemne relacje, ale nie przenikały się wzajemnie⁹. Polem

⁶ Witold Jedlicki, *Chamy i Żydy*, [Wikipedia, Witold Jedlicki, *Chamy i Żydy* s. 9].

⁷ Witold Jedlicki, op. cit., s. 14.

⁸ Dobrze przedstawił to Szczepan Twardoch w powieści *Król*, Wyd. Literackie, Kraków 2020.

⁹ Specyfikę tych stosunków chyba najlepiej opisał Aleksander Hertz w książce *Żydzi w kulturze polskiej*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2004.

konfrontacyjnym przez wieki była religia i powiązana z nią obyczajowość. Egzemplifikacją tego pola mogłoby być powtarzające się okresowo fałszywe przekonanie o wykorzystywaniu dla celów rytualnych krwi dzieci chrześcijańskich.

Zmiany tak ukształtowanych relacji miały miejsce w XVIII w., a zwłaszcza w II połowie XIX w. Nastąpiły one za sprawą dwóch wydarzeń: likwidacji w 1764 roku Sejmu Czterech Ziem: Małopolski, Wielkopolski, Litwy i Rusi – organu samorządowego Żydów, którego kompetencje koncentrowały się głównie na zbieraniu i rozliczaniu podatków. O tym zdarzeniu niewiele wiemy, ale z pewnością zmniejszyło ono hermetyczność społeczności żydowskiej. Większe znaczenie miała ustawa Wielkopolskiego o przyznaniu Żydom praw obywatelskich i praw cywilnych z 1862 r. W praktyce oznaczała, że Żydzi, dotąd ograniczani w swych działaniach gospodarczych przepisami prawa, stali się uczestnikami rynku na równi z innymi. W rywalizacji rynkowej okazali się sprawniejsi. Rywalizacja na tle wyznaniowym została poszerzona o rywalizację ekonomiczną. Spora, zwłaszcza bogatsza część społeczności żydowskiej zmieniała wyznanie na jedną z religii chrześcijańskich, liczba konwersji rosła, narastały też kontrowersje wokół tej kwestii. Akulturacja, a zwłaszcza asymilacja (przez pewien czas lansowana jako element łączenia obu społeczności) okazała się niemożliwa: Żyd porzucający judaizm i rytuał przestawał być Żydem. W przypadku konwersji opinia społeczna zarzucała, że ma ona miejsce jedynie z pozoru, dla ułatwień gospodarczych, zwłaszcza handlowych. Pojawiło się pojęcie *mechesa* – kamuflującego się wyznawcy judaizmu oraz określenia *Żyda chrzczonego*¹⁰ i *prawdziwego Polaka*.

Rywalizacja na tle ekonomicznym oraz zarzut kamuflowania przynależności narodowej stały się przyczyną nasilenia konfliktu, eksponowanego zwłaszcza przez Narodową Demokrację (np. akcja „nie kupuj u Żyda”) i inne ugrupowania o podobnej ideologii¹¹. Antagonizm narastał, przeradzając się u niektórych polityków obozu narodowego w rodzaj obsesji: wszystkiemu winni są Żydzi. To z powodu tych sprzeczności Gomułka w przemówieniu z 19 marca 1968 roku zakwalifikował do mniejszości żydowskiej niewiele ponad 6 tys. obywateli, choć w powszechnym odczuciu było ich wielokrotnie więcej, zresztą z kraju wyjeżdżało tylko w czasie nagonek antysemickich w latach 40., 1956 i 1968 r. znacznie więcej Żydów, niż wynikało to ze statystycznej przynależności do grupy osób wyznania mojżeszowego. Dziś narodowość żydowską według spisu powszechnego deklaruje 7300 osób. Autorzy rysunków powieszonego Żyda na autobusowych przystankach, bywalcy stadionów piłkarskich i głosiciele hasła o Polsce bez Żydów nie kłopotaliby się przecież liczbą 7 tys. obywateli. Wtedy w 1968 r. w wielu instytucjach krążyły listy „proskrypcyjne”, w których zarzut *bycia Żydem* (już samo formułowanie zarzutu z tego tytułu musi być traktowane jako umyślowa aberracja) stawiano wielu osobom z najróżniejszych powodów, często rdzennym Polakom.

¹⁰ Bodaj jako pierwszy użył go Antoni Lesznowski, naczelny „Gazety Warszawskiej” (por. Andrzej Żor, *Kronenberg. Dzieje fortuny*, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2011, s. 356).

¹¹ Świętymi przykładami są powieści Wacława Gąsiorowskiego *Zginęła głupota* i Mariana Gawalewicza *Mechesy* – obie ukazały się w 1899 roku.

Ocena wydarzeń marcowych nie może abstrahować od historycznych uwarunkowań, bo tylko dzięki sięgnięciu do historii wzajemnych stosunków można zrozumieć przyczyny karkołomnego połączenia na wspólnej płaszczyźnie ludzi i poglądów z odległych od siebie zbiorów. Do wyznaniowych i ekonomicznych źródeł konfliktu dołączyć należałoby ocenę postaw i zachowań w czasie Holokaustu, będącą przyczyną i zarazem skutkiem kryzysu moralnego, którego nie sposób wyprzeć samą tylko grą polityczną. Chyba wciąż do końca go nie przepracowano, jak powiedzieliby psychoanalitycy.

Bez wątpienia część ludzi identyfikujących się z grupą Moczara czerpała z tradycji i dorobku Narodowej Demokracji. Do tego dorobku sięgały też grupy katolików skupionych wokół PAX-u i jego lidera Bolesława Piaseckiego, a tym samym do poglądów wyrażanych przez przedwojenny ONR, któremu Piasecki przewodził. Najsilniejsze wsparcie dawali Moczarowi jednak „partyzanci”. Machcewicz napisał: „Patriotyczna retoryka Moczara i jego zwolenników poszerzała ich bazę społeczną. Przyciągano do współpracy, a przynajmniej zyskiwano życzliwość ludzi odległych politycznie, ideowo lub mentalnie od obozu rządzącego. Moczarowski patriotyzm otwierał się na tradycję i doświadczenia marginalizowane w Polsce Ludowej; czerpał przede wszystkim z dziedzictwa AK i innych niekomunistycznych formacji z czasów II wojny światowej, włącznie z Polskimi Siłami Zbrojnymi na Zachodzie. Najsilniejszym spoiwem emocjonalnym były heroizm i martyrologia z czasów wojny, żywe doświadczenie milionów Polaków. Moczarowcy przedstawiali te wartości, jakby były nieustannie zagrożone: dybali na nie czy to krajowi szcydery, czy to oszczerzy z zagranicy, a przede wszystkim syjoniści i po prostu Żydzi. Antysemityzm, lekko tylko zakamuflowany, a niekiedy wyrażany zupełnie otwarcie, był niezbywalnym elementem moczarowskiego patriotyzmu, przez część społeczeństwa przyjmowanym równie chętnie jak rewaloryzacja niekomunistycznych wątków tradycji narodowej”¹². Dlaczego, zyskując tak rozległy rezonans w różnych grupach społecznych nie wykorzystali swojej siły i nie podjęli rozgrywki w grze o władzę? Gomułka, który do czasu wspierał tę grupę, widząc jej paździenikowy rodowód, zorganizował – uświadomiwszy sobie polityczne i własne zagrożenie – wiece poparcia dla rzekomo skonsolidowanej partii przeciwstawiającej się wrogim siłom, których eksponentami zostali – o dziwo i o ironio – Stefan Kisielewski, Paweł Jasienica i Janusz Szpotański. Zwłaszcza zagrożenie ze strony tego ostatniego wydaje się co najmniej humorystyczne. Zastosował sprytny manewr, przesadzając Moczara na zastępcę członka Biura Politycznego i odbierając mu MSW, a to policyjny i bezpieczeniacki aparat decydował o sile swojego szefa. Prześmiewcy śpiewali wówczas: „Mieciu M. z MSW, gdzieś, pierdoło, podział swoje KBW”?

Intelektualne i manipulacyjne zdolności i umiejętności jego akolitów nie mogły równać się z potencjałem dawnych puławian i ich następców. Następne pokolenia nie znajdowały siły napędowej w kombatanckich wspomnieniach swoich ojców i dziadków, złudnych przekonaniach o sile polskiego żołnierza, czy w heroicznej walce o odbudowę kraju po wojnie.

¹² Paweł Machcewicz, op. cit. s. 436.

Gierek stworzył przyciągającą iluzję, a ta – jak każda iluzja – zawałiła się z jeszcze głośniejszym hukiem. Próba utworzenia grupy tzw. docentów marcowych (naukowców bez habilitacji, którzy mogli mimo to kontynuować akademicką karierę) mających intelektualnie wspierać potencjalnie nową grupę przywódczą, okazała się niewypałem. Sam Moczar nie poruszał się dobrze w grach gabinetowych, to nie jego „podwórko”. Próbował powrócić na polityczną scenę w 1981 roku jako prezes Najwyższej Izby Kontroli, ale został wymanewrowany przez nowych liderów, w tym przez zabiegającego wcześniej o jego względy Wojciecha Jaruzelskiego. Słabość tej i innych grup sprawujących władzę i aspirujących do władzy miała przyczyny strukturalne. Zmiana personaliów oraz cząstkowe, czasem atrakcyjne, propozycje gospodarcze i organizacyjne na krótko zyskiwały zwolenników, a potem: miało być tak pięknie, a wyszło jak zawsze. I uwaga ta nie odnosi się jedynie do czasów uważanych za słusznie minione. Historia lubi płać niespodzianki, a głosy z przeszłości odzywają się częściej niż sądzimy i niż się ich spodziewamy.

Andrzej ŻOR

Miasto jest kobietą, czyli o tym, że w Polsce też można pisać opowiadania, które czynią świat bardziej ludzkim (recenzja pewnej antologii)



Piszę, sam(a) w moim mieście, wyd. Grupa literacka „Syndykat Staromiejski” oraz Carbo Media, Zielona Góra 2025, 336 stron.

17 listopada br. ukazała się antologia współczesnych opowiadań zatytułowana *Piszę, sam(a) w moim mieście*. Jest to dzieło zbiorowe dziesięciorga autorek i autorów z Grupy literackiej „Syndykat Staromiejski”. Wszyscy oni uznają się za pisarzy amatorów, chociaż ich doświadczenie literackie (dorobek) nie jest jednorodny. Najbardziej znana – ze swoich dwunastu już powieści – jest czytelnikom Aldona Reich, potem Urszula Dąbkowska (jej trzecia powieść właśnie wylądowała u wydawcy), kilkanaście tomików poezji wydała Maria Szafran, ale jest i 19-letnia zupełna debiutantka – Julia Jaskowiak.

Opowiadania są różne (co do czasu rzeczywistego i miejsca akcji oraz sposobu narracji), choć dość jednorodne, jeśli byśmy porównywali zastosowane treści przekazu i wymagania stawiane przez ich twórców odbiorcy (tylko jedno z nich, autorstwa Adama Skorba, różni się mocniej stylistyką). Łączy je jeszcze jedno – dziewięć opowiadań, niezależnie kto je pisał, jest

o kobiecie (lub o kobietach). A napisało je pięciu niemłodych mężczyzn i właśnie – pięć kobiet.

Wśród bohaterek mamy młodziutką dziennikarkę tuż po praktyce w „Po prostu”, rzuconą w 1958 r. w wir mających nastąpić za dwa lata wydarzeń zielonogórskich (Mieczysław Bonisławski). To swoisty hołd złożony stylistyce socrealizmu. Nie do końca autorowi udało się uciec od anachronizmów i uproszczeń stylistycznych tamtej epoki (styl, leksyka, budowa zdań, pewna natarczywość, jednoznaczność opinii i wskazówek zawartych w tekście). Wynagradzają nam to jednak niewątpliwe walory poznawcze utworu (tło historyczne, rozbudowana warstwa korzystająca z anegdoty i ludyczności zachowań środowiska polityków i inteligencji nowego miasta wojewódzkiego na prowincji PRL-u po 1956 r.). I oczywista sprawność narracyjna autora (budowanie akcji, jej zmienność, łączenie wątków, dynamika).

Jest i dojrzała kobieta zastanawiająca się z perspektywy swojego życia nad definicją szczęścia. Takiego w życiu. To rzeczywista historia (z lat 70.), jaka zdarzyła się autorce (M. Szafran) pod Warszawą, z *plot twistem*. Tak jednak nieodległym od nas wszystkich, tak wymarzonym przez nas samych (ach, niechby tak skończyło się i mnie, to wtedy...). To tak jak byśmy opowiadali własną historię na imieninach u dalszej rodziny. Autorka, płodna poetka, która właśnie eksperymentuje z formami prozatorskimi (celując w zaangażowane społecznie i moralnie komentarze rzeczywistości), tym razem dała się w końcu namówić na klasyczne opowiadanie.

Kolejną bohaterką jest dziewczyna z patologicznego domu, która wyrwa się do normalnego świata (znad Odry aż pod Kutno), a trafia wprost w... ramiona przyszłego księdza. Autorka (U. Dąbkowska) traktuje szczególnie, po swojemu, te dwa, nadużywane ostatnio tematy. A dzięki talentowi narracyjnemu – czyni to po prostu w bardzo innowacyjny, świeży sposób. Kto czytał powieści Dąbkowskiej, w których przedstawiała dotąd ambitne kobiety z przymrużeniem oka – będzie zaskoczony przemianą, jaka w niej zaszła.

Jarosław Tyc w swoim opowiadaniu wraca do miejsca urodzenia: Złotoryi i Legnicy. Dla mnie podmiotem obu części utworu jest Matka dorosłego bandyty. Nie Bóg, nie skazany, nie system sprawiedliwości – choć wielu czytelnikom może się tak właśnie wydawać. Autor, debiutant (jednocześnie znany redaktor wielu, wielu powieści i innych książkowych form wypowiedzi), w jesieni swego życia pragnie rozliczyć się z otaczającym go światem. Opowiadanie jest zajawką przyszłej powieści, po którą na pewno będziecie chcieli sięgnąć.

Anett Lura dopiero w kolejnej swojej książce, w *Baśniach*, oddała w pełni samą siebie. Jej opowiadanie, choć przy pierwszym kontakcie aż do znudzenia wykorzystuje wyświechtany schemat (relacja młodej opiekunki i starszej kobiety – pensjonariuszki domu opieki, a w tle falujące morze... Brrr), to – być może nawet wbrew samej autorce – czytając je, zanurzamy się w baśń. Baśniowa jest pewna nieporadność językowa i stylistyczna, charakterystyczny dla naiwności baśniowej jest sposób rozumowania bohaterki, baśnią jest miasto i ludzie. Niczym z baśni o Jasiu i Małgosi jest to, co spotyka Jadwigę i Adama. To trzeba samemu prze-

czytać, by uwierzyć w to, że można na nowo napisać historię staruszki mającej przesłać do młodych i takiej właśnie młodej opiekunki w domu opieki nad samym morzem. Baśń o samym pisaniu baśni?

Aldona Reich z kolei wróciła do swoich pisarskich początków. Przed *Utopcem* i *Bebokiem* napisała kilka, nigdzie dotąd niepublikowanych opowiadań, w których w sposób niezwykle emocjonalny (ja odniosłem wrażenie, jakby je pisała młoda, pełna entuzjazmu i niewinności studentka) pokazała, co się może z nami stać w chwili różnych życiowych przełomów. Na potrzeby omawianego tomu wróciła do tych niepublikowanych dotąd tekstów. Tak powstał zbiorowy portret kilku mieszkanek pewnego wieżowca na nowoczesnym osiedlu. Bohaterów dnia powszedniego, borykających się z problemami życia, zdrady, miłości i śmierci. To wszystko zdarza się codziennie w każdym z wielu mniejszych lub większych polskich miast! Widać w tym rękę dojrzałej już powieściopisarki. Wiele osób uważa, iż warto sięgnąć po cały tom, choćby dla opowiadania Reich.

Adam Skorba po dwóch pierwszych powieściach zaskoczył tym razem i formą, i stylistyką. Jak sam twierdzi, podglądał (a raczej podsłuchiwał) młode kobiety, Polki i Ukrainki, prześiadujące w tych naszych wojennych (no tak!) czasach całe dnie w kawiarni, w centrum miasta. Co usłyszał, to usłyszał (przeczytamy o tym w opowiadaniu), ale sposób, w jaki wplótł to w swoje refleksje na temat zawikłania współczesnego człowieka w meandry tejże współczesności, to majstersztyk! Ci, którzy nie powiedzieli tego o utworze Reich, mówią to o opowiadaniu Skorba – jest na tyle niezwykle, że choćby tylko dla niego warto sięgnąć po całą książkę.

Władysław Edelman tradycyjnie wybrał formę humoreski. Przy naszym podejściu do analizy bohaterów opowiadań, podszedł on do tematu z pewnością... anomalią w ręku. Jak kobieta wpływa na mężczyznę, z jego punktu widzenia? Jak zmienia jego świat, tak naprawdę nic nie zmieniając? Tylko czy rzeczywiście naprawdę? I czy to jest na pewno kobieta? Ciekawy jestem, czy się odnajdziecie w świecie Edelmana? A może też się pogubicie, tak samo jak ja? Bo jak diabeł nie może, to... Albo jakoś tak, podobnie.

Olbrzymią świeżością, pomieszaną z pewnymi cechami charakterystycznymi dla neofity, niemal razi nas utwór Julii Jaskowiak. To wybuchowa mieszanina. Nastolatka wspominająca dziadka, który m.in. porzucił rodzinę. A ona pamięta go głównie z wartości, jakie jej przekazywał. Autorka, bardziej niż prozą, interesuje się dramatem i aktorstwem, opowiadanie dorobiło się też wersji monodramu. I choć niektórzy zauważają w tekście głównie potknięcia nastoletniej debutantki, ja bym w nim raczej widział nowatorski sposób pisania, prowadzenia narracji, obserwacji świata i myślenia o człowieku. Pewien powrót do tego, czego się – mam wrażenie – dziś wstydzimy i chcemy zapomnieć. A tymczasem może tak właśnie przyszłą literaturę XXI wieku będzie pisać pokolenie Z pisarek i pisarzy?

Michał Łukasiewicz pozornie wyłamał się z tego schematu. Jego bohaterem jest tajemniczy funkcjonariusz niegardzący ani kobietą, ani chłopakiem... Bardzo brawurowa akcja, pełna zwrotów i na końcu niemal wciskająca czytelnikowi skrajnie negatywne myśli. Tylko o kim i czy na pewno? To też jest zajawka powstającej powieści, w której autor zapowiada bardziej jednoznaczne przedstawienie swojego stanowiska. Moim zdaniem byłoby

szkoda, gdyby tak wszystko wyłożył nam na tacy w przyszłej powieści. Niedosyt, a zarazem poczucie mobilizacji do przemyślenia wszystkiego (całego świata) na nowo, jakie mam po przeczytaniu opowiadania, są naprawdę podniecająco atrakcyjne.

Dziesięć utworów (łącznie niemal 350 stron) pokazujących dzisiejszą Polskę przez pryzmat przeżyć głównie kobiet, takich które spotykamy na korytarzu (w bloku? urzędzie?), w hipermarkecie, na ulicy, w pracy. Zwykłych, zagonionych, codziennych. A jednak każdej z nich zdarza się to coś. W zasadzie nie dowiadujemy się z tych opowiadań, jak sobie poradzą. Nie ma tu żadnych recept. Przyglądamy się dynamicznym przemianom i zdarzeniom, ale w najważniejszym momencie każdego z opowiadań narrator nam znika, stawia nas samych przed dylematem, który możemy sobie sami rozwiązać. W duchu danej bohaterki lub przeciwko niemu. Po swojemu lub buntując się... Tylko przeciwko czemu? Nam samym, życiu które nas otacza, które sami sobie stworzyliśmy?

To zupełnie nowa literatura. Mocno kobieca. Mocno współczesna. Mocno obyczajowa. Mocno realistyczna. Ale każde z autorek i autorów nakłada na tę klasykę prozy swoje artystyczne piętno, swój XXI wiek. Wielka czytelnicza uczta, tak dla koneserów, jak i dla szukających dla siebie nowych porywów. Dla literackich konserwatystów i nowatorów. Dla potrzebujących stabilizacji i poszukiwaczy.

Jest to pierwsza antologia z zapowiadanej serii. Członkowie „Syndykatu Staromiejskiego” chcą przywracać do łask czytelniczych formę opowiadania. Stąd kolejne antologie będą ukazywać się co najmniej raz do roku.

Poziom literacki tych dziesięciu opowiadań nie jest jednolity. Zapewne na rynku, pośród nielicznych zbiorów, almanachów i antologii, jakie napotkamy w księgarniach, znajdą się opowiadania oceniane znacznie lepiej. Ale członkowie Grupy „Syndykat” mają kilka innych celów, aranżując serię antologii. Chcą łączyć w dyskusji debiutantów i doświadczonych pisarzy, chcą pobudzać literacką edukację w praktyce, poprzez wymianę doświadczeń i wspólne tworzenie dzieł (opowiadań), które zamieszczą razem w jednym wolumenie i za który będą albo się razem wstydić, albo razem będą z niego dumni. To powrót do klasycznego *paidagogos*, do sposobu działania znanych z przeszłości grup literackich.

Jednocześnie uczestnicy tej literackiej innowacji chcą stąd, z zachodu Polski (pogranicze lubusko-dolnośląskie) zabierać głos w sprawach nowych sposobów narracji, poszukiwań prozatorskiej stylistyki, współczesnych tematów mogących zachęcić Polaków do czytania (papierowych) książek. Chcą wysłać na cały kraj sygnały o tym, jakie miejsce w lokalnym (przede wszystkim) społeczeństwie widzą dla pisarza. Rozmawiać poprzez swoje utwory o jego roli tak w ośrodkach uniwersyteckich, jak i Polsce powiatowej.

Sami oceńcie, w jakim stopniu spełnia te cele pierwsza z serii antologii „Syndykatu”.

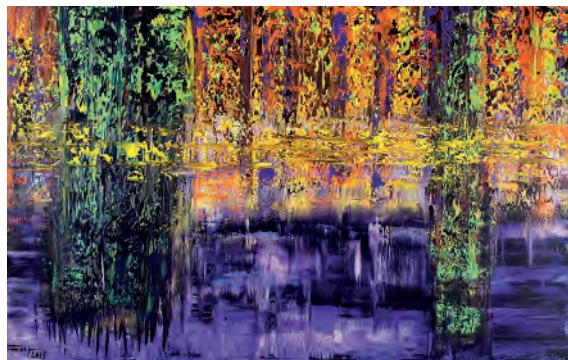
Mieczysław J. BONISŁAWSKI

Książka niedostępna w księgarniach sieciowych i internetowych. Chętni muszą zgłaszać się na stronę FB Grupa literacka „Syndykat Staromiejski” [<https://www.facebook.com/profile.php?id=61578705045046>] lub mailowo: syndykat@autograf.pl.

PO PROSTU ANDRZEJ FOGTT!

Reprodukcje prac ze zbiorów Artysty

Czytaj na s. 52-56



Brda



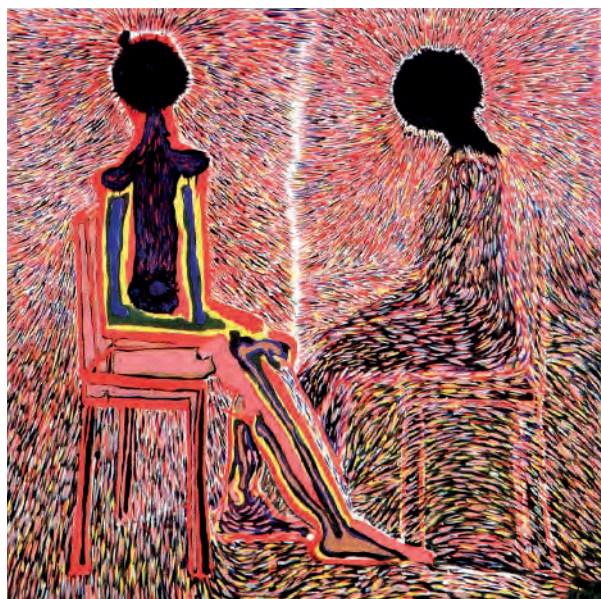
Drzewa na bagnach



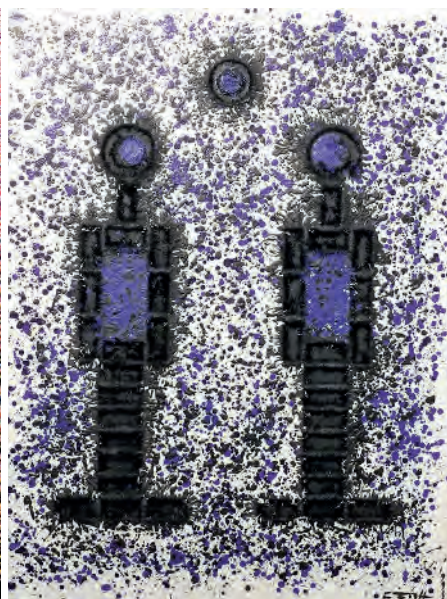
Wieża Pamięci, Nowy Jork



Ołtarz, do którego każdy może przynieść swoją książkę



Zwiastowanie (z cyklu Przestrzeń Energetyczna)



Przestrzeń Energetyczna

